MUSISZ TAM WRÓCIĆ

HISTORIA PRZYJAŹNI LUSI GELMONT I ZUZANNY GINCZANKI

MARIA STAUBER

MARGINESY

MUSISZ TAM WRÓCIĆ

HISTORIA PRZYJAŹNI LUSI GELMONT I ZUZANNY GINCZANKI

MARIA STAUBER

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

1. Równe. 1920–1936

2. Warszawa. 1935–1937

3. Warszawa. 1937–1939

4. Lwów. 1939–1941. Za pierwszych Sowietów

5. Lwów. 1941–1943. Za Niemców

6. Równe. 1941–1942

7. Warszawa. 1942–1945

8. Kraków. 1942–1944

Posłowie

Bibliografia

Źródła ilustracji

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja MACIEJ JAKUBOWIAK
Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne ANNA POL
Zdjęcia na okładce pochodzą z archiwum autorki
Łamanie manufaktura | manufaktu-ar.com

Copyright © by Maria Stauber, 2018
Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Warszawa 2018
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65973-54-2

Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a
01-540 Warszawa
tel./faks: 48 22 839 91 27, 48 696 451 127
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

1

RÓWNE
1920–1936

Staniesz, Lusiu, pewnie zadziwiona, że to miejsce nadal istnieje, bo w twojej pamięci dawno go nie ma. Ludzie rodem z Równego mówili: „Tam nie ma po co jechać”, „Tam nic nie zostało”. My musimy tam stale wracać, jakby w tych kilku latach zamknął się nasz los, nie tylko twój – Szulamit, Lusiu, Ludwiko, Ludmiło, obojętnie jak cię zwali, bo imię jest tylko imieniem, a ważna jesteś ty, tak ciągle pełna woli życia. Nawet jeśli nasz powrót jest tylko ruchem wyobraźni, jeśli płynie zaledwie lekkim obłokiem pomiędzy nami, przyrzekam ci, mamo, że będziemy stąpać ostrożnie, na czubkach palców, omijać z daleka miny bólu, trzęsawiska niedopowiedzeń. Muszę tam wracać, przez te wszystkie lata nieustannie wygłodzona każdego szczegółu, odtworzyć wszystko, co miało już nigdy nie istnieć, co znikło w jednej chwili, i wypełnić białą plamę milczenia. Tak będzie lepiej.

Miasto Równe nie miało nigdy opinii szczególnie urodziwego, nie było się czym chwalić, domy były bezstylowe, zabudowa niedbała. Ten urbanistyczny nieład pozostał. Centrum miasta odbudowano w fantazyjnym stylu i w pastelowych kolorach. Wśród socjalistycznych blokowisk zachowały się wyrwane z czasu fragmenty dawnych uliczek i zaułków, nawet drewniane chaty z ogródkami. Stoją – mimo licznych bombardowań – poczta, sąd wojewódzki, kościół, który stracił co prawda dwie wieże, ale prezentuje się dostojnie, i wielka bulwiasta, pomalowana na jaskrawą żółć cerkiew – prawosławny sobór. Ostał się nawet kadłubek synagogi na dawnej ulicy Szkolnej.

Równe Wołyńskie w latach dwudziestych

Widzę cię, Lusiu, jak tam biegniesz z rozwianymi włosami, gdzieś się spieszysz. Może myślisz, że da się jeszcze zatrzymać czas, ulepić wszystko od nowa, inaczej. Może po to biegniesz, żeby ten czas od nowa przeżyć. Tak chciałabyś, żeby wszystko potoczyło się jeszcze raz, inaczej, od początku. Potem stajesz nagle jak wryta na samym środku ulicy, która zwała się kiedyś ulicą Główną, następnie 3 Maja, a teraz jest to Soborna. Ulica przechodzi z północy na południe przez całe miasto, widzisz z daleka Grabnik z eleganckimi domami, widzisz wejście do parku Lubomirskich, pełnego teraz żółtych, jesiennych liści, bramę

Targów Wołyńskich, która nierozmontowana stoi tu jeszcze od lata. Idziesz coraz szybciej. Aleja 3 Maja spływa w dół do mostu nad płytką rzeką Uście, mija robotniczą Wolę, boiska piłki nożnej „Hallerczyk” i „Sokół”, ciągnie się aż do koszar. Tu mieszkacie, jak ci wszyscy, którzy skądś przybyli, skądś uciekli, każdy inny: Polak, Żyd, Niemiec, Rusin, Czech, Ormianin. Tu mówicie w różnych językach, piszecie alfabetem łacińskim, bukwami, literą hebrajską i w tej różności wszelakiej, która zgrupowała się na kilku hektarach miasteczka Równe po okropnych wojennych czasach i pogromach, żyjecie sobie całkiem spokojnie.

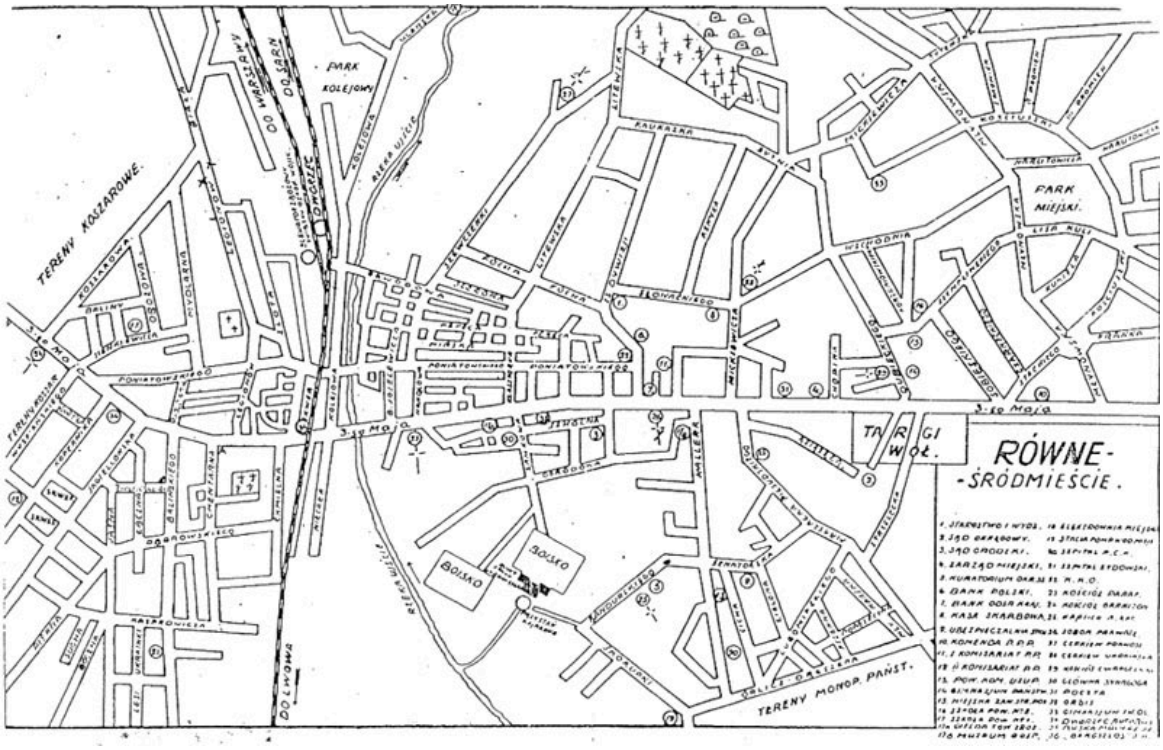

Plan miasta Równe

Widzę, jak twój tata, Łazarz, prowadzi cię teraz za rękę. Masz wielką, bordową kokardę we włosach i welurową bluzkę z wyhaftowanym przez starszą siostrę kołnierzykiem. Macie zwiedzić Targi Wołyńskie. Zaraz za pierwszymi drewnianymi pawilonami tata pokazuje ci wysoką, biało-czerwoną jak wasza flaga, morską latarnię. Morze jest stąd bardzo daleko i dzieci nie wiedzą, co to jest latarnia morska, dlatego tata ci wszystko objaśnia. On widział takie latarnie w Odessie nad Morzem

Czarnym. Na Targach Wołyńskich wrze handel, sprzedaje się tu wyroby rolne, owoce płodnych czarnoziemów, zboża, nasiona, chmiel, tytoń, konopie, owoce, bo Wołyń jest teraz spichlerzem Polski. Najzabawniejsze dla ciebie są żywe konie i gdakające kury, ryby i raki z pobliskich stawów. Próbujecie tam pysznych owocowych kompotów, dżemów z jagód, przymierzacie dla zabawy wielkie kożuchy, dobre na mroźne wołyńskie zimy. Na targi zjeżdżają się do was handlowcy z całej Polski: z Krakowa, ze Lwowa, nawet ze stolicy, Warszawy – i odsprzedają Wołyniowi towary przemysłowe: nawozy, narzędzia, maszyny, samochody, motocykle, aparaty fotograficzne, ubrania, książki i czasopisma. Tata waha się, czy kupić sobie narty produkowane w pobliskim Krzemieńcu. Przydałyby się, żeby zimą przemierzać lasy, kiedy jedzie do dworu księcia Giedroycia. A może rakietę tenisową? Zawsze marzył, by grać w tenisa, a nie było czasu na takie rozrywki. Jeszcze bardzo długo ogląda nowoczesne piły do cięcia drzew. To był cudowny dzień, bo tata kupił dla ciebie rower i będziesz odtąd na nim przemierzać miasteczko Równe i jego okolice, pełne łanów zboża, brzozowych lasków, aż do stawu w Basowym Kącie. Tam w pobliskiej rzece nauczysz się pływać.

Kiedy wracacie, twoja mama, Bluma, wyciąga w twoim kierunku kościany grzebyczek: „Uczesz się, błagam. Wyglądasz jak rozczochrana chalucka. Jak te zaniedbane pionierki, *chaluces*, które wybierają się do Palestyny”.

Do Palestyny, przyszłej ojczyzny, a teraz uczą się płodozmianu, zasiewu i pielęgnacji drzew, bo tam będą wkrótce sadzić pomarańczowe gaje – *pardes*, osuszać bagna, zakładać nowe kibuce i budować na wydmach nadmorskie, modernistyczne miasto Tel Awiw. Po córkach Blumy nie widać, że są Żydówkami.

Lusia Gelmont jako Cyganeczka.

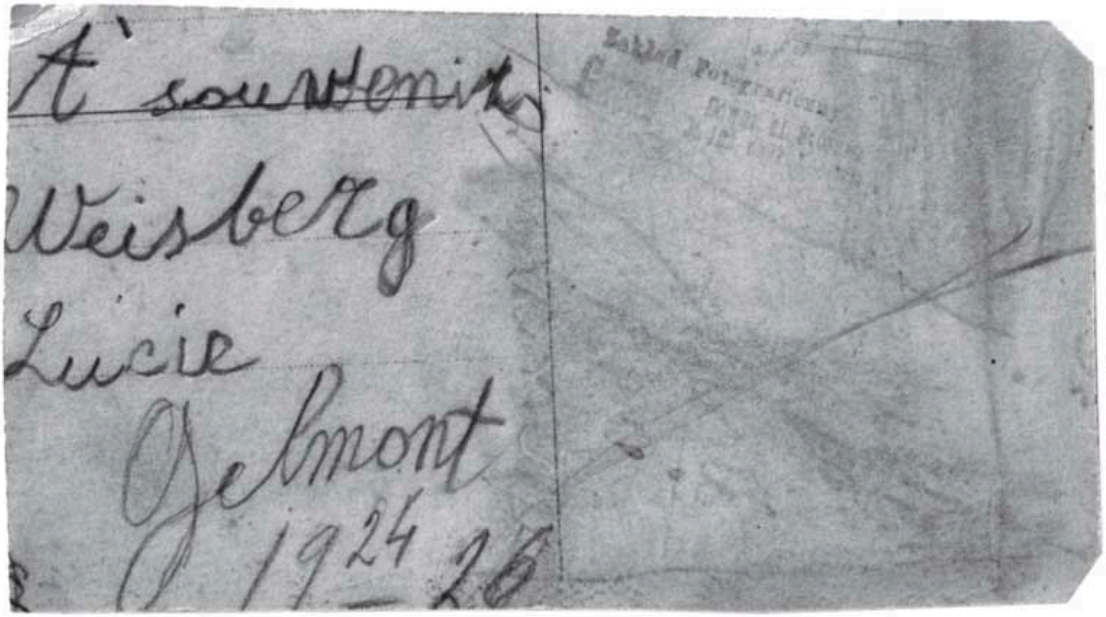

Na odwrocie tekst po francusku do cioci w Palestynie

W zakładzie fotograficznym mama sfotografowała cię, Lusieńko, dziewczynko z bardzo ciemnymi oczyma, jako małą Cyganeczkę w białych skarpetach i chustce z frędzlami, zawadiacko umieszczonej na główce. A na odwrocie ty kulfonami, ale za to po francusku, bo posłano cię do francuskiego przedszkola, które prowadziła madame Sauvage i gdzie chodziła z tobą koleżanka Zuzanna Gincburg, też z Kijowa, napisałaś do cioci Weisberg, siostry ojca w Palestynie: *A Souvenir Weisberg – Lucie Gelmont, 1924.*

Twoja mama Bluma nie lubiła Równego, według niej prawdziwego grajdołka. Stale tęskniła za swoim Kijowem, szeroko rozlanym Dnieprem, za błyszczącymi w słońcu kopułami Ławry Peczerskiej i Soboru Sofijskiego. Zatrzymaliście się w Równem przypadkiem i odtąd przypadek zawsze już będzie rządził twoim życiem, Lusiu Gelmont. Magnetyczna igła przypadku, która się chybocze przez moment, aż wreszcie ustawia niespodziewanie na jakimś miejscu, na spotkanym przypadkowo człowieku. Nigdy nie podawałaś w wątpliwość słuszności tych wyborów, przypadku czy przeznaczenia. Uważałaś, że

skoro tak się dzieje, to tak miało być, tak jest najlepiej i za tym trzeba iść. Nie oznaczało to wcale braku woli czy chęci do działania, więc nawet jeśli Bluma, twoja matka, sto razy powtarzała, że nie znosi tego miasta, ty w końcu nic nie miałaś przeciwko, może przeczuwałaś już, że stąd wyjedziesz, że los kolejnym powiewem silnego wiatru przeniesie cię jeszcze gdzieś dalej. I tu po prostu masz żyć jeszcze kilka lat.

W Kijowie na Bolszoj Wasylkowskiej, w Rosji, inaczej się żyło – wspominała stale twoja mama, Chaja Bluma. „Chaja jak życie – mawiasz – albo Bluma jak kwiat”. Ponoć jak kwiat była piękna, najpiękniejsza z całej rodziny.

Lusia we francuskim przedszkolu w Równem

U nich w Kijowie woda w samowarze kipiała cały dzień, nalewano ostrożnie herbatę do ozdobionych różą miśnieńskich filiżanek,

podawano cukier w srebrnej cukiernicy, do tego na talerzyku trochę konfitur z rajskich jabłuszek. W szabat przychodziła cała rodzina. Na biedermeierowskim stole ustawiało się świeczniki, talerze i wazę na zupę, wyjmowało z pilśniowych pokrowców starannie przechowywane srebrne sztućce z rodzinnymi monogramami. Nestorka rodu, w wielkim kapeluszu, gruba babcia Róża Tarnopolska, laseczką z kości słoniowej uderzała zdecydowanie o podłogę, bo miało być zawsze tak, jak ona zarządziła.

Słuchał się jej mąż – Gersz Tarnopolski, ich dzieci – Sonia i Fiedia, uczeń kijowskiego gimnazjum, w pięknym mundurku, i najstarsza – Bluma Grigoriewna, twoja mama, już mężatka z dziećmi – Manią i Grigorim, czyli Bezikiem, nazwanym tak przez swoją mamkę, bo w waszej rodzinie to mamki karmiły niemowlęta. Ty, Lusiu, urodziłaś się rok po śmierci twojej szesnastoletniej siostry, Zinajdy, która umarła na zapalenie opon mózgowych. Nadano ci imię ukochanej króla Salomona – Sulamit, o której mówił w biblijnej Pieśni nad Pieśniami: „Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy”. Ciebie, Sulamito Łazariewna, wołano zawsze – Lusja, Lusieńka, Lusia.

Za bolszewików życie w Kijowie zrobiło się straszne; terror i głód, prześladowania. Władza radziecka zabrała ojcu tartaki, znacjonalizowała jego lasy. Ojciec twój, Łazarz Gelmont, zamożny człowiek, przemysłowiec, dłużej w sowieckim kraju nie mógł działać i decyzja zapadła: trzeba z Kijowa uciekać. Jego brat i siostra z Palestyny namawiali na przyjazd do Holonu czy do Rechowotu. Pisali, że pomogą, ale ojciec nie chciał o tym słyszeć, listy oddawał Bezikowi, który – zadowolony – wklejał do albumu znaczki z wielką kopułą meczetu Omara i nadrukiem *Palestine*.

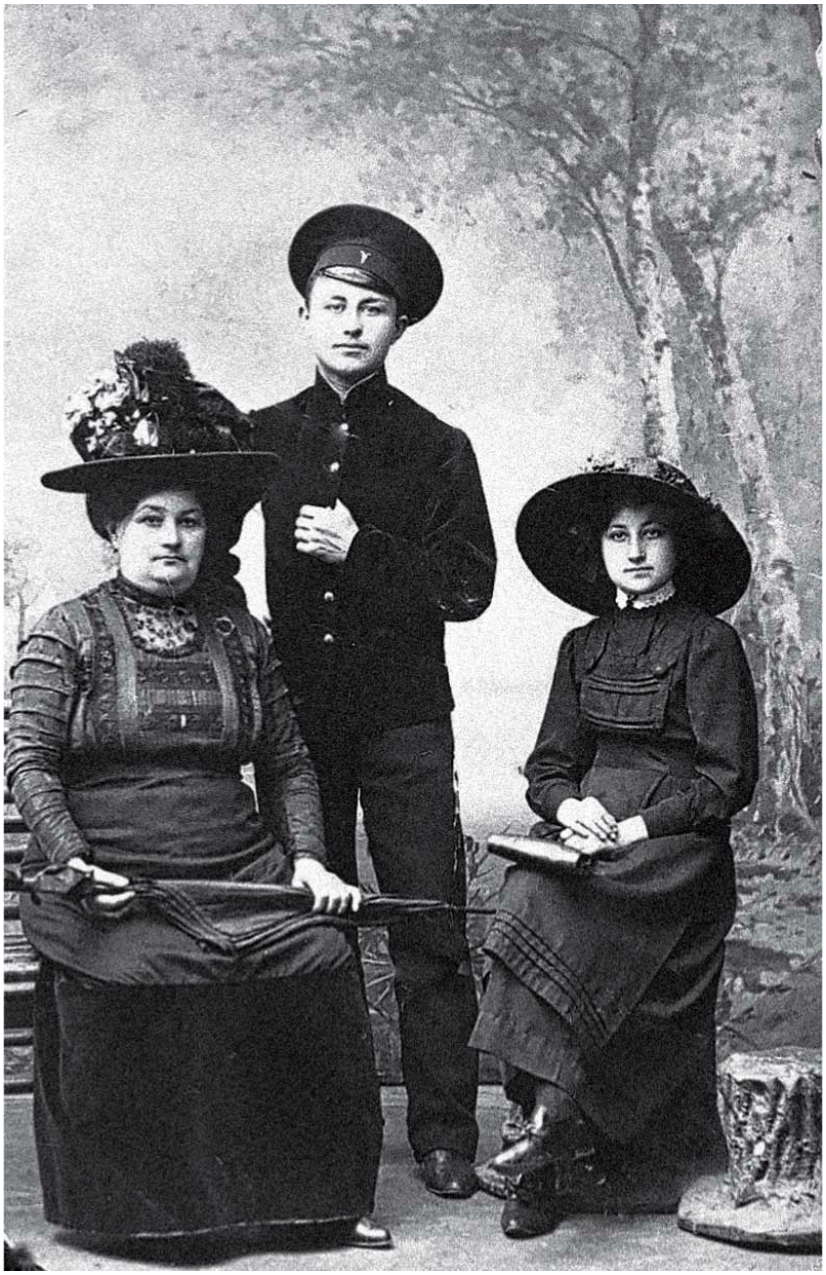

Rodzina Lusi w Kijowie – babcia Róża Tarnopolska z synem Fiedią i córka Sonią

Twoi rodzice, Lusiu, zdecydowali się w końcu, że pojadą do Polski. Reszta rodziny nie chciała o *Polszy* słyszeć, wolała już zostać w sowieckim Kijowie. Twój ojciec wyruszył pierwszy, a po paru miesiącach i wy z przewoźnikiem nielegalnie przekroczyliście granicę. Z tej podróży zapamiętałaś, Lusieńko, ukraińskiego chłopa, który do drugiego krzyczał: „Oddaj mi *miju sokiru*!”. Chciał iść z tą siekierą na

strych, gdzie leżeliście. Wtedy twoja energiczna mama wyciągnęła zza stanika złotą monetę i chłop od razu się uspokoił.

Mieliście jechać dalej do wojewódzkiego Lwowa, bo Bluma chciała mieszkać bezwarunkowo w dużym mieście, ale po drodze, w pierwszym miasteczku tuż za granicą, w Równem, i pierwszej nocy, w hotelu San Remo, zatruliście się dymem z nieszczelnego pieca. Nazajutrz na ulicy mama spotkała niespodziewanie burmistrza Równego, którego znała jeszcze z Kijowa. Razem z nim w Komitecie Rewolucyjnym sprzedawała mąkę i cukier. „Madame Gelmont, co pani tu robi?" – zdziwił się burmistrz.

To on załatwił waszej rodzinie papiery – piękne nansenowskie białe paszporty, dla takich jak wy, uciekinierów, bezpaństwowców, apatrydów, paszporty, które wymyślił badacz polarny (może dlatego były białe), Norweg Fridtjöf Nansen, potem komisarz Ligi Narodów, który w 1922 roku dostał Pokojową Nagrodę Nobla.

W Równem wynajęliście obszerne mieszkanie przy Piłsudskiego 17. Bluma, która nienawidziła Sowietów, bardzo kochała Rosję, ten wielki kraj, jak mówiła, i z przejęciem czytała rosyjską literaturę. Po polsku nigdy się nie nauczyła, za dużo tam było tych wszystkich „brzdzi" i „przci", nie miała odwagi ani chęci uczyć się nowego języka, choć pan Rozensal stale zapraszał wszystkich, co przyjechali z Rosji, a dużo ich było, na swój bezpłatny kurs języka polskiego. Bluma kwitowała to krótko: „Gogola i Dostojewskiego oni nie mieli", i do ciebie, Lusieńko, mówiła tylko po rosyjsku, tak że nauczyłaś się i ty tego języka.

Bluma Gelmont, matka Lusi

Ojciec wynajął tartaki, obrabiał drewno różnych gatunków, które zwożono z okolicznych lasów księcia Giedroycia. W strefie przygranicznej Żydom nie wolno było posiadać lasów. Ojciec z Giedroyciem bardzo się zaprzyjaźnił, a twojej mamie Blumie to się wcale nie podobało. Denerwowała się, że ten Giedroyć uczy ojca gojowskich sztuczek: gry w karty i picia. „To wina kniazia Giedroycia” – krzyczała, kiedy tatę wynieśli z dorożki.

Zapamiętałaś, jak ojciec jeszcze rzucił kapeluszem o ziemię. Potem wnieśli go do pokoju, położyli na stole w kuchni, gdzie zmarł. Łazarz Gelmont miał czterdzieści dziewięć lat. Wylew czy zawał serca? Kniaź Giedroyć po śmierci ojca bardzo wam pomagał, pomogli też drwale, którzy dla madame Gelmont urządzili skład opałowy na głównym placu Równego. Blumie udawało się zarobić w ten sposób trochę grosza. Mogła wam, dzieciom, które bezgranicznie kochała, zapewnić godne życie i dalszą naukę. Chodziła często sama na żydowski cmentarz w górze miasta, gdzie Łazarz był pochowany, i strasznie płakała.

W Równem zakładano teraz wszędzie elektryczność. Uczyli was w szkole, że trzeba iść z postępem; jasno oświetlać mieszkania, bo brak światła psuje wzrok, utrudnia odrabianie lekcji, że człowiek nowoczesny gotuje teraz bez ognia – czysto, szybko i tanio. U was, a przeprowadziliście się do małego, ciasnego mieszkania w zaułku, przy Korolenki 7, nie było prądu, grzało się drzewem albo koksem, zamiast podłogi było klepisko. Mania miała tam swój pokój, ty spałaś czasem nawet na stole. Kiedy Bluma zmęczona wracała do domu, w pierwszej kolejności pilnowała, by dzieci były nakarmione. Miałyście po jednym płaszczu i bardzo niewygodne, tanie, twarde buty, do dziś masz stopy od nich zniszczone. Do późna wieczorem dudniła maszyna do szycia firmy Malimona, na korbkę, oświetlona lampą naftową, bo mama szyła wam sukienki. Szybko mijał jej pracowity dzień i dopiero pod wieczór Bluma, otulona czarną wełnianą chustą, zasiadała w głębokim fotelu przy białym kaflowym piecu.

Łazarz Gelmont, ojciec Lusi

Mimo tych ciężkich warunków, nieustannego braku pieniędzy, Bluma zawsze powtarzała: „My nie mamy prawa się skarżyć, my nie możemy narzekać. My mamy przecież takie ładne gospodarstwo”.

Chciała, żeby w domu było zawsze pogodnie, nie należała do gatunku wiecznie skwaszonych *kysłyczek*, miała swoje małe radości, swoje *naches*, i potrafiła cieszyć się z nich każdego dnia. Ty też lubisz teraz, Lusiu, powtarzać, że masz swoje *naches*, i pytasz mnie, czy to słowo rozumiem. Tak, oczywiście, teraz to słowo rozumiem. Teraz, bo kiedyś słów żydowskich nie używałaś. Więcej ci powiem. Ja też potrafię jak

babcia Bluma cieszyć się z rzeczy małych, chwilowych, zrozumiawszy dopiero po wielu latach poszukiwań, że w nich ukrywa się prawdziwe szczęście.

Bluma była osobą niesłychanej dobroci, gościnną, pełną rosyjskiej szczodrości. Każdy, kto przekroczył próg waszego domu, zawsze był nakarmiony: sąsiadki, wasi koledzy i koleżanki, drwale Łazarza. Były naleśniki albo jabłka w cieście, sałatka z kartofli, kiszonego ogórka, jajka i resztek mięsa rosołowego – przepis Blumy. Zupa gotowała się cały dzień na kuchni, najlepsza ta grzybowa, z ususzonych grzybów z jesiennego grzybobrania. Do pieca wstawiała garnek z mięsem i jarzynami i mówiła: *Bud' żarkoje. Bud' bulion.* Na deser kupowała od Ukrainek poziomki na zielonym liściu. Twoja siostra Mania zaś przygotowywała torty i sałatki, jej specjalnością była sałatka jarzynowa z zielonym groszkiem Olivier, którą kiedyś tak długo próbowała, mieszając w misce, aż się strasznie zakrztusiła. „Wpadło w żydowską uliczkę". Jak to goje w Równem mawiali.

Pamiętasz jeszcze wrzesień, miesiąc przetworów, sałatkę z cebulą w zalewie, kiszone pomidory, małosolne ogórki z koprem, pamiętasz bzyk natrętnych os, krążących wokół konfitur z zielonych pomidorów z orzechami, które przygotowywała na zimę. Pamiętasz tłuczenie młotkiem świeżych orzechów o zielonkawej skórce i wywlekanie ich białego jądra.

Kiedy ktoś z was zachorował na chorobę zakaźną, na odrę na przykład, Bluma kładła wszystkich do jednego pokoju, zasłaniała firanki, żeby od razu wszyscy przez to przeszli. W Równem byli doktorzy: ogólny Finkelsztejn, stomatolog doktór Feifel, internista doktór Natanson. Ale was nie stać było na opłacenie lekarza. Jak ktoś zachorował, to za osiemdziesiąt groszy wołało się felczera, był tańszy. Mosiejczuk się nazywał, bardzo mądry facet. Był z tobą w szkole Paweł Segał, jego ojciec Borys Segał był chirurgiem, i u nich w gabinecie przy Zaułku Pocztowym 7 stał nawet telefon, a mało było wtedy telefonów. Potem w czasie wojny Niemcy zastrzelili ojca Pawła w trakcie operacji.

Zinajda i Maria Gelmontówny, siostry Lusi

Bluma, choć zbyt religijna nie była, przestrzegała świąt zgodnie z kalendarzem żydowskim. Pościła też za was, dzieci. Najważniejsze było dla niej żyć zgodnie ze swoim sumieniem i porządkiem boskim, nikomu nigdy nie czyniąc krzywdy. Uczyła was, że nie należy kłamać, oszukiwać, że ludzi trzeba traktować z szacunkiem, z dobrocią, bez agresji, nie wywyższać się, nie krytykować. Wtedy i wasze towarzystwo będzie im miłe. Być hojnym, być dobrym, obdzielić biedniejszego, wtedy nic złego stać się nie może. Tak myślała. W wejściu u was stała metalowa puszka z napisem *Eretz Israel*, do której wrzucało się monety na rodzące się żydowskie państwo.

– Ty bądź lepsza dla kogoś niż on dla ciebie. Dobrze na tym wyjdziesz.

– Ach, mamo, mamo, naiwna jesteś – machała ręką Mania. – Stale to mówisz, ale czy tak jest naprawdę?

Twoja starsza siostra Mania była mistrzynią robótek ręcznych, szyła piękne sukienki, ale najchętniej haftowała w ukraińskie wzory poduszki i serwetki, które sprzedawała na targu. Na stoliku w swoim pokoju położyła zielony, aksamitny obrus, ten sam, w którym ciebie, Lusiu, przeszmuglowano przez granicę. Na nim stał ćmielowski półmisek, lusterko i porcelanowa figurka: Pers trzymał nagą kobietę. Mania miała świetny gust, ustawiała w coraz to nowe konstelacje wasze dzbanki, misy, kieliszki, podwieszała w oknie kwiaty w doniczkach. To ją cieszyło i wasze mieszkanie, mimo że bardzo skromne, było ładnie urządzone. Na koniec pastowała podłogę czerwoną pastą i mówiła do ciebie, młodszej siostry: „Jak pobrudzisz, Luśka, to ci stłukę tyłek".

Mania lekko kulała i nosiła specjalny but na nieco krótszą nogę. Mówiono, że przeszła chorobę polio albo że wyleciała z drugiego piętra w Kijowie, kiedy mieszkali jeszcze na Funduklejowskiej. Dokładnie nie pamiętasz. Została jej szrama na czole. Była piękną kobietą o powłóczystym spojrzeniu, zadartym nosku, ze szparą między zębami. Mężczyźni za nią szaleli i na ulicy każdy się za nią oglądał. Oświadczył się jej kapitan 44. Pułku Strzelców Kresowych, ale Blumie nie przypadł on do gustu. Stale przychodził też do niej czeski artysta malarz, Kuriato. *Artist pagariełowo tieatra* – mówiono o nim u Gelmontów. Mania zakładała na bakier modny berecik i razem wychodzili do kawiarni Eduarda. Kiedy trzaskały drzwi wejściowe, Bluma podśpiewywała: *Di libe brent wi a nase szmate*, „Miłość płonie jak mokra szmata". Albo jej ulubione: „Co jest najgłupsze?" – *A sztik flajsz mit ojgn* – „Kawałek mięsa z oczami". „Cóż – wzdychała – mojej Mani w głowie tylko miłość, miłość, *lubow, lubow.* Czerwone serca to dobre do gry w karty" – mówiła jak doświadczone życiem kobiety z Równego.

Wiadomo, matki mają zawsze rację, i wkrótce zdarzyło się to, co nie powinno się było zdarzyć. Osiemnastoletnia Mania zaszła w ciążę z ryżym blondynem z Rosji, cztery lata starszym od niej Abraszą

Himelfondem. Przyjechał za nią z Kijowa, strasznie był zakochany. Odbył się pospieszny ślub pod chupą, celebrowany przez sąsiada rabina. „Co to za *Mensch*, to nie człowiek dla niej” – Bluma nie mogła się pogodzić z wyborem córki.

Co prawda, Abrasza miał za sobą ponoć dwa lata uniwersytetu w Kijowie, ale w Polsce nie mógł pracować, bo nie miał prawa pobytu, więc sprzedawał w zielonym pudełku śliwki w czekoladzie. „*Meszugener kop*. Jakiś wariat. *Paskudniak.* A to ma być przyszłość dla mojej ukochanej, pięknej córki?” – rozpaczała Bluma.

Mania urodziła malutką, siedmiomiesięczną dziewczynkę, której dano nazwisko matki Gelmont, a na imię Cecylka, czyli w zdrobnieniu Ilka. Mania nie miała pokarmu i karmiła ją piersią ukraińska mamka, Charytyna Omelczuk, zwana Olmelczuczką.

„*Abi gezunt.* Obyś była przede wszystkim zdrowa, *majn klein kecele*, koteczku mój” – Bluma ściskała Ilkę w ramionach jak własne dziecko.

Ilusia, tylko sześć lat młodsza od ciebie siostrzenica, stała się twoją małą siostrzyczką, laleczką do zabawy, i nuciłaś tak jak mamka Charasia: *Spij, Ilusja, spij, Ilusja malenkaja maja*.

Abraszka uznał, że przyszłości dla niego tu nie ma i że wraca do Kijowa, tam będzie mógł dalej studiować, zarabiać na rodzinę. Twój brat Grigorij, który nie miał prawa pobytu, a chciał studiować, grać w klubie futbolowym, bo futbol uwielbiał, też z nim pojechał i w sowieckiej Rosji szybko słuch po nich obu zaginął. „*Wej zu majne jurn*, nieszczęście na moje stare lata” – lamentowała Bluma. I tak zostałyście same, cztery kobiety, licząc małą Ilkę, która ciągle ssała palec i ładna nie była, więc ty, Lusiu, mówiłaś: „Nie chcę być ciotką takiej małpy”.

Ilka podrastała, zapuściła z czasem długie włosy, a że była gibka, tańczyła w balecie pani Krall. Na występy Mania uszyła córeczce piękny kostium: zielonego ptaszka z wielkimi skrzydłami.

Z tamtych czasów ostało się tylko jedno zdjęcie twojej mamy Blumy: włosy upięte w koronę i mocno wypchany biust, ażeby można było na nim postawić filiżankę z kawą, taka wtedy ponoć była moda. Ocalało też

jedno zdjęcie twojego taty, Łazarza Samojłowicza Gelmonta: smukły, piękny mężczyzna w kapeluszu, z nogą założoną na nogę, na tle wymalowanego u fotografa lasu. Zaginęły olejne portrety Mani i jej córeczki Ilusi z czerwoną kokardą, które namalował czeski malarz Kuriato, wyspecjalizowany w portretowaniu Żydów i Cyganów. U ciebie w sypialni wisi zdjęcie roześmianej Mani w berecie i twojego brata, Grigorija. Jedno zdjęcie to oczywiście bardzo mało, żeby wyobrazić sobie człowieka, ale inni nie mają nic, żadnych wspomnień, żadnych twarzy swoich najbliższych, wszystko zaginione w odmętach Zagłady.

– Czy ty jesteś moją siostrą? – pytasz mnie dziś, czule obejmując za szyję, Lusieńko, matko moja, której pamięć coraz bardziej szwankuje.

Grigorij Gelmont, brat Lusi

Co za przerażające pytanie! Tak, noszę chrześcijańskie imię twojej siostry, które mi nadałaś. Tak, tamta Maria czy Mania – twoja siostra, jak i twoja matka Bluma, były zawsze ze mną i jak bolesną igłę noszę

w sobie ich straszną śmierć, ich męczeństwo i ciszę wokół nich, którą rozpostarłaś jak całun.

– Urodziłam się po wojnie – odpowiadam słabym głosem. – Nie, nie jestem twoją siostrą, mamo.

– No tak – kontynuujesz raźnie – bo ja sobie pomyślałam, że ty, tak jak i ja, przeżyłaś okupację, bo tak się tym wszystkim przejmujesz. Wybacz mi, ale pamięć mam coraz słabszą, wstyd powiedzieć, nie jest to dziś moja mocna strona. Kiedyś miałam tyle sił, byłam taką mocną kobietą, a teraz wszystko potraciłam.

– Bo długo żyjesz, mamo. Niedługo skończysz sto lat, ale jesteś ciągle piękna, wzbudzasz tyle zachwytu. Zostało ci jednak zdrowie, humor i uroda.

– *Bywszaja krasawica* – śmieje się zadowolona mama. – Wszyscy się mnie pytają: „Jak pani to robi? Co pani bierze?”. Więc im odpowiadam: „Pastylki wyłącznie przedatowane. Młodzi znajomi, bo moi już dawno umarli”.

Klasa w Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Równem

Jeszcze trzy lata temu chodziłyśmy razem na basen, lubiłam patrzeć, jak mama pływa, jak mocno wyrzuca przed siebie umięśnione ramiona, pokonuje metry niebieskiej wody, kolejne długości basenu, jak wychodzi na brzeg, a jej twarz jest tak piękna w czepku obciskającym ciasno jej głowę, w pływackich okularach.

Wszędzie w Równem brukuje się piaszczyste ulice, jeszcze niedawno pełne błota. Wyrastają niewysokie murowane domy, jest już elektryczność, a nawet kilka neonów i kanalizacja. Powstała nowoczesna poczta. Twoja siostra Mania mówi, że budynek poczty zaprojektował jej przyjaciel, architekt Misza Ptic. Jest już elektrownia, są nowe osiedla mieszkaniowe. Na pobliskich terenach terkoczą tartaki, młyny, siarkownie. Są trzy szpitale, w tym jeden żydowski, piętnaście szkół powszechnych, szkoły handlowe, gimnazjum kupieckie Polskiej Macierzy, gimnazjum ukraińskie, rosyjskie, hebrajskie organizacji

Tarbut i polskie państwowe Gimnazjum Kościuszki na Dubieckiego. Tyle różnych narodowości... Mówi się teraz, że Polska jest tyglem narodów. Na 3 Maja mieści się starostwo, urząd skarbowy, Bank Polski i Komunalna Kasa Oszczędności. Na 13. Dywizji jest Giełda Zbożowa, a przy Senatorskiej gmach Ubezpieczalni Społecznej. Od czasu jak wybudowano u was tory kolejowe, stacja znajduje się zaraz niedaleko rzeki, pociągi z parową zadyszką przecinają Równe z Rygi i Wilna do Lwowa i Bukaresztu, z Warszawy i Lublina do Zdołbunowa i na wschód, do Kijowa i Odessy.

W każdy poniedziałek, czyli dzień targowy, z wszystkich okolicznych wiosek poprzez lasy dębowe zjeżdżają się na wozach, na kopcach słomy i siana ukraińscy chłopi. Ciągną od samego rana do miasta, śpiewając swe pieśni ludowe. Na targu ustawiają się baby w białych chusteczkach, kręcą się wszędzie żydowscy tragarze czekający na rozładunek, przenoszenie towarów, woziwody z wiadrami na drągu. W tym tłoku słychać nawoływania sprzedawców w różnych językach, prychanie koni, krzyki klientów okradzionych przez kieszonkowców. Zdarza się, że chłopi ukraińscy próbują zakończyć dzień handlowy porządną pijatyką. Słychać okrzyki: „Atakować Żydów!”. Zanim dotrze tu policja, silni żydowscy tragarze uspokajają pijanych gojów, aby nie dopuścić do rozlewu krwi.

Ty, Lusieńko Gelmont, chodzisz często do Składu Aptecznego Sandbergów, do koleżanki Zuzanny Gincburg. Ona też przyjechała z Kijowa i też nie ma ojca, bo jej tata, Szymon Gincburg, wyjechał gdzieś daleko, chyba do Niemiec. Ponoć był niezłym oryginałem i w Równem nie mógł sobie znaleźć miejsca. Zawsze miał większe ambicje. Zuza ci opowiada, że ojciec jest aktorem, posyła jej kartki i plakaty z samej Ameryki, gdzie nie nazywa się już Szymon ani Szalom, lecz Senia Gardeni. Zuza czeka na niego, myśli, biedna, że jej tata wróci, a z tymi kartkami to też nie wiadomo. Widziałaś jego zdjęcie, bardzo przystojny, w szarym prochowcu, pod pachą trzyma laseczkę, tak jakby miał za chwilę zacząć nią w tańcu wywijać. On chyba już z tej Ameryki

nie wróci. Kto by tam z Ameryki wracał, wszyscy tam chcą przecież jechać. Chociaż twoja mama Bluma wolałaby Paryż, najbardziej marzy o Paryżu. *Pariż, Pariż*. Mama Zuzy, Cunia – mała, urodziwa kobietka z wielkim biustem, żądna życia i przygód – podobno ma wyjść za mąż za o połowę od niej młodszego inżyniera chemika, specjalistę od drożdży, Wilhelma Rotha. Roth prowadzi w Równem browar, skąd do sklepu przynosi pękate buteleczki piwa z porcelanowym kapslem, na których widnieje wydmuchana w szkle wypukła nazwa Bergszlos, a poniżej dumnie: Równe.

Zuza mieszka u babci Chai Sandberg w murowanym domu nad jej składem aptecznym, to taki rodzaj drogerii, przy głównej ulicy. Na domu wisi szyld: „Skład apteczny Sandberga. Równe 3 Maja 132. Ozdoby choinkowe, nasiona, kosmetyki, wody kolońskie, środki lecznicze, galanteria, zabawki, przybory fotograficzne. Ceny Niskie”. Szyld bardzo zachęcający do wejścia, ale można łatwo się pomylić, bo przy tej ulicy jest dużo innych składów aptecznych. Jest Halański na 3 Maja 8, Bulba na 3 Maja 35, Elbojm na 3 Maja 169, Nimiec pod 72, Perelman pod 212, Sucharczuk pod 98, Witels i Rubin pod 266, Mekel pod 171. To prawda, ulica jest długa, a konkurencja wielka. Równe to teraz bardzo handlowe miasteczko. Prawie w każdym domu na głównej ulicy jest jakiś sklep. Kiedy idziesz do Zuzy, mijasz fabrykę wody sodowej, turecką cukiernię, piekarnię Angora Nazima Bożyka, siedzibę filii „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, banki: Handlowy, Ludowy i Kupców, mijasz sklep elektrotechniczny Izraela Feigiela, ambulatorium weterynaryjne, towarzystwo naftowe Galicja i biuro notarialne Adamczewskiego, dalej „Michalski i Syn – sprzedaż na dogodne raty fortepianów i fisharmonij oraz strojenie i wszelkie reperacje”. W sklepie Borysa Marusjana można kupić buty do łyżew, dalej obuwie gumowe.

Reklamy składu aptecznego Sandbergów

Z Zuzą, jej cioteczną siostrą z Wilna Lidką Nogid i z innymi koleżankami, jeszcze z francuskiego przedszkola, uwielbiacie biegać po galeryjkach starodawnego sklepu Chai Sandberg. Nieźle się tu wygłupiacie.

– Te, Szoszana! – wołasz do Zuzy.

– Te, Szulamitka! – też nazywa cię twoim hebrajskim imieniem i śmiejecie się z tego do rozpuku.

Lokal jest duży, ciemny, pełen drewnianych, wysokich półek, wszędzie pachnie korzeniami i słodką wanilią, lekarstwami i wilgocią. Na pierwszym piętrze jest pięciopokojowe mieszkanie z kominkami, do którego można wtargnąć z galeryjki. Stoi tam dużo ciężkich mebli z modrzewia, idealnych do zabawy w chowanego, bo można się łatwo

ukryć za jakąś komodą, fotelem, kozetką. Tyle mają Sandbergowie mebli, że wygląda, jakby tu mieszkali od stu lat. Bałagan panuje straszny, co babcia Chaja komentuje tylko dowcipnie po rusku: „*S nami pyl leżyt w sieriebrianych grafinach, a ałmazy możno najti pod krowatju* – U nas kurz leży w srebrnych pudełeczkach, a diamenty można znaleźć pod łóżkiem”.

rodziny rabinackiej. Jest wdow
Sandbergu, jednym z pierwszyc
aptekarzy m. Równego.

Sandberg bierze bardzo a
życiu społecznym. Jest założ
ierót i większym sumptem p

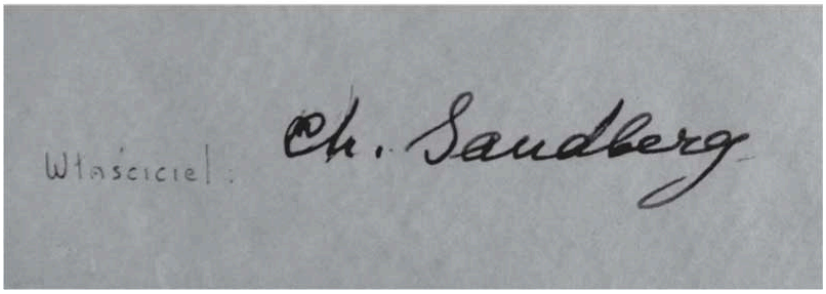

Chaja (Klara) Sandberg, babcia Zuzanny, oraz jej podpis

Na dole kołysze się w bujanym fotelu dziadek Abraham z wielką białą brodą, ale on już mało słyszy. Mimo to kiedy pobrzękuje dzwonek u drzwi wejściowych, zaraz pokazuje palcem. Dzwonki wejściowe mieszają się z dzwonkiem srebrnej kasy obsługiwanej osobiście przez babcię Chaję. Niektórzy tytułują ją madame Klara albo madame Glikman, bo takie było jej panieńskie nazwisko. Siwa pani lekko po sześćdziesiątce jest bardzo energiczną i mądrą osobą, która prowadzi cały skład, natomiast jej mąż Abraham głównie pilnuje worków z cukrem, które tu na wypadek wojny postawił, choć cukier już dawno zżółkł. Na razie nikt nie myśli o wojnie, interesy idą świetnie. Chaja pilnuje towaru i kręcących się subiektów. Mała Chawka, przyjęta przez Sandbergów z domu dziecka, przegania gromadzące się dzieci, a młoda sprzedawczyni Sara przekrzykuje całą tę wrzawę i posługując się specjalnym szyfrem po rosyjsku, bo po polsku mówi słabo, woła do madame Sandberg: „*Tri miagkich znaka dla nas*”. A Chaja przez cały sklep odkrzykuje: „*Pradaj*. Sprzedawaj!”.

Chana Nogid – druga córka Sandbergowej, mama Lidki – czy Anna, jak ją z polska wszyscy tu nazywają, wpada często z Wilna sama lub ze swoim mężem Baruchem. Anna jest uroczą, delikatną blondynką z niebieskimi oczyma, bardzo elegancką, bo suknie przywozi z samego Paryża. Tego roku jest moda na sukienki z żorżety. Jej suknia ładnie podkreśla ramiona, biust i wcięcie w talii. Anna nosi mały kapelusik zawadiacko nałożony na fryzurę z krótkich włosów, spod którego wystają długie kolczyki. Na dekolcie ma naszyjnik z czarnego onyksu, na nogach pantofelki na koturnach. Dla was, dziewczynek, przywiozła nawet paryskie żurnale mody z rysunkami, które uważnie studiujecie. W tym roku przeważają bardzo wąskie spódnice, bluzki z długimi kołnierzami, wstążkami albo przymarszczeniami. Twoja mama Bluma spróbuje ci uszyć sukienkę w tym stylu, choć w skromniejszej wersji, a ciotka Zuzanny, Anna, obiecuje, że następnym razem coś i dla was przywiezie.

W Równem jest dużo sklepów z ubraniami damskimi, z galanterią, ale nie dorównują zupełnie temu, co Anna przywozi z Paryża i sprzedaje w Wilnie.

Naprzeciw jest sklep tkanin i wyrobów włókienniczych z wielkim napisem Bławat, który prowadzi dobrze znana w mieście i okolicach Perła Goldenberg. Tkaniny na poszwy i prześcieradła, obrusy, białe tkaniny na koszule do bar micwy, jedwab na ubrania rabinów, a nawet specjalny materiał na modlitewne tałesy. Ale u Perły solidne tkaniny do pracy kupują też ludzie ze wsi, robotnicy, leśnicy, są materiały dla dzieci i czarne na sukienki dla gospodyń domowych. Perła Goldenberg specjalizuje się przede wszystkim w białych jedwabiach na sukienki i welony ślubne. Kiedy żydowska dziewczyna z Równego potrzebuje wyjść za mąż, Perła zamawia u najlepszych fabrykantów wspaniały jedwab i aksamit, a żydowskie matki ciułają grosze, by – gdy przyjdzie czas błogosławiony – mogły zakupić u Perły wszystko, co do ślubu córki potrzeba. A ona zawsze wypytuje, kim jest pan młody, z jakiej rodziny i kiedy odbędzie się ślub, i od razu wie, jakie ma zamówić materiały, a gdy brakuje pieniędzy, rozkładała je na kredyt płacony w małych ratach. „Nie martw się, z Bożą pomocą wszystko zostanie wypłacone” – mawia, bo Perła to dobra kobieta i dobra kupcowa.

Przed sklepem Perły Goldenberg, przy wodokaczce – ujęciu pompy – często przystaje orkiestra klezmerów, może tu zaraz jakiś angaż na wesele znajdą, a są równie słynni jak ci z Berdyczowa, muzykanci z dziada pradziada, zgrani jak dobra rodzina. Mosze, pobożny Żyd z długą brodą, i jego syn Chaim – grają na skrzypcach, Josel – na altówce, Berek – na trąbce, Mosze Bar – na klarnecie, a Izaak – na flecie. Menachem – komik, w ubraniu chłopskim, w słomkowym kapeluszu i w chłopskiej rubaszce, w sandałach z kory – opowiada soczyste dowcipy i ukraińskie opowieści. Kiedy Chaim gra sam na skrzypcach rzewne melodie, z zamkniętymi oczami, z głową przechyloną na bok, to chce się płakać, ale trzeba przecież rozweselić

biesiadników, więc przechodzi wnet na melodie skoczne i wesołe, żeby można było tańczyć i się radować.

Wkrótce Cunia Sandberg, mama Zuzy, z nowym mężem chemikiem ma wyjechać z Polski. Jej sparaliżowany ojciec Abraham okropnie się tym wszystkim denerwuje i krzyczy na cały sklep: „*A szlak zol dich trefn.* – Niech cię szlag trafi. – *Tzirel*”. Nie mówi na nią Cunia, jak wszyscy, ani Cecylia, tylko Tzirel, co ją jeszcze bardziej złości, więc macha zniecierpliwiona ręką i wychodzi, trzaskając ciężkimi drzwiami. Przed samym wyjazdem do Kordoby w Hiszpanii Cunia bierze wiersze Zuzy do Warszawy, żeby pokazać samemu Tuwimowi, jaką ma zdolną córeczkę, jakie piękne pisze po polsku poematy. Do Polski przyjadą jeszcze tylko dwa razy, przed wojną, na wakacje. Wilhelm zna się świetnie na produkcji piwa, ale w Hiszpanii będzie chyba musiał zmienić gatunek alkoholu i przerzucić się na wino. Może nawet zmieni imię na bardziej swojskie, hiszpańskie. Wilhelm jest zdolnym chemikiem, tylko jest mały kłopot, bo to goj – i to też ojcu niezbyt się podoba. Czy Cunia przechrzci się pod wpływem męża? Chyba tak. Dochodziły nawet słuchy, że się modli na kolanach. W każdym razie ich grobowiec w Pampelunie znalazł się na katolickim cmentarzu. Kiedy szukam go po latach z pomocą Ewy Tuwim, córki poety, która tu teraz mieszka, odnajdujemy tylko zapis w cmentarnianym komputerze.

Na razie tu, w Równem, córka jedynaczka, zwana różnie: Zuza, Zuzanna, Szoszana, Sana, Gincburg, Gincburżanka, a w końcu Ginczanka, która nie ma już ojca, a teraz traci matkę, ma pozostać u babci przy 3 Maja. Może nawet chce zostać, a może nikt nic innego jej nie proponuje. Szczęśliwie jej babcia, Chaja Sandberg, niezwykle kocha Sanoczkę, która jest prześliczna, to babcine największe szczęście. Zuza ma wszystko, czego dusza zapragnie, nawet małego pieska.

Co lubi najbardziej? Wyciągać z babcinej szuflady różne klucze – lśniące, rudordzawe albo zielone od pleśni – i gwizdać na nich różne smutne melodyjki, bo piszczą tak śmiesznie: ciiiieniiiiutko, leciiiiutko albo stalowo, dźwięcznie jak syreny, bucząco jak basy trzmieli. I kiedyś

napisze o tych czarodziejskich kluczach, których pęki gdzieś się zagubiły, że znalazła drzwi do kluczy, bo każda godzina życia miała ciężki zamek, a każdy dzień miał swą niedomkniętą, zawiłą historię.

Słodka dziewczynka z czarnymi warkoczykami wyrasta na piękną pannicę i zachwycają ją kwitnące wiosną jabłonie, gdy za kwiatem opada kwiat, czerwone jabłka, kity badyli, chwaściasta zieleń, wątłe łodygi lilii, czterolistna koniczyna i fiolet sasanek. Musi o tym wszystkim światu napisać.

Młoda Zuzanna Gincburżanka

W czwartki pod wieczór elegancko wystrojona, w asyście swoich dwóch wnuczek, Zuzy i Lidki, babcia Chaja Sandbergowa przyjmuje gości. Jest tak ciekawie, tak wesoło! Wszystko dzieje się w zaczarowanym kręgu rówieńskiego mieszczaństwa, gdzie wszyscy się znają i towarzysko krzyżują. Coraz to ktoś wypada do pobliskiego sklepiku Chasi Charszat po śledziki na zakąskę dla tych, którzy wolą coś

konkretnego wypić. Plotki i skandale. Aptekarz w czarnym paltocie z kołnierzem pokrytym aksamitem gra w szachy z doktorem, do którego wzdycha mecenasowa. Obecność wojskowych w koszarach zaraz za rzeką napełnia Równe jakąś duszną atmosferą i kobiety wyglądają na stale podniecone. Przy akompaniamencie pianina śpiewa się razem romanse Wertyńskiego albo modne w stolicy szlagiery: „Już taki jestem zimny drań. I dobrze mi z tym bez dwóch zdań”. Okazuje się, że zimni dranie podobają się kobietom, co dla was, młodych dziewczyn, brzmi dość zaskakująco w ustach takiego idola jak Eugeniusz Bodo, w którego wpatrujecie się w kinie Zafran. Chodzicie do Zafrana często, najchętniej na filmy o miłości, z Tolą Mankiewiczówną, Hanką Ordonówną, Jadwigą Smosarską.

Skład apteczny Sandbergów, dziadków Zuzy, znajdował się przy ulicy 3 Maja

W Równem na ulicach stale się coś dzieje i balkoniki aż uginają się od widzów. A to Święto Morza, kiedy po 3 Maja sunie makieta statku

z marynarzami, a to imieniny Józefa Piłsudskiego, a to akademia ku czci Semena Petlury albo konkurs ukraińskich chórów ludowych. Jest też bieg na przełaj o puchar „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” czy mecz futbolowy klubu Hasmonea Równe z Pogonią Równe. Przyjeżdżają nawet teatry objazdowe. Ostatnio widziałyście *Księżniczkę Turandot* z piękną Jadwigą Gosławską jako chińską księżniczką, która przysięga, że nie pokocha żadnego mężczyzny. Jednak wszystko się dobrze kończy. Interesy Sandbergów idą wyśmienicie, nie oznacza to jednak, że należy zapominać o biedniejszych, a zwłaszcza o rodzinie. Dobroczynność względem osób będących w potrzebie pozwala przecież Żydom odkupić grzechy. Dlatego raz w tygodniu Sandbergowa zgodnie z żydowskim przykazaniem pomocy biednym – cedaką – kładzie na stole w bocznym pokoju bochny pokrojonego chleba, wstawia samowar z wrzątkiem na herbatę, a pije się tu z rosyjska z kostką cukru *na prikusku* albo *czaj z warieniem* – słodką konfiturą z wiśni. Przychodzą biedni ludzie, wdowy i staruszki, stare panny i panny bez posagu, czasem też biedniejsi kuzyni i kuzynki, których w okolicy sporo: Libermanowie, Wigdorowiczowie, Szoszetowie.

Widzę ten radosny moment, kiedy po brodach spływa im konfitura, kiedy na palcach pozostaje biała mąka pysznego chleba z piekarni przy 13. Dywizji, moment, który przemieni się już wkrótce w krwawą rzeź. Ale o tym nikt z obecnych tu nie wie, nie przeczuwa tego nawet mądra Chaja, babcia Zuzy. Po ludzku i normalnie fetuje się kolejne święta Pesach, kiedy trzeba się koniecznie upić, kolejne święta Chanuki, tak bliskie zawsze Bożego Narodzenia, kiedy babcia Sandbergowa wymyśla sobie, że to jej piękna wnuczka Sanoczka będzie ze skrzydłami anioła klęczała nieruchomo u nich w witrynie. Zuza nie chce się przebrać, pomysł babci wydaje się jej głupi, ale nie ośmiela się sprzeciwić. Zapada już noc, kiedy Zuza szybko biegnie po schodach, rzuca się na swoje łóżko i pisze, pisze, aż rozrzucone kartki pokrywają pościel, mieszają się z bielą prześcieradeł.

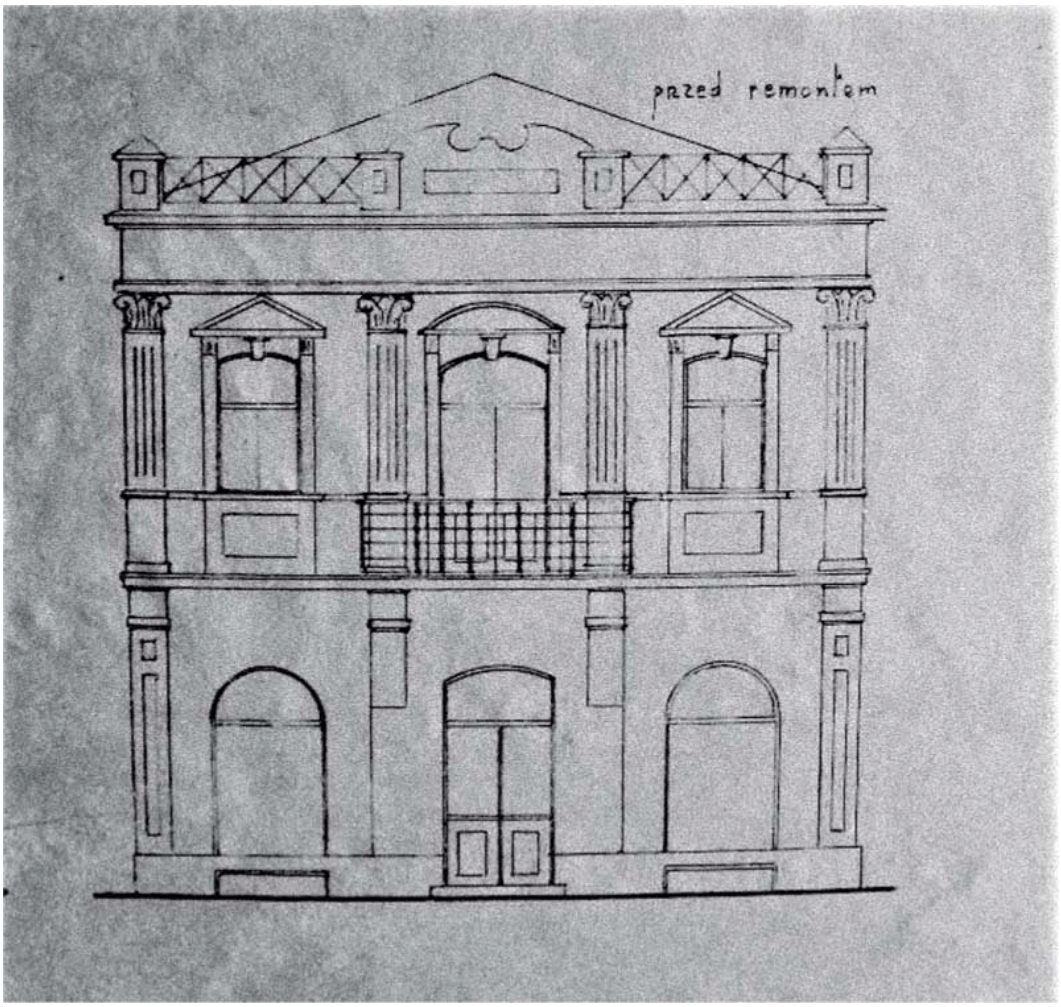

Fasada składu aptecznego Sandbergów przed planowanym remontem

Kiedy wczesnym rankiem ty, Lusieńko, pędzisz do szkoły, handlowcy podciągają już kraty swoich sklepów oświetlonych wątłym światłem elektrycznym, po ciemnych jeszcze ulicach przemykają mężczyźni w kapeluszach, Żydzi z tałesami pod pachą idą do synagogi na poranną modlitwę. Mijasz budynek magistratu, aż wyłaniają się w końcu znajome lipy parku Lubomirskich, liście już opadły. Teraz już tylko jeden skręt, tuż przed więzieniem, słup z ogłoszeniami o wyrokach na złoczyńców, których złapano, którzy tu siedzą, nie wiadomo naprawdę za co. Chyba za jakieś potworne zbrodnie, bo oto ogłaszają karę śmierci dla Wasyla Soroki.

– Gelmontówna.

– Jest obecna na apelu – mówisz dobitnie, wstajesz, wyprężasz się.

– Zuzanna Gincburżanka.

– Jest obecna.

– Zoja Chmielewska.

– Obecna.

– Piotrowski Zygmunt.

Zyga patrzy zza swoich śmiesznych, okrągłych okularów.

– Wala Suszkiewicz.

Ta najbiedniejsza, ponoć córka prostytutki, dostała się ze specjalnej listy dla biedoty.

– Obecna.

Koleżanki z gimnazjum. Od lewej: Blumka Fradis, Lala Tomilin, Zuzanna Gincburg, Zoja Chmielewska, Lusia Gelmont

Biało-czerwona flaga idzie do góry. Całe życie, Lusieńko, będziesz dumna, bo to nie byle co dostać się Żydówce do polskiego państwowego gimnazjum. Mama ci powiedziała: „Popróbuj, może zdasz. A jak nie zdasz, to wrócisz do domu”. I dostałaś się z listy rezerwowej, bo były jakieś machlojki, ktoś przepłacił nauczyciela. Tamte protegowane wyleciały, a ty jednak zdałaś. Teraz idziecie razem, rozświergotane koleżanki: Gincburżanka, Zoja Chmielewska, Lalka Tomilin, Blumka Fradis, skręcacie razem w Hallera i kroczycie środkiem ulicy, pod szpalerem lip, z fularami pod szyją, w swoich śmiesznych, przekrzywionych na bakier beretach, z odznaką Gimnazjum imienia Tadeusza Kościuszki.

Niedługo do Równego ma przyjechać sam prezydent Ignacy Mościcki i będziecie przed nim paradować w szkolnych mundurkach z krawatami. Wszystkie małe balkoniki, uczepione jak gniazda jednopiętrowych rówieńskich domów, na 3 Maja są pełne wiwatujących ludzi, każdy chce zobaczyć defiladę. W Równem jest dużo wojska, stacjonuje tu pułk Korpusu Ochrony Pogranicza. Od kiedy w 1920 roku udało się cudem odepchnąć bolszewików, zapadła decyzja, żeby tu właśnie, blisko sowieckiej granicy, ustawić obronne szańce Rzeczpospolitej. Mówi się o Równem, że to miasto Żydów i wojskowych, chociaż Żydom nie wolno w żadnym wypadku być zawodowymi żołnierzami. Na głównym placu koło cerkwi przygrywa teraz wojskowa orkiestra. W jej rytm rusza parada, przechodzą oddziały wojsk z wielkimi chorągwiami spod Verdun. Żołnierze salutują. Cała ulica dudni długo pod kłusem koni pułku ułanów. Po południu prezydent zasiada przy obiedzie w altance w parku Lubomirskich. Pałac dawno się spalił. Brać żołnierska przy długich stołach wcina z apetytem grochówkę z kotła. Przemawia generał Knoll-Kownacki i mowę kończy okrzykiem: „Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita i jej prezydent!”, który to okrzyk podchwytują żołnierze i długo rozbrzmiewa on doniosłym echem w całym parku. Wtedy pan prezydent kieruje się do kościoła, gdzie ma trzymać do chrztu dziecko osadników.

Defilada przysposobienia wojskowego, Zuzana idzie w pierwszym szeregu, a Lusia tuż za nią

Park Lubomirskich. Zgliszcza pałacyku, do którego wiodła lipowa aleja. W Równem nigdy nie spotkałaś księcia Lubomirskiego, właściciela okolicznych pól, łąk, sadów i nieużytków. Dopiero po latach twój pacjent w warszawskim szpitalu na Oczki, gdzie pracowałaś, sam książę Lubomirski w pidżamie, opowie ci, jak na jego oczach bolszewicy zastrzelili mu rodziców, jak wywieźli go na Sybir, jak z powodu swojego arystokratycznego pochodzenia cierpiał po powrocie do Polski i ożenił się ze zwykłą chłopką. I teraz książę w szpitalnym łóżku chce koniecznie coś dla ciebie, swojej krajanki i pięknej pani doktór, zrobić, a to czas waszej emigracji z Polski, rok 1968, książę dzwoni do ambasady holenderskiej i prosi znajomą sekretarkę, żebyście nie musieli stać w kolejce po wizy do Izraela. A co stało się z Giedroyciem? Też ponoć wywieziony wraz z żoną w głąb Rosji.

Zawsze na początku miesiąca w twoim gimnazjum na Dubieckiego przychodzi do klasy sekretarz szkolny w mundurze, wyciąga grubą księgę i wtedy wiesz, Lusiu, że zaleje cię za chwilę fala wstydu, bo wyczyta twoje nazwisko: „Gelmontówna, znowu niezapłacone”. Tak powie, a oczy koleżanek i kolegów skierują się na ciebie, Lusieńko. Ty wiesz dobrze, dlaczego czesne za szkołę jest niezapłacone. Przecież twoja matka stara się, jak może, próbuje zdobyć dla was pieniądze. Sekretarz na środku klasy wsuwa za ucho spiczasty kopiowy ołówek, który teraz sterczy grafitem ku tobie jak wymierzona strzała. Oblewasz się rumieńcem, spuszczasz oczy, Lusieńko, oczy czarne, łagodne. Tylko Gincburżanka może z tobą konkurować, ale ona z kolei ma jedno oko niebieskie, a drugie brązowe.

Gimnazjum w Równem

Chyba tak. Albo zielone i brązowe. Już nie pamiętam. Tak, Lusieńko, masz prawo już nie pamiętać. Tyle się rzeczy zdarzyło, nałożyło od czasu kopiowego ołówka sekretarza w Równem, że masz prawo o wszystkim teraz zapomnieć. Bo przyszedł czas zapominania. Jak race

zjawiają się nagle przed tobą okruchy wspomnień. Jeszcze je opowiadasz, powtarzasz, w kółko powtarzasz, mają się wryć w czyjąś pamięć, aż w końcu ten powielony wielekroć obraz jak kłębek pary unosi się jeszcze przez chwilę w powietrzu, potem odpływa daleko, żeby głowa była pusta, a przez to radosna, unosi się i odpływa od ciebie, Lusiu, na zawsze. Masz teraz prawo zapominać. Już czas zapominać, Lusiu – Sulamito. Taka jest prawda, w którą trudno uwierzyć, z którą trudno się pogodzić. Zatacza się ostatni krąg życia, znowu wraca dziecięca bezbronność, zdziwienie i potrzeba matczynej czułości. Dzielnie pełniłaś swoją rolę matki. Teraz możesz być córeczką. Codziennie ulatują twoje siły, ulatuje życie, więc teraz ja, twoja córka, stoję na jego straży, wdmuchuję w ciebie ciepło moich uczuć, od których ożywiasz się, rozpromieniasz. Mimo zmarszczek twarz twoja, obdarzona cudownym darem długowieczności, staje się na nowo piękna i pełna godności.

Ile razy słyszałam, że pomagałaś matce korepetycjami, w odróżnieniu ode mnie, leniwej nastolatki. Tak, u was, wstyd powiedzieć, nie ma nawet czasem co jeść, więc udzielasz korepetycji z języka polskiego synowi organisty i słabej uczennicy, Ani Pawełko, córce pułkownika 13. Kresowej Dywizji Piechoty. Codziennie idziesz przez całe Równe aż do mostu nad błotnistą rzeczką Uście, mijasz dopiero co zbudowany nowoczesny kościółek garnizonowy, ostatni krzyk modernizmu, małe ceglane domki wojskowych koszar. Ty właściwie nie idziesz, ty kroczysz dumnie, w ciemnej sukience z białym kołnierzykiem i białymi guzikami, bo twoja mama, Bluma, wie, że trzeba wyglądać zawsze czysto i elegancko, zawsze być dobrze uczesanym. Mama uczy cię, że nigdy nie należy pokazywać biedy, nie zdradzać nikomu, że jest wam ciężko, że nie macie pieniędzy. To jest wasza prywatna sprawa. Tego się na zewnątrz nie wynosi. Bieda ma zostać w domu.

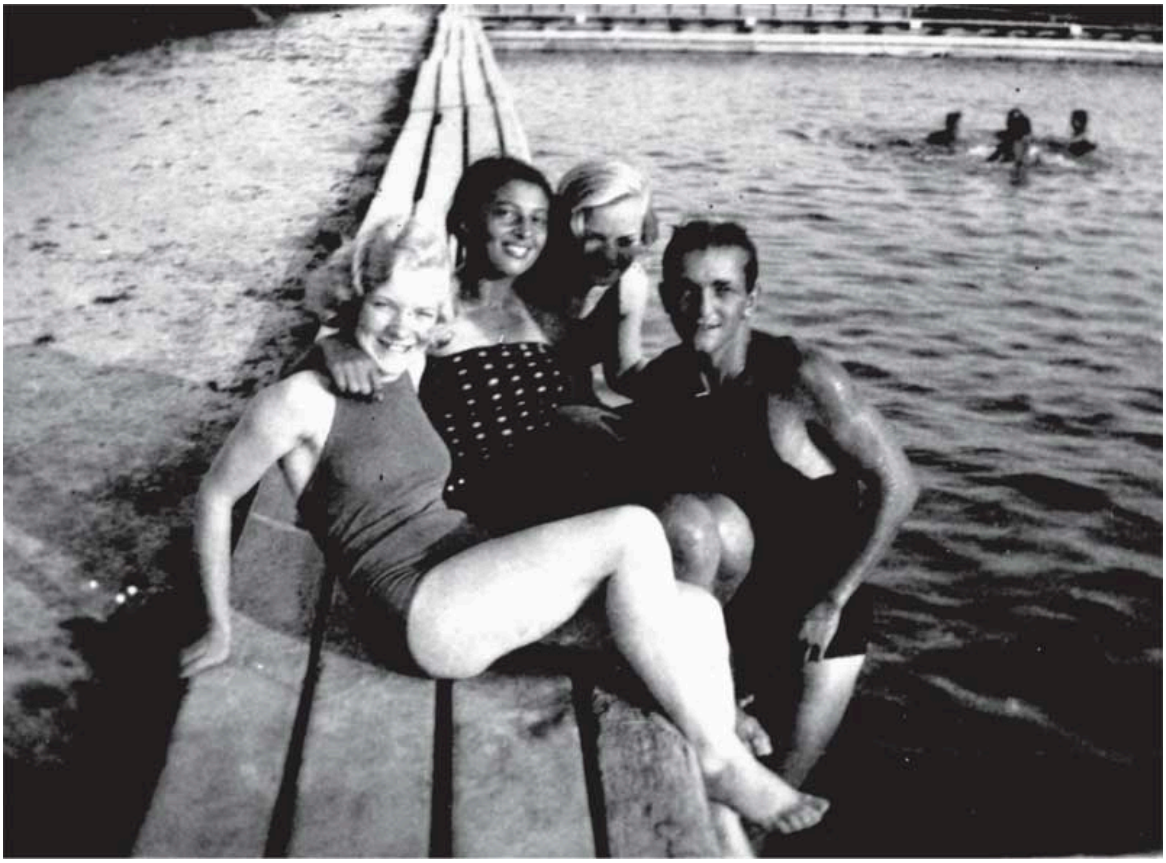

Lusia Gelmont z siostrami Anielewskimi i Pawłem Segałem

Po szkole dwie jasne blondynki, Andzia i Hela Anielewskie – twoja mama nazywa je albinoskami – stale są z tobą. Biegacie razem po mieście, aż pod młyn, w tę i z powrotem, ty – czarna, one dwie koło ciebie – bielutkie. Ich tata jest adwokatem Lubomirskiego, więc mieszkają przy samym parku, z ogródkiem pełnym kamelii i bzów. Ich mama zawsze pamięta, żeby narwać bzu dla twojej mamy, która kocha kwiaty, a twoja częstuje Andzię i Helę pysznym ukraińskim barszczem.

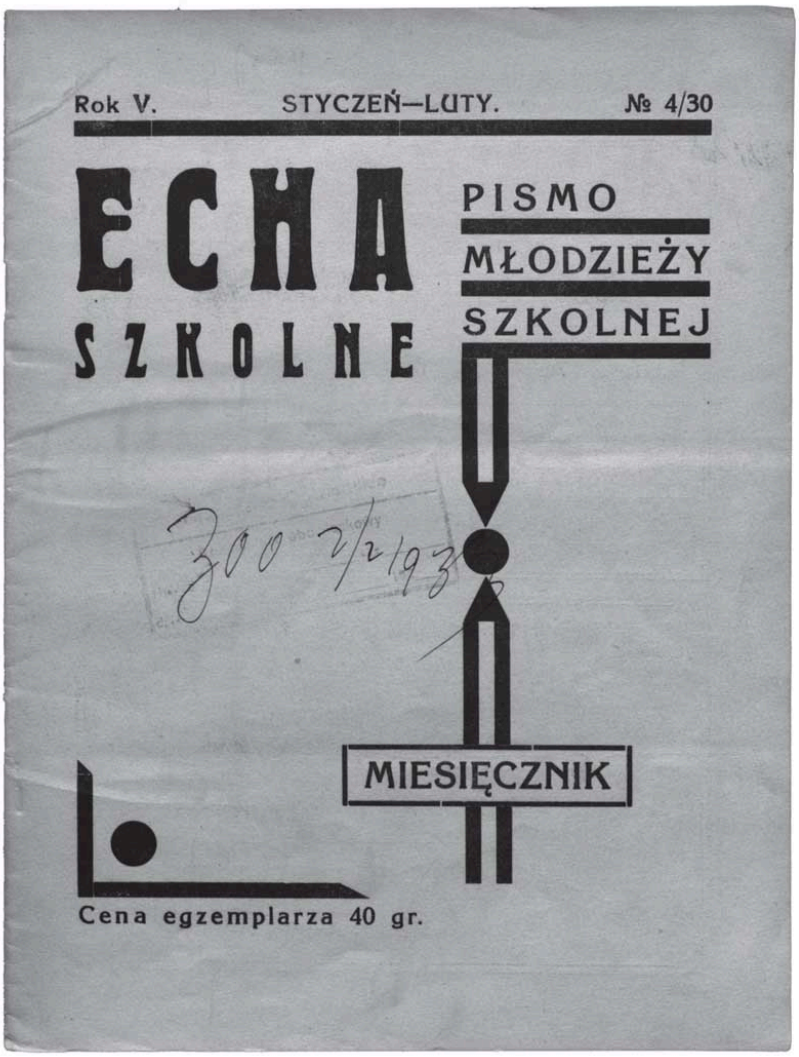

Pismo gimnazjalne „Echa Szkolne”

Córka generała Andersa z twojej szkoły dostała pierwszą nagrodę za kostium księżniczki. Czesiek Janczarski, tak jak Gincburżanka początkujący poeta, umieścił wiersz czternastoletniej Zuzy pod tytułem *Uczta wakacyjna* w gazetce „Echa Szkolne”. Zuza była w piątej B i tak śmiesznie napisała: „Wgryzam się zębami uczuć w kraśne jabłka dni czerwonych / I do kosza serca chowam skórki wspomnień już zjedzonych”. Rymowało się. Ach, ten ciągły Zuzy bzik, to jej szukanie rytmów i rymów! Ty zaś, Lusieńko, pod koniec roku szkolnego zrobiłaś na akademię wspaniałą dekorację ze sztandarów, przed którą koleżanka Jankowska deklamowała – włożyła w swoje deklamacje dużo uczucia –

wiersz o powstaniu listopadowym. Potem rozegrano małą scenkę: kolega Szczurowski grał rolę chorowitego Felka, który miał wkrótce umrzeć na suchoty, ale jeszcze chciał dla Polski coś zrobić, za nią walczyć, bo ją tak mocno kochał. W roli rosyjskiego generała wystąpił kolega Szewczyński. Miały też miejsce popisy muzyczne tria Roffmanów i śpiew solowy Bachówny. Było dużo braw i serdeczne podziękowania dla przedstawicieli komitetu rodzicielskiego, pani Łaloszowej i pana Mordasiewicza, którzy tę uroczystość pomogli zorganizować. Ty masz, Lusieńko, zdecydowanie talent; pięknie wycięłaś z tektury i pomalowałaś czterech Murzynków z tacą, by cała klasa się tam sfotografowała. Stoicie więc w kilku rzędach, niektórym widać same główki. W środku ty, Lusia Gelmontówna. Na odwrocie podpisałaś się: Lusieńka Gel. Obok Ania Pawełko, twoja uczennica, Wala Szuszkiewicz – Ukrainka, na dole córka pułkownika Myrki, na górze Rykowski Józio, w okularach Zyga Piotrowski, Lorka Laszewska – córka lekarza, blondynka, Lala Tomilin o płaskiej twarzy – córka rosyjskiego białego generała, mieszka na Hallera, jeszcze Abraszka, Lolek, Czesia, a z boku twoja przyjaciółka – Zuza Gincburżanka. Zuza musi z powodu matematyki powtarzać klasę. Po lewej stoi wasz wychowawca i nauczyciel polskiego, Peters, który potem ożenił się ze starszą siostrą Halinki Chmielewskiej – Zoją. To ważna w waszym życiu postać, to on zaszczepia wam miłość do polskiej literatury, do książek. Przeczytaliście już nawet całą trylogię Sienkiewicza. Ta w pierwszym rzędzie pani w bluzce w paski to nauczycielka Kubasiewicz – organizuje konkursy kukiełek, dalej pani od historii – Hoffmanowa, Piotr Soroka od gimnastyki, fizyk Faliszewski, przyrodnik Nowosielski, który prowadzi kółko krajoznawcze i meteorologiczne. Z tyłu wasz nauczyciel od historii Żydów. Uczy według książki Majera Bałabana tych, co nie chodzą na religię katolicką. I ksiądz Syrewicz, który w czasie okupacji wydawał Żydom metryki. Na zdjęciu nie ma pana dyrektora Jerzego Ostrowskiego ani jego żony Ewy Szelburg, która była też poetką.

Z. Gincburżanka.

STYCZNIOWE PORÓWNANIA.

Dziś zakwitły na szybach białych wiśni okiście
(Można wierzyć: na bruku sad się zjawił srebrzyście)
Siądę sobie przy oknie w niskim, miękim fotelu
I pozwolę swym myślom na gonitwę bez celu.

Pod rysunkiem węglowym, który zlekka lśni ramą,
Refleks światła chromowy na biel ściany padł plamą
To latarnia uliczna, drżąc, za oknem się słania—
— — ach-na jutro odrobić trzeba jakieś zadania

Wezmę bruljon z szuflady, która jęczy i zgrzyta,
I pomyślę przez chwilę: biedny szkolny banita!
Znajdę trafem stronicę, której kleks nie „ozdabia"
I postaram się—zechcieć—zacząć—przykład odrabiać.

Po godzinie na kartce będzie moc niespodzianek-,
Jakiś szkic szachownicy; jakieś usta zbłąkane;
Czarne oczy o rzęsach promienistych dokoła,
Myśl zerwana przypadkiem; współśrodkowe dwa koła;

Imię wczoraj poznane; „Kocha, lubi, szanuje"
Flores w bezsens wygięty i „przeczuty" szlak dwójek,
Wszystko — oprócz zadanych przykładów—sapristi!
(Nic dziwnego, wszak w styczniu kwitną wisni okiście).

Wiersz Zuzanny Gincburżanki w „Echach Szkolnych”

Sami tu Żydzi – mówiło się w Równem. – *Sami Jewreji, nie ma komu swyni pasty*.

Było ich tylu w tym mieście, aż znikli jakoś z waszego życia. Może nie chodzili głównymi ulicami, może przemykali gdzieś po bokach? Nie, to raczej wy, ważne gimnazjalistki ekskluzywnej polskiej szkoły, postanowiłyście ich nie zauważać. Mieć jak najmniej wspólnego z tym dziwacznym językiem, dziwacznymi imionami i jeszcze bardziej dziwacznymi zwyczajami. Oni żyją swoim, a wy swoim życiem. W chałatach, czarnych kapeluszach albo zwykłych czapeczkach krążą po ulicach, widać ich za ladą sklepu, stoją w kolejce po gazetę „Wołyner

Sztime”. Spotykacie ich, kiedy idą do biblioteki, na stadion żydowskiego klubu sportowego Hasmonea czy syjonistycznych organizacji: Bnei, Akiwa czy Beitar, albo do hebrajskiej szkoły Tarbut. Jest wśród nich może Fania Mussman, przyszła matka Amosa Oza. Ale mijacie ich obojętnie, bo wy się z nimi już nie zadajecie. Omijacie szerokim łukiem zmarzniętego, stojącego w bramie rudego Żydziaka, który sprzedaje kaczuszki i małpki na sprężynach.

Was interesują teraz polscy przyjaciele, polska kultura. Jesteście już gdzie indziej, gdzieś dalej, tak wam się przynajmniej wydaje. Ci wszyscy chałaciarze w czarnych strojach, pejsaci brodacze mówiący gardłową żydowską mową psują wam piękny obraz waszej asymilacji, waszej właśnie rodzącej się polskości.

Nie na darmo Zuza ma oczy dwoiste, jedno jasne słowiańskie, a drugie brązowe. Cichcem wymknęła się teraz ze szkolnej auli. Mrok już zapadał w zaułkach i widać było księżyc za splątanymi dachami domów. Wiatr gwizdał głucho w kominach. Wszędzie białe masy śniegu, można było po nim bezgłośnie chodzić. Zuza siadła przy oknie na swoim niskim foteliku. Światło latarni ulicznej załamywało się w białych kryształkach mrozu na zamarzniętej szybie. Wokół kleksa na kartce kajetu nabazgrała szkic szachownicy, zbłąkane usta, czarne oczy o długich rzęsach, profil jakby grecki, plątaninę kółek. „Kocha, lubi, szanuje” – pisała ogarnięta bezładną gonitwą myśli, kartkę zmięła, rzuciła do kosza. Ręką starła pomazany ołówkami blat, przypięła do biurka błyszczącymi pinezkami białą kartkę. Tak, na jutro trzeba przecież odrobić wszystkie lekcje, do wyuczenia łacińskie i niemieckie słówka, zadania z algebry.

Koleżanki ze szkoły. Od lewej: córka pułkownika Myrki, Żydówka, która zginęła, Lusia Gelmont, Baszyńska, córka adwokata, i córka generała, Lalka Tomilin

Tak bardzo pragnęła być wreszcie dorosła, a jej życie było takie zwykłe, tak niecierpliwie czekała, że coś się wreszcie wydarzy. Do babcinego sklepu ozdobionego korynckimi kolumnami pukało wielu, a każde pukanie było inne, a ona czekała, że może pocztylion wyciągnie ze skórzanej torby dużą kopertę z jasną rezedą. List do niej? Czekała na to pukanie radosne kogoś, kto wejdzie w ich dom i będzie umiał wszystko powiedzieć bez żadnych słów, wtajemniczy ją w sekrety życia i pójdą dalej razem, wbrew zawiłościom świata. Na nic się już nie zdadzą pozamykane na klucz drzwi. Ten wymarzony zajrzy do jej białego pokoiku, a ona otworzy wszystkie okna na oścież, na przestrzał, niech dmą sobie burzliwe przeciągi, niech fala powietrza wtargnie wreszcie w dom, niech płuca wypełnią się aromatem świata. Co z tego, że ma tylko piętnaście lat.

My chcemy konstytucji, my chcemy swego prawa,
że wolno nam bez wstydu otwarcie w świat wyznawać
prawdziwość krwistych burz,
że wolno wcielać w słowa odruchy chceń najszczerszych,
że wolno nam już wiedzieć, że mamy ciepłe piersi
prócz eterycznych dusz, –
my chcemy konstytucji i praw dla siebie pełnych,
że wolno nam zrozumieć: mężczyzna, to nie eunuch
i wielbić mięśni hart,
że wolno nam już pojąć, jak miłość ludzi wiąże,
że wolno nam nie chować pod stos różowych wstążek
biologicznych – prawd! –

Bunt piętnastolatek (16 grudnia 1933)

Kończyła się zima, wyszły już przebiśniegi, dziwne kwiaty o słodkiej woni, które tak lubiła. Ludzie zaczynali się wreszcie do siebie blado uśmiechać, bo oto nadchodziła wołyńska wiosna. Na cienkich drutach elektrycznej pięciolinii wróbelki wyśpiewywały swoje trele.

Zuzanna Gincburżanka w czasach gimnazjum w Równem

Dziewiętnastoletni, cztery lata od niej starszy Tadeusz Błażejowski był niebieskookim mężczyzną, gimnazjalnym kolegą. Nadszedł czas upragnionych randek, spacerów w alejach liliowych bzów, wspólnych partii tenisa i pysznych kawowych lodów. Studiowali razem wiersze Leśmiana, zaszywali się w czytelni, grali w szachy i warcaby. Tadzio czytał od deski do deski „Świat” i „Iskry” albo w skupieniu studiował tomy encyklopedii. Zapadał zmrok, ciemniały bruki uliczek, kontury domów, cynobrowe dachy, kiedy wychodzili objęci z czytelni. Pruski błękit nieba spływał powoli w okoliczne sady, a horyzont wyiskrzał się suto gwiazdami. Po co prowadzić z powagą te głupie rozmowy?

Szukam w myśli warg męskich, by ramion go skuć

[oplotem,
gdy w dusznej bezsenności sekundy wybija szloch –
– a teraz zaciśnij usta i chłodno, twardo mnie potęp:
oto masz moje noce, gołe, wyłuskane jak groch.

We dnie chcę głód rozbudzać ręki cielistym dotykiem
znam już tę mękę: odczuć tętnic najkrwistszy rdzeń
– a teraz odwróć oczy i babą mnie okrzyknij:
oto masz prawd obnażonych mój desperacki dzień.

Spotkany przechodni wzrok serce rozsadza jak drożdże
(blady, dzienny półksiężyc przekleństwa mego strzegł)
– zrozum, że to jest zew dzieci czerwone rodzić:
oto jest moja świętość i oto jest mój grzech.

Kobieta (19 listopada 1933)

Czy Tadeusz przeczytał uważnie ten wiersz? Miał dla niej mało czasu, bo przed nim matura i egzamin na architekturę we Lwowie. Zuza tęskni do niego, czeka na jakiś znak, jej noce są długie i bezsenne. Jakby stanęły zegary. Tęskni do jego opalonych dłoni, do jego ciepłych, brązowych ramion i szuka go wszędzie, ale to ciągle ktoś inny ma jego uśmiech, jego sylwetkę i choć ich miasteczko ma mało uliczek, to widać za dużo, by się spotkali. Nadchodzi lato, zbliżają się wakacje, koniec roku szkolnego, pierwsze upały. Łąki pachną skoszoną trawą i leszczynową leśną wilgocią. Jak co roku Zuzanna jedzie na dwa miesiące na letnisko do Klewania. Przyjeżdżają tu setki gości, nawet z Warszawy, wszędzie słychać jidysz, rosyjski, niemiecki, polski. Na wysokiej klewańskiej skarpie stoi ogromny zamek Czartoryskich, w dole rozlewa się leniwie rzeka Stubła, w której z rana myją swoje konie siedzący na oklep nadzy Ukraińcy. Dwadzieścia pięć kilometrów od Równego jedzie się dorożką poprzez sosnowe lasy na piaskach, rozlegle łąki, pola pełne maków, sady czerwonych jabłek, mija zakład poprawczy, dwa wielkie tartaki, boisko w budowie, aż do Nowego

Stawu, do wynajętej przez Sandbergową, tuż koło torów, murowanej willi z gankiem i balkonikiem na pierwszym piętrze.

Lusia Gelmont z przyjaciółmi na ulicach Równego, obok niej poeta Czesiek Janczarski, Staszek Anielewski i jego siostry

Nastaje wreszcie upragniony czas słomkowych kapeluszy, lekkich sukienek w kwieciste wzorki, bujających się hamaków, biesiad w ogródku albo na werandzie. Czas wesołych kąpieli w rzeczkach i romantycznych wycieczek do obrośniętego listowiem wokół starych torów „tunelu miłości”. Z Wilna przyjeżdżała do Nowego Stawu co roku kuzynka Lidka Nogid z rodzicami, odwiedzają ich też tutaj kuzynowie z okolic: Chana Liberman z bratem Abraszą, Lea i Chaim Wigdorowiczowie, przyjeżdżają rzesze kolegów, znajomych z tenisowych kortów i rówieńskiego, całkiem nowego basenu, gdzie od pierwszych promieni słońca pływało się na wyścigi żabką albo kraulem

i demonstrowało modne kostiumy kąpielowe. Bywa więc syn doktora – Izaak Gasko, Marysia Zenowicz, Paweł Segał, Jan Śpiewak, zawsze z kolejnym tomem poezji skamandrytów pod pachą w prezencie dla młodej poetki. Bywałaś i ty, Lusiu, czasem w Nowym Stawie, choć onieśmielało cię towarzystwo Zuzy, jej nowe poetyckie koneksje. Ludzie przyjeżdżali specjalnie do niej z Warszawy, wpadał Jerzy Andrzejewski, spędzający obok w Hruszwicy wakacje u Janczarskich.

Lusia w otoczeniu przyjaciół na ulicy w Równem. Obok niej poeta Czesław Janczarski

Babcia Chaja szybko jednak wracała do Równego pilnować interesów. Sparaliżowanym dziadkiem Sandbergiem, dostojnym starcem o włosach patriarchy, zajmowała się opiekunka. W Klewaniu opowiadano, że stary Sandberg ponoć znał osobiście Czechowa. A on kołysał się w fotelu na biegunach i powtarzał: *Gimnaziju koncziła, gimnaziju koncziła*... – Kto? Cunia? Zuza? – *Gimnaziju koncziła i na nic*...

Przed wyjazdem na Uniwersytet Lwowski pojawił się w Klewaniu Tadeusz. Nadal zafascynowany Zuzy egzotyczną urodą szkicował jej portrety, a nawet napisał krótki poemat, a ona zadedykowała mu wiersz. Czy rozsupła się kiedyś zawiłość ich uczuć i słów, ich niedopowiedzeń? Czym jest miłość – zastanawiała się Zuzanna w bezładzie ich spotkań

i pożegnań – może tylko nieustającym bólem, który zakłóca wewnętrzny spokój? Największą, najwierniejszą przyjaciółką Zuzy, która o wszystkim wiedziała, była stale się jej trzymająca Blumka Fradis, dziewczyna z dobrego mieszczańskiego domu, śliczna, delikatna blondynka o porcelanowej, bladej cerze, inteligentna i dowcipna. Blumka była o rok od Zuzy starsza. Pamiętasz, Lusiu, jej mały, zadarty nosek, jej niesforne blond włosy, które ciągle wymykały się spod szkolnego beretu? Blumka była tak zakompleksiona, że całymi dniami nie wychodziła z domu, bała się ludzi, bała się, że ktoś może zobaczyć jej twarz pokrytą wyobrażoną wysypką. Lęk był tak silny, że z trudem udawało się jej pracować, uczyć. Dopiero kiedy odchodził, mogła się na nowo śmiać i bawić. W swojej samotności i wymyślonych strachach Blumka uciekała do mieszkania na Hallera i tylko Zuza miała do niej wstęp, jej tylko Blumka otwierała drzwi. Siedziały razem w milczeniu, patrząc na kiście bzów w wazonie, na ciemniejącą, rówieńską ulicę. Zuza, choć tak zawsze pełna życia, zawsze rozumiała lęki Blumki, a swoje przy Blumce potrafiła przezwyciężać.

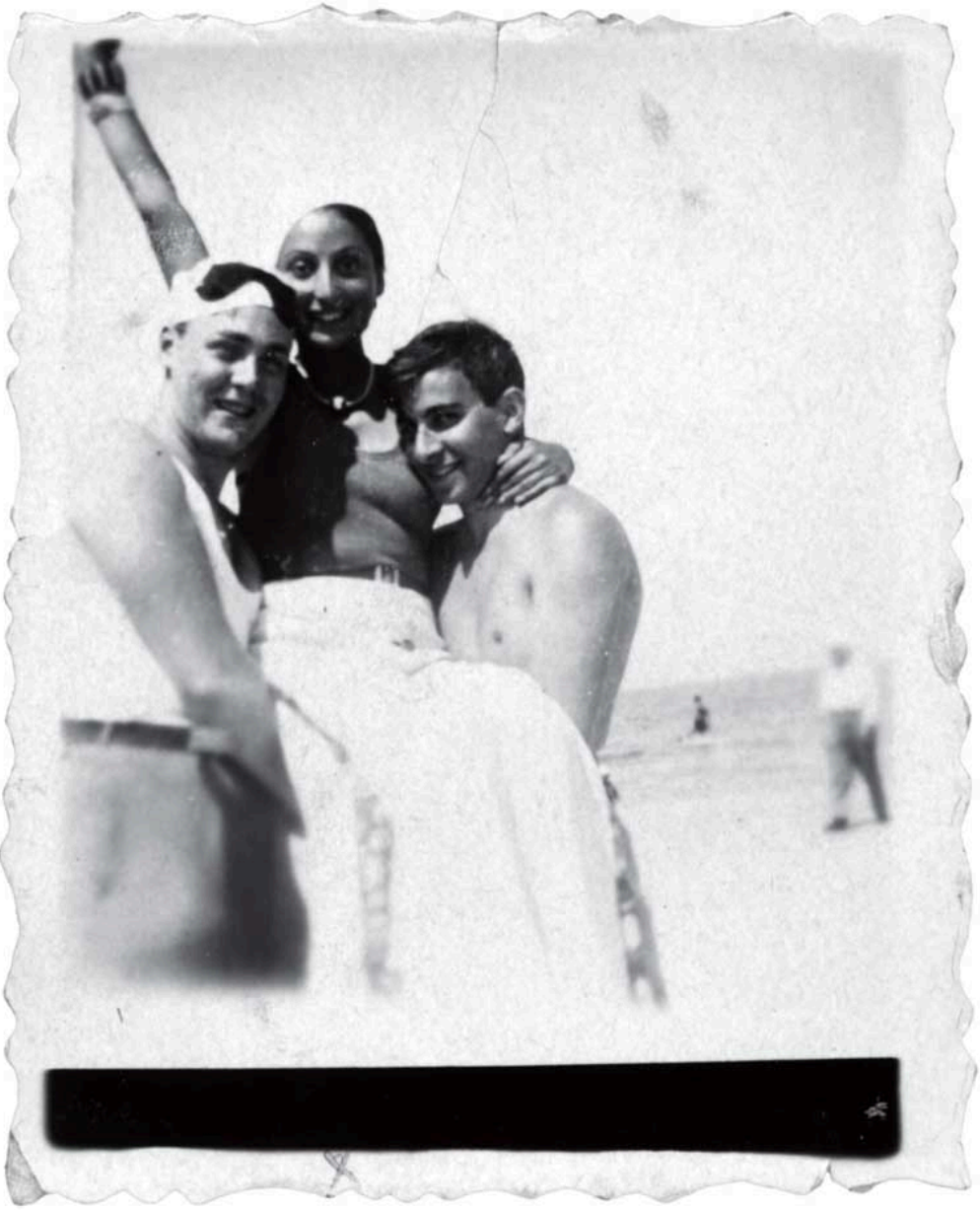

Na basenie w Równem. Zuzanna Ginzburg z kolegami

Zuza, z każdym rokiem piękniejsza, wiedziała, że podoba się mężczyznom, była tego świadoma i lubiła się nimi otaczać, słuchać ich zachwytów, popisywać się – przy całej swojej skromności – swą inteligencją i dowcipem. Jej smukłe nogi, piękne biodra, egzotyczna, śniada twarz, powłóczyste spojrzenie urzekały. Była, Lusiu, twoim

i Blumki ideałem, a ty, młodsza od niej, chłonęłaś wszystko, co robiła. Obie byłyście piękne, wiedziałyście o tym, bo czułyście na sobie pełne zachwytu spojrzenia chłopców, waszych kolegów i dziwnie lustrujący wzrok dorosłych mężczyzn, którzy rzucali na was ukosem pożądliwe spojrzenia. Was, dziewczyny, dziwiła raczej i śmieszyła ta męska chutliwość. Trzymałyście dystans. Broniłyście się ironią przed zbytnią natarczywością, niedyskrecją pytań. Zaskakiwałyście ich błyskawicznym, dowcipnym komentarzem. Mistrzynie ciętej riposty.

Zuzanna Gincburg z kolegą na przechadzce w Równem

Dla Zuzy liczył się jeszcze Tadeusz, już młody architekt. Siedział teraz przy biurku w dalekim Lwowie i liczył logarytmy, miał pewno szklane kątomierze i rozdwojony cyrkiel i uczył się budować domy, w których będą się kłócić ludzie. Tak mu wówczas napisała:

Prędko będzie rok 34,
ale był rok 32 –
a 32, jak narty
pozostawił po sobie dwie smugi
(jedną w myślach pozostawił tobie –
drugą krwi mej pozostawił we mnie)
będą szlaczyć się smugi obie,
póki wiatr ich nie zliże zupełnie. [...]
Zatoczyłeś pod niebo łuk
serca cyrklem zakreśliłeś mnie w koło.
A czy teraz byś jeszcze mógł
tyle cudów wbudować w słowo?
a czy teraz jeszcze byś mógł
zmierzyć świat pod kątem miłości
i konstrukcją sztuczek i sztuk
dnie rozpiętrzać piękniej i prościej?
No – a wtedy umiałeś mnie zliczyć
tą miłością, której byłeś wart –
no – a wtedy byłeś budowniczym
zamków na lodzie i domków z kart.

Laurka noworoczna. Tadeuszowi Błażejowskiemu (26 grudnia 1933)

Ale tak naprawdę Zuza marzyła i pragnęła najmocniej, by się wspiąć na wyżyny polskiej poezji. Jak Leśmian, bo kochała jego opisy przyrody, jak Słowacki, bo uwielbiała jego mistyczne poematy. „Moja mowa jest dla mnie krajem” – pisała. Czytała od deski do deski „Skamandra”, „Wiadomości Literackie”, „Sygnały”, gdzie ukazywały się utwory młodzieży z okolic Lwowa; Stanisława Jerzego Leca, Brunona Schulza,

Debory Vogel. Z gazet przychodziły krótkie odpowiedzi: „Wiersz miły, ale niewyrobiony”, „Miłe, ale sentymentalne”. Wkrótce jednak poezją Ginczanki zachwycił się sam Tuwim i jej wiersz *Gramatyka* został wyróżniony w Turnieju Młodych Poetów – konkursie poetyckim „Wiadomości Literackich”:

– więc weź tylko słowo do ręki
i obejrzyj jak burgund pod światło,
a wrosnąć w słowa tak radośnie,
a pokochać słowa tak łatwo. –

Gramatyka (1933)

Pamiętasz Józka Łobodowskiego? Odbywał służbę wojskową w Równem, w miejscowej podchorążówce, w 44. Pułku Strzelców Kresowych, i zakochał się w Zuzie na umór. Siedział godzinami u niej w ciemnym pokoju. Czytali sobie nawzajem swoje poematy. Miał dwadzieścia cztery lata, a Zuza – szesnaście, i babcia Sandbergowa bardzo się niepokoiła. Łobodowski tak to wspominał po latach, w roku 1978, na emigracji:

Babcia: – *Sanoczka, czto ty tak dołga razgawariwajesz z etim sołdatom?* – Co ty tak długo z tym żołnierzem gadasz?

Zuza: – *Babuszka, my wiediom litieraturnyj razgawor*. – Babciu, prowadzimy rozmowę o literaturze.

Łobodowski: *Madam ja wied’ wlublon w Sanoczku tolko płatoniczeski!* – Proszę pani, jestem w Sanoczce zakochany tylko platonicznie.

Babcia (podnosząc swoje złote pince-nez): – *Isz jewo! Nam charaszo znakomy eti płatoniczeskije lubwi.* – Znamy się na tych platonicznych miłościach!

Zuzanna Ginczanka z przyjaciółmi, Lidką Nogid i Izaakiem Gasko. Mężczyzna na pierwszym planie nieznany

Sana nie była skłonna do przygód i śmiała się z niego: „Słuchaj, ty chcesz mnie chyba uwieść”. Albo za chwilę: „Śmierdzisz koszarami i żołdackim juchtem” – mawiała brutalnie do zakochanego Łobodowskiego.Wysunięta szczęka, krok boksera, skłonność do pijatyk i rozrób. To nie był jegomość łatwy. Zapewniał sierżanta, że nie interesuje go ani rozbieranie, ani ubieranie karabinu, i za ten dowcip

trafił do aresztu. W Równem podoficerowie wymyślali różne sposoby, żeby tych pewnych siebie, młodych żołnierzy poniżyć, więc kto tylko mógł, urywał się z podchorążówki. W domu Śpiewaków zawsze czekały na nich na białym obrusie dania i napoje. Ale Józek Łobodowski myślał tylko o Zuzi i pędził na 3 Maja, na pięterko do Sany, posłuchać jej niskiego głosu, kiedy czytała:

ja – to ty, ty – to ja (równanie)
ja bez ciebie – ty beze mnie to zero.
My lubimy otuleni zmierzchami
w małych słowach jak w szufladkach szperać.
Ja to ty – ty to ja.

Gramatyka (1933)

Jest wczesna jesień roku 1935, już żółkną wszędzie liście. Na dworcu w Równem zapach węgla z lokomotyw wypełnia powietrze, jest półmrok i migają czerwone, niebieskie i zielone lampki. Świeża maturzystka Zuzanna Polina Gincburg wsiada do sapiącego pociągu do Warszawy. Przed nią prawie pięćset kilometrów, cały dzień w wagonie, a potem pełne kolorów życie. Jest szczęśliwa, bo oto spełniają się jej marzenia.

„Jak atlas dźwigam hardo na barkach własne niebo” – notuje w przedziale. Za chwilę pociąg powoli opuści stację Równe Wołyńskie i Zuzanna wyrwie się do wielkiego świata. „Gdziekolwiek pójdę – zawsze będzie: naprzód”. Już miga po drodze znajoma stacja Klewań, jeszcze Łuck, Kowel, potem będzie Chełm, Lublin, Warszawa.

Poeta Józef Łobodowski, który w Równem odbywał służbę wojskową

2

WARSZAWA
1935–1937

Och, pora by się obudzić, Lusieńko, bo pociąg minął już Wschodnią, zaraz wjedzie na Dworzec Główny, zobaczysz po raz pierwszy waszą stolicę, Warszawę, to Zuza Gincburg cię zaprosiła, ona tam już od roku mieszka. Jak zwykle znajduje się zaraz ktoś do pomocy, uprzejmy pan z przedziału pomaga ci zdjąć z drewnianej półki walizkę, doprawdy za dużo wzięłaś rzeczy na te parę dni, które masz u Zuzanny spędzić, ale dla ciebie, gimnazjalistki, to wyprawa do wielkiego świata i przygoda. Mama twoja zgodziła się od razu na taką długą podróż, szczególnie że chce, żebyś się skontaktowała w Warszawie z jej kuzynem, Guzikiem z Jointu, który może ci w dalszych studiach pomóc.

Strasznie jesteś ciekawa tej Warszawy i od razu porywa cię fala przechodniów, idziesz wśród nich po szerokich chodnikach Alei Jerozolimskich. Mijasz ozdobione wieżyczkami secesyjne kamienice, rosłe kariatydy, umięśnionych gigantów. Przyglądasz się ze zdziwieniem, jak kamienni górale dźwigają na plecach ciężkie portale bram. Zewsząd dochodzi cię warkot samochodów, motorów, tramwajów, które suną w kierunku mostów lub Mokotowa. Nie, tego miasta oczywiście nie można porównać z Równem ani nawet z Krakowem czy Lwowem. To jest wielki, elegancki świat – stolica, wszędzie tyle restauracji, sklepów, fantastyczne życie. I tyle szyldów, zabawnych reklam, które kuszą i tyle obiecują: „W ciężkich czasach zdrowie najważniejsze – Naturalny sok z czosnku”, „Od kaszlu chronią ślazowo-słodowe – tylko FRANBOLI”, „Ucieczka przed kaprysami naszego klimatu wokół Europy na komfortowym statku KOŚCIUSZKO”, „Dla twych gości u Ciebie w domu muzyka taneczna z najwspanialszych

dancingów – RADIO PHILIPS”, „Środa okazji domu mody Bogusława Herse. Piękny dobór koronek prawdziwych, starożytnych i nowoczesnych”. Mijasz narożny hotel Polonia, kamienicę ozdobioną rozetami, wieńcami, szyszkami pinii. Już zapada zmrok, rozbłyskują gazowe latarnie, żarzą się światłami witryny, a najpiękniejsza to ta z futrami. Są długie i trzy czwarte, wielki wybór lisów srebrnych, niebieskich, popielatych. Wiadomo, na futro cię nie stać, ale nic nie kosztuje pooglądać. Mijasz dalej sklep Materiałów Piśmiennych, fabrykę cukierków, „Reparacje na miejscu oczek w pończochach”. O, to się na pewno przyda, bo masz już jedną parę przezroczystych pończoszek ze szwem. Taki mały luksus. Potem skręcasz w Bracką, na dachu u Braci Jabłkowskich wysoko pod samym niebem kręcą się ludzie w kawiarnianym ogródku, migocze na niebiesko neon Chevrolet. Anonsują tu wielkie wyprzedaże: „Resztki jedwabne, bawełniane, wełniane z ustępstwem do 50 procent”, „Pyjamy trykotowe plażowe w ładnym fasonie”, „Supralen na suknie i komplety”, „Jedwabie crêpes mat i marocain”. Fajnie by było mieć taką rozkloszowaną sukienkę w barwny deseń.

Oficyna domu przy Szpitalnej 5 w Warszawie, gdzie Zuzanna Ginczanka mieszkała w latach 1936–1939

A oto dom Zuzanny Gincburg. Sprawdzasz jeszcze adres. Tak. Szpitalna 5 mieszkania 15, w oficynie. Z secesyjnej kamienicy Wedla naprzeciw dobiega ciężki zapach gorącej czekolady.

Od tamtej chwili upłynęło dziś osiemdziesiąt lat. U Wedla nadal podają czekoladę. Przechodzę przez półokrągły portal, w głębi szerokiego podwórka wchodzę szybko na drugie piętro, numer mieszkania piętnaście, mosiężna gałka w drzwiach, złoty, wypukły numerek. Dotykam klamki i złotej piętnastki, przez chwilę stoję

nieruchomo. Potem zbiegam w dół, trzymając się drewnianej poręczy, po drodze przez półokrągłe okna śledzę kątem oka widoki na podwórko, robię zdjęcia. Jakie to dziwne, wydaje mi się nagle, że czuję oddech Zuzanny, który łaskocze mi kark, ona jest przecież tuż za mną, słyszę jej elegancki, lekki krok, wyczuwam jej chęć, by mi coś powiedzieć, ale powiedzieć ona nic przecież nie może. Jednak wiem, co Zuza chce mi powiedzieć: „Idź. Proszę cię. Idź dalej. Tak trzeba”. Dzwonisz wtedy do jej drzwi, Lusieńko, za chwilę słychać kroki i ukazuje się twoja przyjaciółka, jak zawsze piękna, ze ściągniętymi w kok, jak u baletnicy, włosami. Podziwiasz ją przez moment w tych otwartych drzwiach, jej matową, oliwkową cerę, ogromne dwukolorowe oczy, pięknie zarysowane usta. Jest teraz ekscentryczną, samodzielną kobietą. Wita cię serdecznie, a ma w sobie to samo ruskie ciepło, które znasz ze swojego domu. Stawiasz swoją walizkę przy kaflowym piecu.

– Czego się napijesz Lusiu – pyta. – Może herbaty, soku?

– „Jafejskie pomarańcze i grejpfruty, owoc palestyński najbardziej soczysty” – deklamujesz, kiedy idziecie przez długi korytarz do kuchni i tam Zuza szykuje herbatę w czajniczku, podgrzewa bułeczki nadziewane mięsem z sosem z prawdziwków, zwane tu, objaśnia ci, „maczankami”. Mieszkanie jest wielopokojowe, duża kuchnia, której okna wychodzą na podwórko, łazienka z wanną. W sublokatorskim pokoju stoi na sekretarzyku, pełnym jakichś kartek i papierów, zdjęcie jej ojca. To chyba po nim Zuza odziedziczyła takie uwodzicielskie spojrzenie.

– Masz wiadomości od taty? – pytasz, ale pytanie wydaje ci się niestosowne, więc się poprawiasz: – A co się dzieje z twoją mamą?

– Przenieśli się z Wilhelmem do Pampeluny, tam gdzie odbywają się słynne gonitwy byków po ulicach. Hemingway to wszystko opisał.

– Uciekają teraz przed bykami? – śmiejesz się, wyobrażając sobie biegnącą hiszpańskimi uliczkami krępą Cunię.

– Oj... Tacy niedyskretni ci współlokatorzy – skarży się Zuza. – Radio stale nastawione. Wszystko słychać.

Faktycznie dochodzą tu skoczne, legionowe melodyjki:

Jedzie, jedzie na Kasztance
Siwy strzelca strój!
Hej, hej, Komendancie,
Miły wodzu mój!

Potem dobiega *Mały flircik z wami to ciekawa gra* i spiker komentuje: „Bo wiadomo, każda dziewczyna lubi poflirtować”. To prawda. Poflirtować, choć niekoniecznie coś więcej. Trzeba to z Zuzą omówić.

Wydaje ci się, Lusieńko, że czas się zatrzymał, że znowu jesteście razem na pięterku nad składem aptecznym w Równem, siedzicie obie na jej łóżku, nogi podwinięte, i gadacie, gadacie, coraz to wybuchając śmiechem. Teraz Zuza ci opowiada, jak opuściła mieszkanie ciotki Anny Nogid na Chmielnej i wynajęła pokój na ulicy Królewskiej, gdzie pierwsze noce spędziła na walce z pluskwami. „Po co było walczyć. Trzeba się było z paroma zaprzyjaźnić” – komentujesz, Lusiu.

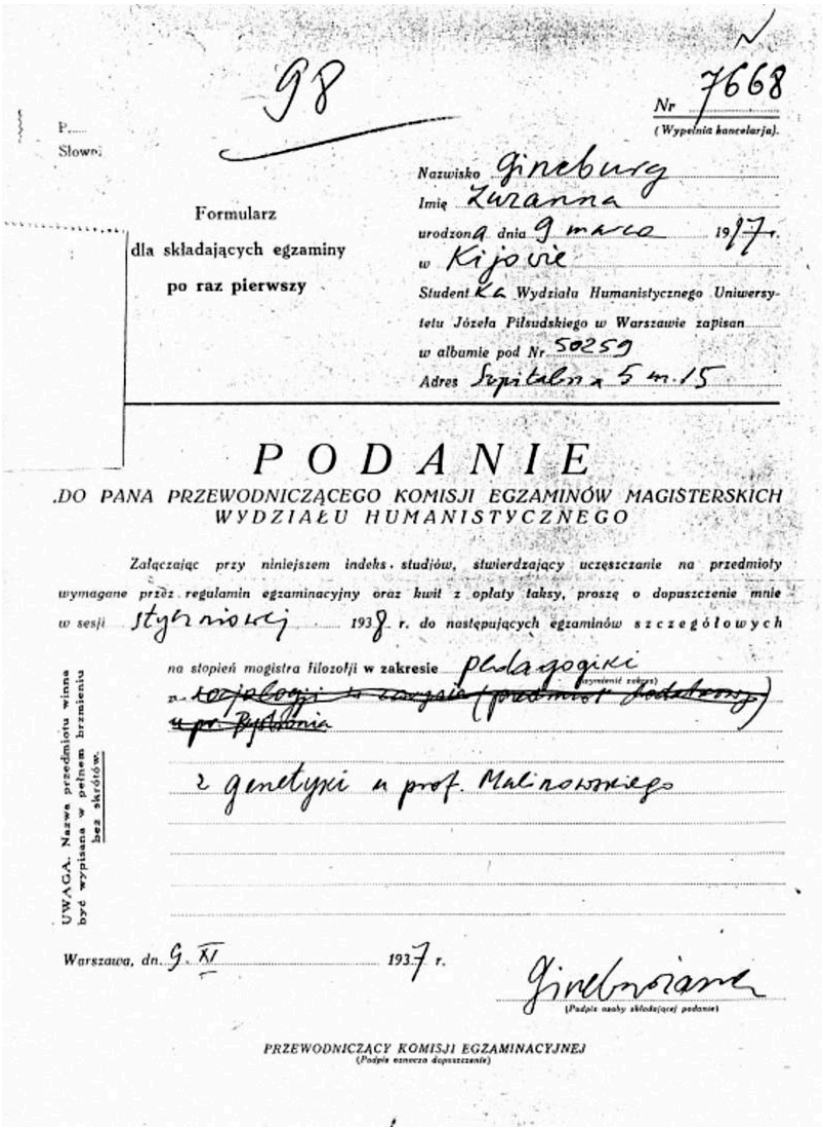

98

Nr 7668
(Wypełnia kancelarja).

P.....
Słown:

Formularz
dla składających egzaminy
po raz pierwszy

Nazwisko Ginczburg
Imię Zuzanna
urodzona dnia 9 marca 1917 r.
w Kijowie
Student ka Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie zapisan
w albumie pod Nr 50259
Adres Szpitalna 5 m. 15

PODANIE

DO PANA PRZEWODNICZĄCEGO KOMISJI EGZAMINÓW MAGISTERSKICH
WYDZIAŁU HUMANISTYCZNEGO

Załączając przy niniejszem indeks studjów, stwierdzający uczęszczanie na przedmioty wymagane przez regulamin egzaminacyjny oraz kwit z opłaty taksy, proszę o dopuszczenie mnie w sesji styczniowej 1938 r. do następujących egzaminów szczegółowych na stopień magistra filozofji w zakresie pedagogiki
~~z botaniki ze zoologji (przedmiot dodatkowy) u prof. Rylkowa~~
z genetyki u prof. Malinowskiego

UWAGA. Nazwa przedmiotu winna być wypisana w pełnem brzmieniu bez skrótów.

Warszawa, dn. 9. XI 1937 r.

Ginczburgowa
(Podpis osoby składającej podanie)

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI EGZAMINACYJNEJ
(Podpis czynezy dopuszczenie)

Podanie do komisji egzaminacyjnej Uniwersytetu Warszawskiego z roku 1937

Potem konieczne zapisy na uniwersytet. Latanie od kwestury do dziekanatu, od dziekanatu do kliniki. Badania, podania, załączniki, formalności i wreszcie wyniki. Za szkłem na drewnianej tablicy: Wydział Humanistyczny UW, pomiędzy Lipińskim Janem Edwardem, Biłym Sergiejem, Rembaumem Baruchem jest jej nazwisko: Zuzannna Polina Gincburg, urodzona 9 marca 1917 roku w Kijowie. Matura: rok 1935 w Równem. Numer wpisu 50259. Niektórzy nowi, już w białych czapkach studenckich, czasem specjalnie trochę pobrudzonych, wybiegają radośnie na Krakowskie Przedmieście, wymijają ją, potrącają,

a ona idzie jak zwykle wyprostowana, na wysokich obcasach, piękna osiemnastolatka o egzotycznej urodzie. Właśnie dołączyła do studenckiej rzeszy dziesięciu tysięcy uniwersyteckich kolegów i studiować będzie tu, na Uniwersytecie imienia Józefa Piłsudskiego, aż do 1939 roku, kiedy to hitlerowcy zamkną uczelnię i zamienią w koszary niemieckiej żandarmerii.

Zuzanna Ginczanka

Za chwilę będzie uroczystość inauguracji. Zuzanna Gincburg w obcisłej granatowej sukience z białym kołnierzem stoi w tłumie studentów, na wprost profesorów w togach z gronostajów i w uniwersyteckich kapeluszach. Za chwilę ona – panna Gincburżanka z Równego – dołączy do chóru silnych, młodych głosów, które zaśpiewają:

Gaudeamus igitur
iuvenes dum sumus:
post iucundam iuventutem,
post molestam senectutem,
nos habebit humus!

Atlasowe kołdry z koronkowym lampasem, o wiele za wykwintne na tę studencką stancję, przysłała w zapieczętowanym koszu z Równego babcia Sandbergowa. Zuza ścieli ci już na składanym łóżku w swoim pokoju. Jasne firanki przepuszczają światło z bocznej ulicy Przeskok. „Przeczytasz mi jakiś swój wiersz?" – pytasz. Lubisz wiersze Zuzanny, są takie bajkowe, pełne barwnych, dalekich światów. Czasem okrutne, jak ten, który znasz na pamięć:

Pod opalonym naskórkiem krew podrażniona boli –
w krętych opętlach tętnic życie wylewa wisłą,
w cienki nabłonek wargi ciśnie się krwawo półkolem,
rumieńcem zgrzanych policzków w manifest chce mi
[wytrysnąć –
cieszę się: życie! (wykrzyknik); oddechom daję posłuch,
że niby: lat siedemnaście,
że niby: jestem szczęśliwa,
a przecież jestem nadziana na pal, na własny kręgosłup
(mam w sobie śmierć nieuchronną jak igła krążąca
[w żyłach)
to nie da się przekabacić,
i nie da się przeżebrać:
w prześwicie słońca przez dłonie mogę pięć kości dostrzec –
pod pomarańczą piersi jest suche jak gałąź żebro
a pod gibkimi mięśniami jest sztywno chruściasty
[kościec –
Oczami jak agrafkami
ostro wpięłam się w świat

Fizjologia (31 marca 1934)

To smutny wiersz. I już prawie zasypiasz, kiedy słyszysz głos Zuzy, jeszcze melodyjny, zabarwiony z lekka wschodnim akcentem, bo przecież pierwszym waszym językiem ojczystym był rosyjski i taki cień zaśpiewu wam obu pozostał. Ledwo cień. I Zuza ci czyta swój nowy wiersz, też smutny.

Nie powstałam z prochu –
nie obrócę się w proch –
Nie zstąpiłam z nieba
nie wrócę do nieba.
Jestem sama niebem
tak jak szklisty strop.
Jestem sama ziemią
tak jak rodna gleba.
Nie uciekłam znikąd i nie wrócę tam.
Oprócz samej siebie nie znam innej dali.
W wzdętym płucu wiatru i w zwapnieniu skał muszę
siebie tutaj
rozproszoną znaleźć.

Wyjaśnienie na marginesie (1936)

Tej nocy śni ci się, Lusiu, że jest słoneczna niedziela, jedziecie obie dorożką przez Warszawę i dorożkarz batem pokazuje wam Belweder i Łazienki. Ścigacie się z tramwajem sunącym Krakowskim Przedmieściem, mijacie mocno zniszczone kamieniczki Starego Miasta.

Rano do drzwi puka listonosz i Zuza ucieszona otwiera list: „To od Blumki Fradis!”.

Kochana Saneczko – czyta. – Otrzymałam w sobotę Twój list nie normalną pocztą, ale bardzo dziwnymi drogami: przyniósł go po 10 wieczór i doręczył mojej mamie „jakiś prikancik” odpieczętowany (list, nie „prikancik”), z jakimiś bardzo mętnymi tłumaczeniami. Czy

> zapomniałaś Kolejowa 3, kamienica Szaca? Bardzo się wzruszyłam Twoim listem (nie kwintesencją, ale twoją życzliwością) i chciałam ci zaraz na gorąco odpisać, ale odłożyłam to i w międzyczasie... (ja myślę o historii z Panem B)...

– Och te Blumki romanse! – komentuje Zuza. – W co ona się wdała i teraz cierpi jak zwykle. O, cytuje nawet Katarzynę Mansfield:

> ...wszystko, wszystko co robię byle wydostać się z tej strasznej pułapki, uciec, być wolną. Nie podobna zrozumieć takiej depresji, o ile się jej nie zaznało... A tu jeszcze jakieś dopiski. Specjalne ukłony ode mnie dla Pana T. Ty czekasz na miłość, a co na to Pan A.N. czy to stanowi tylko „ersatz”. Ukłony dla pana Andrzeja.

– Potem spokojnie przeczytam, bo mamy wyjść. Ale uwaga, Lusiu, w takich gumiakach po Warszawie chodzić nie możesz!

– Zuza Pogorzelska reklamuje wszędzie pepegi.

– Trzeba ci będzie coś porządnego znaleźć!

I zaczyna się wywracanie butów w mahoniowej szafie, przymierzanie i śmiechy, że trzeba będzie palce uciąć jak siostrze Kopciuszka, ale w końcu są: białe czółenka z kokardkami, tylko trochę cię w nich nogi bolą, pięty obcierają, ale trudno. Wystroiłyście się obie w eleganckie kostiumiki i ruszacie, dwie piękności, pod rękę na miasto. Zuza trochę wyższa od ciebie, nogi ma smukłe, długie, nie daje się z tobą porównać, dlatego ty zawsze nosiłaś trochę dłuższe spódnice, żeby te swoje feralne nogi – brak witaminy D podobno – zakryć, choć twoja mama Bluma mawiała: „Zgłoś się do mnie, jeśli ci nogi w czymkolwiek w życiu przeszkodzą”.

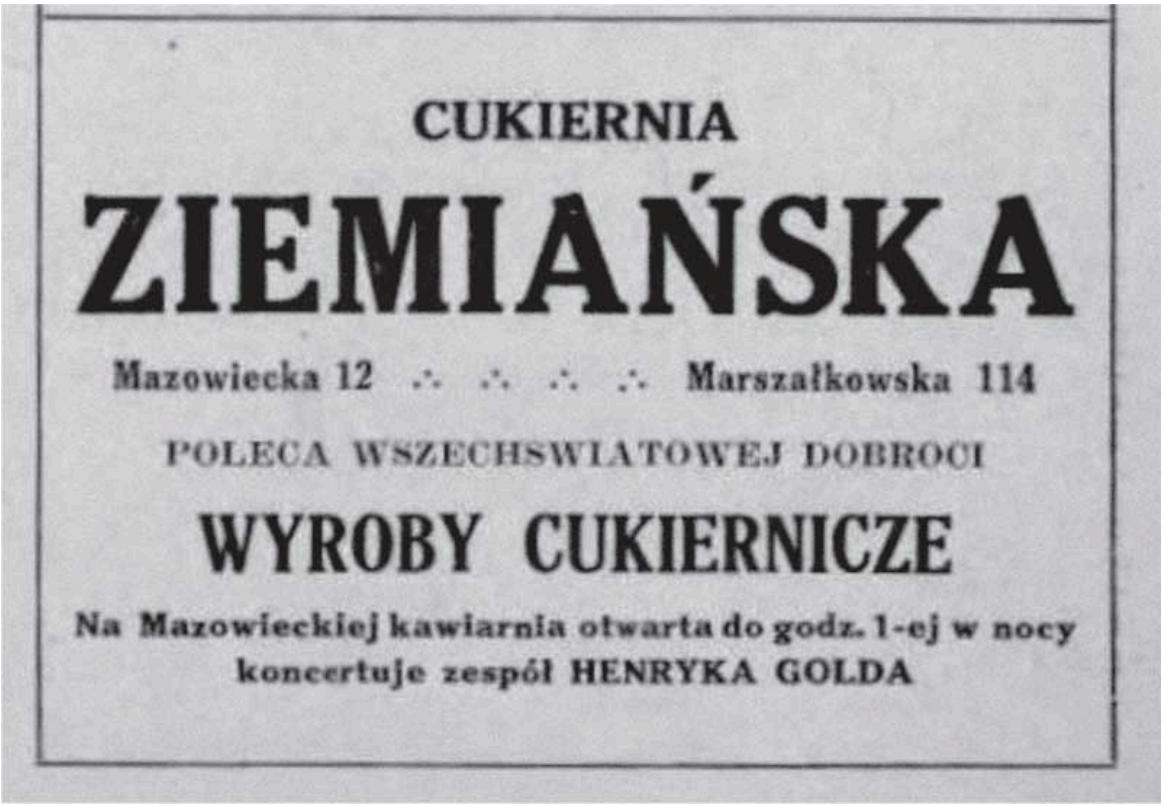
CUKIERNIA
ZIEMIAŃSKA
Mazowiecka 12 ∴ ∴ ∴ ∴ Marszałkowska 114
POLECA WSZECHSWIATOWEJ DOBROCI
WYROBY CUKIERNICZE
Na Mazowieckiej kawiarnia otwarta do godz. 1-ej w nocy
koncertuje zespół HENRYKA GOLDA

Reklama Ziemiańskiej

Mijacie plac Napoleona i najwyższy w Polsce, czy może nawet w Europie, gmach Towarzystwa Ubezpieczeniowego – Prudential. Świętokrzyską podchodzicie pod bramę uniwersytetu, gdzie Zuza musi odebrać bardzo szybciutko wyniki egzaminu z biologii. Masz poczekać na nią naprzeciw na ławce w parku Akademii Sztuk Pięknych, więc przypatrujesz się z zazdrością kręcącym się tu ekscentrycznie ubranym studentom, bo przecież marzysz, żeby podjąć studia dekoratorskie, masz do tego talent.

Zuza już jest z powrotem i spotykacie jej znajomego, profesora grafiki Władysława Skoczylasa. Starszy, potężny mężczyzna przygląda się wam obu.

– To pan profesor, wybitny mistrz drzeworytu, specjalista od góralskich zbójników – słyszysz głos Zuzy, która przedstawia cię z entuzjazmem jako bardzo uzdolnioną plastycznie koleżankę, a ty potwornie się rumienisz.

Skoczylas zaraz proponuje wam pozowanie.

– Nie, nie nago, nie bójcie się. Chodzi o dwóch moich przyjaciół malarzy – bliźniaków – Seidenbeutel Efraim i Menasze. Szukają modelek.

– Niech wpadną do Małej Ziemiańskiej – woła Zuza. – A pan na obiad do nas też dołączy?

– Nisko się paniom kłaniam i rączki całuję. Będę raczej w Ipsie – oznajmia Skoczylas. – Albo U Wróbla. Tam szybko można zjeść; flaczki, cynaderki z pyzami. Przepadam za takim świństwem.

Mała Ziemiańska jest tuż za rogiem, przy Mazowieckiej 12, zaraz naprzeciw księgarni Jakuba Mortkowicza. Dostawca piwa z browaru na Krochmalnej, krzepki mężczyzna, ściąga z końskiej platformy ciężką beczkę z napisem „Haberbusch i Schiele”. „Haberbusch i Schiele. Tak Tuwim nazywa moje oczy” – śmieje się Zuza.

Od kelnera woźnica dostaje kajzerkę z serdelkiem i pięćdziesiątkę wódki, którą szybkim ruchem, przechylając w tył głowę, wypija. Przed Ziemiańską zatrzymują się co chwila packardy, ople, chevrolety, z których wychodzą – a szofer przytrzymuje drzwiczki – majętne panie, niektóre w bryczesach i wysokich butach, widać z porannej jazdy konnej.

Wita was szwajcar z Ziemiańskiej, zdejmuje czapkę z głowy: „Zapraszamy”. Za obrotowymi drzwiami szatniarz zabiera wasze okrycia, widać dobrze zna Zuzannę, bo rozmawia z nią wręcz poufale. Pod muralami przedstawiającymi pory roku uderza was hałas rozmów i ciepłe od oddechów powietrze. Dym papierosów i cygar szczypie w oczy. Najbardziej tłoczno przy małych, okrągłych stoliczkach. Na długich kijach wiszą gazety: „Marszałek Rydz Śmigły tworzy nową partię – OZON – Obóz Zjednoczenia Narodowego”, „Ozon? Łyk tlenu w tej śmierdzącej atmosferze?”, „Niedobrze się na świecie dzieje, zwłaszcza od śmierci Piłsudskiego”. „A swoją drogą, Goering na pogrzebie Marszałka i kondolencje od Hitlera to chyba jednak przesada” – dochodzą do was strzępki komentarzy.

Wielkim powodzeniem cieszy się „Tajny Detektyw”: zabójstwa, strzelaniny, napady na banki, gwałty i handel żywym towarem. Panowie czytają, zamawiając kolejne likiery i koniaki, dyskutują głośno i rubasznie o miłosnych podbojach i polityce. Panie w okrągłych kapelusikach pochłonięte są ploteczkami. Co jakiś czas dzwonią ze stojącego na stoliku telefonu, by upewnić się, czy wszystko w domu w porządku. „Przynieść mi tu, kochasiu, kawę mokka albo mazagran z wodą sodową i likierem” – woła piękna blondyna, której szyję otacza kołnierz z lisa. Kelner podbiega do niej z zapalniczką, zapala jej papierosa w tutce. „Telefon do pana Franca Fiszera! Telefon do pana Franca Fiszera!” – krzyczy pikolak w mundurze, obracając tablicę na kiju. „Nie ma go. Fiszer jest chory” – dobiega z końca sali.

Sam maître d’hôtel podprowadza was do stolika przy schodach, na półpięterku z napisem „Zarezerwowane”.

– To tutaj urzęduje „wielka piątka”, słynna „loża szyderców”, „literacka mafia” – wyjaśnia ci Zuza. – Julian Tuwim, Jarosław Iwaszkiewicz, choć ostatnio rzadko coś przychodzi, Antoni Słonimski i Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, słowem skamandryci. Wyniesieni ponad zwykły tłum na swoje pięterko.

– No, właśnie o panu mówię. – Zuza śmieje się do mężczyzny, który siada przy zarezerwowanym stoliku. – Pan Wierzyński Kazimierz, nasz wielki poeta. Znasz na pewno, Lusiu, jego wiersze?

Nie wiesz, co odpowiedzieć, ale właśnie do waszego stolika przysiadł się inny mężczyzna, w mocno już sfatygowanym długim szaliku, miejscami podartym czarnym żakiecie i znoszonych sztruksowych spodniach.

– Jasiu Serafinowiczu Lechoń, herbu Pobóg. Co ty masz na sobie? – pyta sarkastycznie Wierzyński. – Czy to ciągle te same spodnie, które uwiecznił na obrazie Kramsztyk? Który to był rok?

Jaś Lechoń uśmiecha się dobrotliwie, nie wygląda na zagniewanego.

– No, nie stać mnie na nowe, a z samej poezji ciężko się utrzymać. Chyba że ktoś z zamożniejszych przyjaciół pomoże... – Wierzyński

milknie.

– Ten Janek Lechoń przynajmniej nie robi ci, Zuzo, żadnych propozycji, bo go żeńska płeć w ogóle nie interesuje, choć się z tym kryje – szepcze Wierzyński do Zuzy.

– Co podać szanownym paniom? – pyta kelner. – Mamy dziś ciasto orzechowe, biszkopt przełożony masą kremowo-jajeczną, tort szwarcwaldzki i marcepanowy.

– A czy są faworki i ziemniaczki? To takie małe pączki – wyjaśnia Zuza.

– Przykro mi, dziś nie mamy. Za to polecam nowy specjał, ciasto biszkoptowe w kształcie śledzia.

– A śledzie w kształcie tortu? – pytasz, Lusiu.

Kelner jest dowcipem młodej osoby nieco zmieszany. Zuza wybiera torcik orzechowy i kawę po warszawsku, czyli połowę szklanki, jak w reklamie: „Pół czarnej najlepiej smakuje w Ziemiańskiej”.

Przez gwar przebija się odgłos mielenia ziaren, syk ekspresu. Nie przyznasz się wtedy, Lusiu, że pijesz kawę w kawiarni po raz pierwszy w życiu i że to wspomnienie z Ziemiańskiej, ten zapach parzonej pod ciśnieniem kawy zostanie w tobie na zawsze. Przez całe życie chodzić będziesz do kawiarń, gdzie się bywa, gdzie się spotyka sławnych ludzi, plotkuje z nimi przy najważniejszych w kawiarni stolikach, choć w różnym czasie i pod różnymi szerokościami geograficznymi: PIW, Czytelnik, U Literatów, Café Hauptwache, gdzie toczysz niekończące się dyskusje z Reich-Ranickim, La Rotonde, Le Dôme, La Coupole, Café de Flore. Na zawsze cię zafascynuje ten rytuał: picie małej czarnej, prawdziwego, gorzkiego jak piołun espresso z małą czekoladką, a przy rachunku oświadczysz dumnie: „Widzisz, stać mnie teraz na zapłacenie bez problemu kawy w ekskluzywnej kawiarni. Gdzie mi się to w Równem mogło marzyć?”.

Jest rok 1936 i jesteśmy w Małej Ziemiańskiej. Przystojny czterdziestolatek w drucianych okularach, słynny poeta Wierzyński Kazimierz, mówi do ciebie:

– A więc pani jest przyjaciółką Zuzanny, naszej pięknej rówieńskiej Sulamity? Taka młoda, a już z Równego? Zna pani to powiedzonko?

– Kazik, nie dokuczaj mojej Lusi. Ona się nie zna na głupich męskich żartach, jest jeszcze w gimnazjum.

Zuza ma teraz bardzo zagniewaną minę. Musi stale odpierać zaloty kolegów literatów. „Zuzanna i starcy” – tak to podsumowuje na półpięterku dwadzieścia lat od niej starszy Tuwim, który zawsze otacza ją wyłącznie ojcowską opieką, choć i jego podejrzewają o flirt z Zuzanną. „Za wysokie progi na moje nogi” – parska Zuza śmiechem. Julek Tuwim ma przecież piękną żonę, którą uwielbia, Stefanię Marchew. Niektórzy wymawiają to z francuska „Marszew”, tak jest bardziej elegancko. Ale Stefania do Ziemiańskiej raczej nie przychodzi.

– Pamiętam tego początkującego pisarza, jak on się nazywał – śmieje się Wierzyński, który po dobrze zakropionej kolacji rzucił do naszej niedostępnej Zuzy: „Pani jest warta nocy”. A Józek Łobodowski mu wtedy odpowiedział: „Jest pan w grubym błędzie. Zuzanna jest warta nie jednej, lecz tysiąca i jednej nocy!”. „Panie, po tym, co pan usłyszał od Łobodowskiego – podsumował Tuwim – pozostaje panu tylko jedna możliwość; wyjść stąd”.

Tak naprawdę Ginczance za dużo było tej nieustannej adoracji mężczyzn w różnym wieku, jakby ogarniętych jakąś seksualną obsesją. Bała się ich głupich pytań w stylu: „Czy jeszcze jesteś dziewicą?”, tych wulgarnych dowcipów, żeby przytknąć do jej ust zapałkę i sprawdzić, czy się pali. To był pomysł Uniłowskiego. Żeby odegrać gwałt jak na obrazie *Zuzanna i starcy* – pomysł Lipińskiego, który Wittlin komentuje: „Za zimno, trzeba poczekać do wiosny”. Choć ich wszystkich lubiła, bardzo ją denerwowały te sprośności, to ciągłe cytowanie jej wiersza *Dziewictwo*:

> Ścieka żywic miodna pasieczność,
> wymię kozie ciąży jak dynia
> – płynie białe mleko jak wieczność

w macierzyńskiej piersi świątyniach.
A my... w hermetycznych jak stalowy termos
sześcianikach tapet brzoskwiniowych
uwikłane po szyję w sukienki
prowadzimy kulturalne rozmowy.

– Widzieliście nasz numer jubileuszowy „Szpilek”? – pyta Zuza. – Wszyscy na specjalnej rozkładówce w mundurkach jako absolwenci maturalni: Marian Hemar, Janusz Minkiewicz, Stanisław Jerzy Lec, Światopełk Karpiński, Jan Szeląg, Leon Pasternak, Andrzej Nowicki i ja, jedyna kobieta, jako „Nasza Pani od polskiego”, i dodatkowo jeszcze na znaczku za dwanaście groszy jako „Siewczyni”.

– Z bardzo okrągłym tyłeczkiem – zauważa Wierzyński.

Tuwim i Ginczanka w „Szpilkach”

Wchodzi jeszcze jeden adorator Zuzy, sam Grydzewski, naczelny „Wiadomości” i „Skamandra” – pism, jak mawiali endecy, „niepolskich z ducha”. Co by bez niego z nimi wszystkimi było? Gdzie by Słonimski, ten dowcipniś, pisał swoje cięte *Kroniki tygodniowe*?

– O, pani też tutaj? – Grydzewski jest miło zaskoczony, spogląda na Zuzę z zaciekawieniem.

Wiedzą obydwoje, że dopiero co uciekła z kolacji, bo zbyt natarczywie się do niej zalecał. Dobrze, że nadal może u niego drukować, polecił ją Tuwim, a dla Grydzewskiego słowo Tuwima jest święte.

– Czekam na Przeworskiego. Wydaje mi tomik, kilkanaście moich wierszy.

– Ekskluzywne wydawnictwo ten Przeworski – rzuca Wierzyński. – Mnie też trzy lata temu wydali. Teraz wyjdą moje romantyczne poematy o Piłsudskim. Dałem tytuł *Wolność tragiczna*.

– A mój tomik będzie miał tytuł *O centaurach*.

– Szkoda, że Wieniawa-Długoszowski już się w Ziemiańskiej nie pokazuje. Zabawny typ.

– Dawno też nie widziałem naszych pań: Mai Berezowskiej i Jasnorzewskiej.

DRUGA ROCZNICA „SZPILEK"

1935--1937

NIEZWYKŁY DOKUMENT HISTORYCZNY

Gimnazjum Szpilek

DYREKTOR JULJAN TUWIM

KSIĄDZ WEINTRAUB

Pani od polskiego ZUZANNA GINCZANKA

Nauczyciel gimnastyki EDWARD SZYMAŃSKI

Komendant ... MARIAN HEMAR

A L L A N

fot. Eryk Lipiński

Fotografja maturalna współpracowników „Szpilek" Poza grupą: Tadeusz Hollender usunięty z wilczym biletem za ogłaszanie nieprzyzwoitych listów w prasie.

Grupa pamiątkowa rysowników

1935 Szpilki 1937

fot. Jerzy Zaruba

Waclewski, Siemaszko, Bielels, Gosławska, Zaruba, Reif, Berezowska, Lipiński, Piotrowski, Kanarek, Linke, Parecki

Wódka szpilkówka

to nowa poszukiwana nalewka, wyprodukowana przez monopol spirytusowy.

Ginczanka jako pani od polskiego, 1937

– A właściwie, panno Zuzanno, skąd ten tytuł *O centaurach*? – pyta Grydzewski.

– Bo oto głoszę namiętność i mądrość ciasno w pasie zrośnięte jak centaur.

– Pięknie to pani napisała, pani Zuzanno. Widzę, że „burg” z Gincburżanki gdzieś się już definitywnie zapodział.

– Mnie też niegdyś w Drohobyczu zwano Wirstlein – śmieje się Wierzyński – a Leśmiana Lesman.

– Język twoich wierszy, Zuzo, jest tak świeży, tak kobiecy, tak piękny. I ta jasność widzenia. Niesłychane. W twoim wieku!

– Halo! Halo! – przerywa Zuzanna. – Mam już dziewiętnaście lat.

– Telefon do panny Gincburg. Telefon do panny Gincburg!

Jej nazwisko wypisano też na czarnej tablicy.

– Przedworski dzwonił, przeprosił, że nie może przyjść – po powrocie z kabiny Zuza jest mocno rozczarowana.

– Przejdziemy się, Lusiu?

– Panie już wychodzą?

– Pokażę przyjaciółce Ogród Saski.

Pamiętasz, Lusiu, jak szłyście wtedy szybkim krokiem przytulone, jak minęłyście kolumnadę pałacu Saskiego, jak usiadłyście na chwilę na ławeczce przy klombach koło fontanny. Przyglądałaś się w milczeniu chłopcom w marynarskich mundurkach, którzy grali w serso, niańkom, które kołysały z całej siły drewniane wózki z niemowlętami, i myślałaś, czy to prawda, że żydowskie niemowlęta wyrzucano tu kiedyś z wózków? Zuza też siedziała zamyślona. Patrzyłaś na jej długą szyję pokrytą drobnym puchem, na głowę po królewsku osadzoną.

POEZJA

Zuzanna Ginczanka. O centaurach. Warszawa, J. Przeworski, (1936); str. 34 i 2nl. Zł. 2.50. — Debjut książkowy utalentowanej poetki.

Bibljoteka Narodowa. Serja nr. 123. **Kazimierz Przerwa-Tetmajer.** Wybór poezyj. Opracował **Jan Lorentowicz.** Lwów, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1936; str. LIII i 3nl. i 226 i 2bbl. Zł. 2.50 — Wstęp Lorentowicza składa się z trzech części: życiorysu, analizy twórczości (poezje, dramaty, legendy góralskie, powieści i nowele) i charakterystyki sztuki poetyckiej znakomitego pisarza.

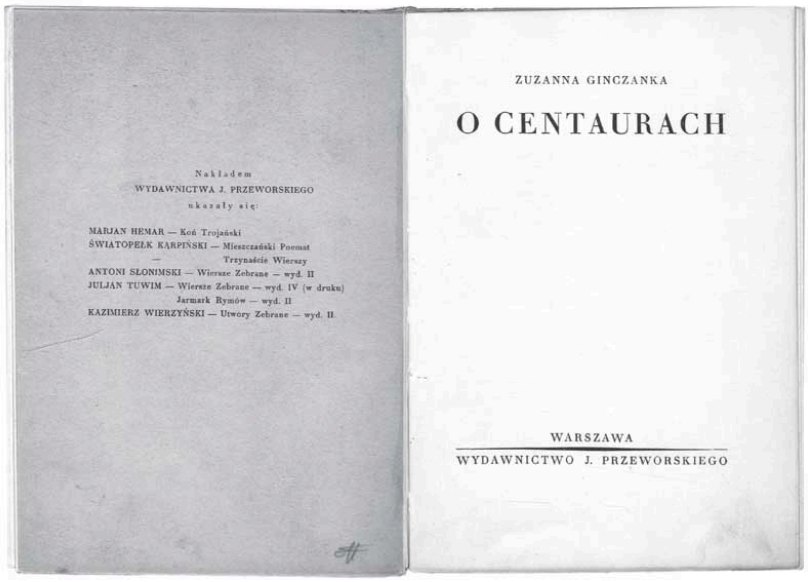

Nakładem
WYDAWNICTWA J. PRZEWORSKIEGO
ukazały się:

MARJAN HEMAR — Koń Trojański
ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI — Mieszczański Poemat
— Trzynaście Wierszy
ANTONI SŁONIMSKI — Wiersze Zebrane — wyd. II
JULJAN TUWIM — Wiersze Zebrane — wyd. IV (w druku)
Jarmark Rymów — wyd. II
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI — Utwory Zebrane — wyd. II

ZUZANNA GINCZANKA

O CENTAURACH

WARSZAWA
WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

U Przeworskiego wyszedł jej pierwszy tomik poezji

Szłyście razem dalej Nowym Światem, mijając ludzi z reklamami na plecach: „Radion sam pierze”, „Modne sukienki Hersego – najnowszy krój”.

– To gdzie, Lusiu, pójdziemy na obiad? – pyta Zuza. – Bristol? Europejski? Węgorze u Langera? Do Simona i Steckiego? Tam są doskonałe wina.

– Czy nie za dobrze ci się, moja droga, powodzi? Będziemy jadły węgorza w winie?

– Rozumiem, wolisz golonkę albo wędzoną szynkę na zapleczu U Handelków albo flaki garnuszkowe z pulpetami w barach śniadaniowych?

– Za flakami naprawdę nie przepadam.

– Poczekaj, pod osiemdziesiąt sześć w ekskluzywnym Klubie Stu Tonia Sobańskiego podają w południe bigos i filiżankę czerwonego barszczu.

– Uwielbiam czerwony barszcz, ale to chyba nie jest lokal na naszą kieszeń – kręcisz nosem, Lusiu. Wtedy wyłania się przed wami baśniowy, rozżarzony światłami kolonialny sklep braci Hirszfeldów. Z Hirszfeldami w Warszawie mogą tylko konkurować delikatesy braci Pakulskich. Na zewnątrz sklepu wiszą dwumetrowe pęta salami, zwieszone głową w dół bażanty, kuropatwy, zające, bo Wielkanoc już blisko. Przed witryną stoją wiklinowe kosze owoców cytrusowych – atmosfera luksusu zmieszanego z daleką egzotyką. Sklep wyłożony jest eleganckim, białym kamieniem, oświetlony wielkimi żyrandolami. Promieniuje z niego fantastyczne ciepło. Podłoga lśni czystością, a mimo to posługacz w beżowym fartuchu myje ją bez przerwy i przed sklepem posypuje błoto trocinami.

Za długą drewnianą ladą, pełną szufladek i kasetonów, krzątają się elegancko ubrani ekspedienci, gotowi na każde skinienie klienta. Z półek zdejmują zgodnie z życzeniem ryby, jaja przepiórcze, raki, homary, wszystkie gatunki śledzi, od wykwintnych do całkiem tanich, pasztety, wędliny, dziczyznę, egzotyczne przyprawy i bakalie. Długim, elastycznym nożem kroją na cieniusieńkie plastry wędzonego łososia i płaty soczystej szynki. Sprzedają tu też alkohole – wina reńskie, krymskie, węgierskie, kaukaskie, francuskie, hiszpańskie po 4,25 złotego, wódki w pełnym asortymencie, koniaki, nalewki i likiery Baczewskiego i Kantorowicza, jarzębiaki, żubrówki. Panowie wysyłani przez żony po zakupy wpadają na kieliszeczek przy barze pod śledzika, a subiekci ostrożnie, żeby nic nie uronić, roznoszą wódki przykryte małą serwetką.

Na homary i likiery was nie stać, ale w automacie na ścianie sklepu – taka moda z Wiednia – pociska się dźwignię i jak zaczarowane wyskakują gotowe bułeczki z kiełbaskami, zapiekanki z kajzerek.

Wieczorem na Szpitalnej pada decyzja, żeby pójść do teatru. Co prawda w Równem bywa Teatr Wołyński, ale to nie ten poziom, więc Zuza studiuje „Kurier Warszawski": w Polskim grają *Dziady*, w Narodowym – *Intrygę i miłość*, w Nowym – *Piękną Helenę* z Modzelewską, Dymszą i Żelichowską.

– Chyba wolałabym kino.

– Proszę. W Colosseum przy Nowym Świecie idzie film *Dwie Joasie*. Gra Smosarska. „Zdesperowana swoim powodzeniem Joasia umyślnie zmienia swój wygląd i podejmuje następną pracę jako brzydula".

– Dobra historia.

– Chyba że wolisz dancing? W Adrii w podziemiach jest Złoty Bar i Szampański Pawilon, kręci się unoszony w górę parkiet. Niedawno odbył się tam tradycyjny Bal Prasy, intelektualiści i korpus dyplomatyczny tańcowali do rana w takt jazzowych rytmów. Sama elita. Filmowano i mnie, jak tańczyłam. Właściciel Moszkowicz zawsze mnie tam wpuszcza i wielce honoruje – chwali się Zuza.

– To idziemy tam jako dwie brzydule? – żartujesz. – Tylko nie mam na tańce sukienki...

Zuzanna na dansingu z Siomą Guzmanem

Zuza otwiera drzwi mahoniowej szafy pełnej strojów, prawie wszystkie są białe albo czarne.

– Widzisz, taka prosta z błyszczącej satyny na srebrnych ramiączkach? Do tego jakaś broszka, opaska we włosach.

– Dla mnie? Ładna. A z kim, Zuzo, będziemy tańczyć? Czy ty masz jakąś sympatię poważniejszą?

– Sympatię poważniejszą! – śmieje się Zuza. – Czy to powiedzenie z Równego? Aktualny żargon z gimnazjum?

– Tak się teraz w Równem mówi – odpowiadasz trochę urażona.

– No, kawalerowie do tańca zawsze się znajdą, nie brakuje ich. Może przyjdzie Antek Knoll, pamiętasz go z Równego? On dobrze tańczy. Albo bardzo przystojny Sioma Guzman, ma fantastyczne wyczucie rytmu. Niektórzy nie chcą ze mną tańczyć, bo na wysokich obcasach jestem od nich wyższa, a ja uwielbiam obcasy. Na przykład Pasternak, on jest mały i krępy, niższy ode mnie o głowę, ogolony na zero, zły poeta zresztą. Jak mu ostatnio odmówiłam, to zamieścił w „Szpilkach” paszkwilancki wierszyk, że wyjdę w końcu za aptekarza, który będzie zawijał proszki i pigułki w kartki wyrywane z mojego tomiku.

– I twoje „Szpilki” to wydrukowały?

– Łobodowski, ten wieczny mój rycerz, stanął w mojej obronie, a on uprawiał swego czasu boks amatorski i chciał, jak mówił z warszawska, spuścić mu manto, pokazać kształt adwokacki, więc Pasternak z Lecem uciekali przez cały Murdziel.

– I co? Spuścił im manto?

– Chyba nie. Oni wszyscy są źli na mnie, że dostali kosza.

– To jak to jest właściwie z tobą, Zuzo, kochasz się w kimś? – pytasz, Lusiu, dość odważnie. A Zuza recytuje:

Żeby rzecz wyjaśnić wreszcie
tak czy owak, tak czy siak
kiedy spytasz „Czy mnie kochasz?”
powiem tobie „Nie i tak”.

Powiem tobie po namyśle,
nie na oślep, byle jak.
Mówiąc „Nie” – rzecz jasna skłamię,
by nie skłamać mówiąc „Tak”.

Mówiąc: „Tak” zaś, skłamię po to,
by nie skłamać mówiąc: „Nie”.
Mam nadzieję, że już teraz
nie zrozumiesz słów mych źle.

Wyjaśnienie II (1938)

– Czekaj, Lusiu, całkiem zapomniałam, dzisiaj sobota. Boy na Smolnej przyjmuje na herbatce i jest spotkanie literackie u Nałkowskiej, chociaż tam sami starsi, Pola Gojawiczyńska, Iłłakowiczówna, takie postacie, więc raczej nie chadzam. Na mieście się mówi, że najprostsza droga do kariery literackiej wiedzie przez łóżko Nałkowskiej albo Iwaszkiewicza.

– Mnie tam jako nieletniej w ogóle nie wpuszczą. Cholera, Zuzo, twoje buty. Zobacz, co się stało. Zupełnie rozwaliłam twoje śliczne czółenka.

– Hmm. Pękły... Nie przejmuj się tym. No to w tej sytuacji na dancing już nie pójdziemy. To ja wyskoczę jeszcze do Ziemiańskiej. Nie kładź się, czekaj tu na mnie.

– Jeśli się zgodzisz, pójdę z tobą. Będzie wielki Tuwim?

– Tuwim wieczorem nie przychodzi. Zresztą on się teraz źle czuje. Choruje na agorafobię. Pójdziesz w gumiakach? No dobrze, już ciemno, stopy idą pod stół.

– Będę cicho jak myszka. To ty, widzę, Zuzo, zamiast na uniwersytet uczęszczasz raczej do Ziemiańskiej?

– To dopiero jest prawdziwy uniwersytet! Przebywanie z tymi rzutkimi ludźmi to świetna szkoła, bo języki mają cięte. Kocham ten nastrój żartów, kpin, absurdu, gorących dyskusji! Teraz nastały nowe czasy, wolny kraj i trzeba odciąć się od dawnych obyczajów, inaczej podchodzić do sztuki. Co wieczór schodzimy się do stolika Gombrowicza. To jest kompan! Napisał kilka artykułów i *Pamiętnik z okresu dojrzewania*, a teraz czyta nam swoją powieść *Ferdydurke*, to będzie o tym, jak z dorosłego zrobić dzieciaka, jak to mówi Gombrowicz, „przyprawić mu pupę”.

– Za to dziękujemy. Mamy bardzo udane własne.

– To taka alegoria. Młodość to Piękność, ale Młodość to też przecież Niższość. Witold pisze o istotach niedojrzałych, jeszcze nie całkiem

„zrobionych”, nieoszlifowanych, podrzędnych. My służymy mu za laboratorium.

– Wybacz, Zuzo, ale dziwny jakiś ten pisarz...

– Ach, nasz przekorny Gombrowicz to wielki zgrywus, niesłychana postać.

– Też cię podrywa?

– Nie, mówi, że ożeni się tylko z prawdziwą kucharką, która mu będzie gotować trzy razy dziennie smaczne posiłki. Bo tak w ogóle to woli mężczyzn. Witold zorganizował w Ziemiańskiej własny stolik, ze wszech miar odpowiedni – jak mawiał – dla wyższych sfer. Z dobranym dworem młodych kibiców wpatrzonych w niego w bezkrytycznym uwielbieniu. Kilku poetów i myślicieli, pisarzy i satyryków, plastyków, karykaturzystów. Przychodzi tam Światopełk Karpiński, Janusz Minkiewicz. Bywa mój adorator Andrzej Nowicki, satyryk ze „Szpilek”. Rej wodzi Stanisław Piętak, poeta ze wsi sandomierskiej. Stale bywają Otwinowski, aktor i pisarz, oraz jego żona Ewa, Eryk Lipiński, naczelny „Szpilek”, i jego żona, rysowniczka Hanna Gosławska. Wpada Tadeusz Wittlin, krytyk literacki Matuszewski, Pomianowski, Kazimierz Brandys z narzeczoną Marysią Zenowicz, z Równego zresztą. Zachodzą też aktorzy i studenci. Warunek – mają być sami tacy jeszcze nie całkiem wyrobieni, jeszcze nie całkiem opierzeni.

– Przyjmą mnie więc do swojego grona, prostą gimnazjalistkę? Czy muszę jeszcze trochę sobie piór wyskubać?

Kiedy ponownie wchodzicie tego dnia do Małej Ziemiańskiej, od stolika Gombrowicza już woła na was poeta Staszek Piętak:

– Jakie piękne panie do nas idą! Prosimy. Prosimy. Podsuńcie, proszę, krzesełka.

– Królu żydowski, Witoldzie, będziesz dziś otoczony najpiękniejszymi Żydówkami: Ginczanka, Gizela Ważyk, Bela Gelbhard. A jak godność młodej pani?

– Nazywam się Lusia Gelmont.

– Proszę. I do kompletu Lusia Gelmont, która się uroczo czerwieni.

– Witam i zapraszam. – Gombrowicz podnosi się, muska wargami ich dłonie i ciągnie swój dyskurs. – Przyznam wam się, że choć nie jestem zbyt wybredny w doborze kompanii, nie chodzę już do kina ani do teatru, tylko biegnę co wieczór, moi kochanieńcy, tu do was, zasiadam, zamawiam pół czarnej. Czekam, aż się zbierze moje grono kompanów. Prawdziwe maniactwo.

– Rozumiem, że do skamandrytów chodzić się nie ośmielasz, nie jesteś z nimi na równej stopie, a tu możesz sobie pozwolić na gadanie, co ci ślina na język przyniesie – ciągnie Piętak.

– Dobrze to odgadłeś, Piętaszku, paziu mój. Wystrzegam się tych słynnych skamandrytów, bo moja wiejska nieśmiałość drży przed ich wielkomiejskością. Nie chcę być nowicjuszem, chcę być panem na własnym folwarku, nie chcę zabiegać o względy elity towarzysko-literackiej, aprobatę wpływowych postaci, wolę sam brylować.

– Nie zależy ci na ich opinii?

– Z tymi dostojnymi nie mogę pozwolić sobie na żart, drwinę, prowokację, nie mogę narzucić im swojego stylu. Krótko więc, wolę się z nimi nie zadawać, bo mnie nudzą i ja ich nudzę.

– Masz całkowitą rację, Witoldzie.

– Tylko z wami za to mogę sobie na wszystko pozwolić. Dobrze się czuję wśród istot jak ja jeszcze nie całkiem zrobionych, nieoszlifowanych, podrzędnych. Wy dobrze rozumiecie, że dyskutuje się dla sportu, dla zabawy.

– Zabawa. Zawsze zabawa – rzuca ktoś ze stolikowiczów.

– Pani się śmieje ze mnie, pani Drymli. – Gombrowicz czochra starannie zrobioną fryzurę z czubem rysowniczki Hanki Gosławskiej. Ha-Ga krzyczy, ale szybko się opanowuje.

– Gdzież bym śmiała, drogi mistrzu.

– Przesada! Ilość czasu spędzona na zrobienie takiej fryzury musi być odwrotnie proporcjonalna do ilości rozumu. Nie spodziewałem się tego

po pani, pani Drymli.

– A dlaczego jestem panią Drymli?

– A tak sobie. A Otwinowska będzie teraz Ewucha. Ile ty masz lat, dziewczyno?

– Dwadzieścia dwa.

– Stara jesteś. Passé, passé.

– A pan, widzę, panie Stefczyk Otwinowski, znowu czytasz dodatek niedzielny „Ikaca”. Nie chce się pan wprząść w nasz rydwan? U nas żadnych takich banalności nie będzie, żadnych poważnych lektur, żadnych plotek, łzawych zwierzeń, żadnej prozy życia. Takie są reguły gry. U nas rządzi absurd i groteska.

Ha-Ga poprawia włosy, a Otwinowski posłusznie, choć z niechęcią, odkłada na bok „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

– Tak, przyznaję, mój Piętaszku, z rumieńcem skromności i ze słuszną dumą, że w tym gronie uzyskałem, mimo młodego wieku – zbliżam się do trzydziestki – spory mir. Jestem waszym mistrzem, ale i waszym pajacem.

– Zawsze badasz tezę, mistrzu, i jej odwrotność.

– Dobrze to zrozumiałeś, Piętaszku,

– Nie darmo jestem twoim paziem, Witusiu.

I tu zaczyna się nagle odbijający się w wielkim lustrze popis min, grymasów, uśmieszków Witolda.

– Spójrzcie, kochanieńcy, jaką piękną w tym odbiciu stanowimy grupę.

– Chcesz powiedzieć; twój dwór?

– No. No. Prawdziwy dwór.

– Zastanawiam się, czy pan, panie Witoldzie, sam rano przed lustrem przy goleniu też takie miny wykręca? – rzuca Ginczanka.

– Teraz w lustrze dobrze widać, że Piętaszek patrzy bardzo na panią czule. Przyznaj się, chłopcze sentymentalny, poeto o duszy dziecka, że ty

też podkochujesz się w naszej Zuzannie, że to twoja wielka miłość.

– To prawda, mistrzu. Podkochuję się, ale nie mam u niej żadnych szans.

– Ty nas w ogóle nie słuchasz. Zuzanno, Sano czy jak cię tam zwą inni?

– Słucham nieustannie.

– Zaraz wypijemy razem bruderszafta, przechodząc, co stanowić będzie dla ciebie wielki zaszczyt, na ty, bo jak dobrze wiesz, droga moja, ja łatwo się nie spoufalam. Więc hop, już pijemy! I zapraszam ciebie na kolację do wysokości pięciu złotych.

– Co za wydarzenie! Zwykle popijasz tylko mineralną i podjadasz kolegom zakąski.

– Nie obgaduj mnie, mała Gino, bo od dzisiaj mianuję cię Giną. Jesteś przecież dla mnie kobietą idealną, ucieleśnieniem kobiecości, królową naszego stolika. Dlatego nadaję ci bardzo kobiece imię Gina i oto wkładam ci na głowę koronę.

– Witold, uspokój się. Wciskasz mi kosz na śmieci. Nic w tym nie widzę śmiesznego.

– Z tobą, mistrzu, trzeba mieć doprawdy silne nerwy i poczucie własnej godności – komentuje Piętaszek. – Przyznaj się, że chcesz być władcą absolutnym, każdego sobie podporządkować. Lubisz poniżać i obrażać.

– *De facto* uwielbiam robić każdego w balona.

– Już kilka balonów pękło. Matuszewskiego coraz rzadziej widać. Andrzejewski Irzy, jak go nazywasz, przestał się pokazywać.

– Łamię sobie głowę, czy mężczyzna całkowicie męski, związany z kobietą, jest zupełnie nieczuły na wdzięk i piękność młodszego? Bo czy nie jest tak, że mężczyzna urzeczony, na zawsze oczarowany chłopcem i jemu poddany, woli skryć się w ramionach kobiety, która jest dla niego poniekąd chłopcem dozwolonym? Nieprawdaż, moi drodzy?

– A kogo, mistrzu, będziemy dziś niszczyć, intelektualnie poniżać? Czy tylko kolejny delikwent to wytrzyma, czy się obroni, zda egzamin? – Stefczyk zapala kolejnego papierosa, a ręce mu się trzęsą.

– Gdzieś się też zapodział nasz krytyk literacki, biedny pan Ludwik Fryde. Chyba nerwowo nie wytrzymał.

– No. No... Nerwowo nie wytrzymał? Przesaaaaada.

– Niektórych wymłóciło, zostało samo ziarno – rzuca cicho Otwinowska.

– Są jeszcze plewy. Taki Alan Kosko zbytnio się odgryza. Jak się ten Kosko zjawi i znowu zacznie deklamować swoje wiersze, trzeba go będzie... no wie pan, panie Stefczyk...

– Rozumiem. Innego wyjścia nie ma.

– A teraz popatrzcie, moi kochani, teraz będzie dopiero ubaw, surrealistyczny spektakl. Schodzą bowiem z pierwszego piętra, zbliżają się do naszego stolika poeci proletariatu. Ci wyzwoleni z przesądów feudalizmu i głupiego mieszczaństwa. Nasza lewicowa awangarda. Kult mas i pospólstwa. Eksperyment i rewolucja. Zaraz dorobię każdemu pokraczną gębę.

– Nie przepadasz, Witusiu, za nimi.

– Zobacz, zdenerwuję ich zaraz, bo powiem im całą prawdę o moich arystokratycznych korzeniach. Pochodzę bowiem, jak wiecie, z rodziny szlacheckiej, która przez jakieś czterysta lat miała posiadłość na Żmudzi, niedaleko Wilna i Kowna. Trzeba zachowywać należny mi dystans, bo moja babka była kuzynką Burbonów hiszpańskich. Artystą jestem raczej po matce.

– O, tego nie wiedziałem – dziwi się Otwinowski.

– Słowem, hrabia Ignacy fon den klap – rzuca ktoś z boku, czyżby Lusia?

– Pan Władysław Broniewski? – wykrzykuje Witold. – Proszę, proszę do nas. Zapraszamy na kawę. Już podsuwam panu szanownemu cukier. Mam takie pytanie. Panie Broniewski, pan jest chyba też z rodziny

ziemiańskiej, szlacheckiej nawet? Więc czemuż pan na Boga jest taki gminny?

– Co to za dywersja? Panie Gombrowicz, pan nawet komunistów zarazi herbarzem! – odpowiada krewko Broniewski. – Jest pan denerwującym pozerem. I tyle.

– Tak, panie Władysławie. Jestem miejscowym prorokiem i błaznem.

– Błaznem z całą pewnością. Co do proroka mam wątpliwości.

– No, no. Pan tych spraw nie rozumie. Pan udaje mi tu chochoła. Pan woli z pomocą komunizmu ratować nasz biedny kraik. Kraj przejściowy pomiędzy Wschodem i Zachodem, kraj formy osłabionej. Tak naprawdę tu jeszcze nie było ani renesansu, ani rewolucji społecznej, ani przemysłowej. Jakieś złagodzone echa tylko dochodziły. A pan chce tu narzucić nam komunizm?

– Wy uważacie, że wszystko wokół was to komunizm. Stajecie się na tym tle przeczuleni i lada krzyk bezrobotnego przyprawia was o drżenie łydek. Jesteście chorzy. Ze strachu. No bo jakże? Skoro ten komunizm tak się rozpanoszył, to każda godzina niepewna.

– Ho, ho! Muszę się jakoś przed wami, rewolucjonistami, bronić. Bo teraz przecież z hukiem przystąpiliśmy do budowania niepodległej, wolnej, samodzielnej egzystencji duchowej... I wygląda to tak, jakby Polacy, odzyskawszy wolność, pragnęli urzeczywistnić jakiś sen zamierzchły, przekazany przez dawniejsze pokolenia, sen, który im nie wystarczał. Co więcej, te poczynania wydają się dotknięte piętnem nieudolności. Ta sztuka, ta literatura, ta polityka stają się coraz ciaśniejsze, drobniejsze, jakby malały nam w rękach... a także dziwnie nieskuteczne, nacechowane jakimś pechem... jakby w zarodku swoim zaprawione beznadzieją i dlatego niemiłe naturze. Przykuci jesteśmy do fenomenu dość silnego, aby nie umrzeć, a za słabego, aby żyć, i to ciąży w sposób decydujący na nas, Polakach, istotach zniekształconych, skrępowanych. – Gombrowicz spogląda na Ginczankę. – Nieprawdaż, Gino? Znacie panowie Ginę? Niezwykle zdolna poetka. Jej tomik *O centaurach* wkrótce do nabycia we wszystkich księgarniach. Za

jedyne dwa i pół złotego. To nasza pierwsza dama dworu. Piękna, dobrze wychowana, małomówna. Ponadto posażna panna na wydaniu. Niedotykalna. Pławimy się w blaskach tej gwiazdy Syjonu. Subtelna i tajemnicza. Piękno ciała i piękno ducha.

– Miałem przyjemność kiedyś chyba...

– Ho, ho! Gino? Wy się znacie? Mimo to przedstawię. Pan, a raczej towarzysz Broniewski, obecnie Komunistyczna Partia Polski, przedtem żołnierz Legionów i uczestnik wojny z bolszewikami. A to sam Ważyk, „brzydka twarzyk", mąż naszej pięknej malarki Gizeli Szejman. *Człowiek w burym ubraniu*, jak nazwał swój tom.

Ważyk podchodzi do siedzącej obok Witolda żony, całuje ją demonstracyjnie w usta.

– Giza, idziesz z nami? – szepcze, ale ona kręci przecząco głową.

– Dość już mam tej błazenady.

Broniewski gwałtownie wstaje i macha na Ważyka:

– Są poważniejsze sprawy.

I oddalają się obaj w kierunku drzwi wyjściowych.

– Czy w twojej wsi krowy zamykają drzwi, Piętaszku?

– Wituś, czy ty się źle czujesz? Zrobiło się późno, chodźmy lepiej do domu, muszę cię jeszcze odprowadzić.

W Ziemiańskiej było coraz mniej gości, ale Gombrowicz kontynuował swoje aktorskie popisy. Słuchałyście z zaciekawieniem i z podziwem jego spektaklu wiecznego pure nonsensu, absurdalnych żartów i półsłówek, kpin i prowokacji. Mistrz Gombrowicz ze wszystkich drwił bezlitośnie, nie oszczędzał nikogo. Rzucał wkoło ironiczne spojrzenia, krzywił się. Pamiętasz, Lusiu, gładko ulizane włosy Witolda, jego piękną twarz o regularnych, drobnych rysach, która rozjaśniała się ironicznym zachwytem, kiedy żartował z Zuzy, kiedy docinał Gizie Ważykowej i one obie już złe, już przez mistrza skłócone, siedziały do siebie tyłem, a mistrz tylko kącikiem ust uśmiechał się i po tym poznać było, jaki jest z tego zadowolony.

Lusia Gelmont w szkole pielęgniarskiej na Czystem

3

WARSZAWA
1937–1939

Kiedy rok później przyjechałaś, Lusiu, do Warszawy, miasto wydawało ci się już znajome. Miałaś wstąpić w progi Szkoły Pielęgniarstwa przy Szpitalu Starozakonnych na Czystem w Warszawie. Kuzyn Guzik załatwił ci stypendium i była to dla ciebie niezwykła życiowa okazja. Bluma, twoja mama, zdecydowała bowiem, że koniec mrzonek o szkole dekoratorskiej, a w tamtych czasach to rodzice decydowali często o kierunku studiów, najlepiej byłoby studiować medycynę, bo wiadomo, w razie wojny lekarz od ludzi dostanie masło, jajka, zawsze jakoś przeżyje. Niestety w Polsce teraz nie sposób było się na medycynę dostać, bo wprowadzono *numerus clausus*. Przyjmowano tylko dziesięć procent żydowskich studentów, a reszta chętnych, jeśli mieli na to odpowiednie środki, musiała jechać na studia medyczne do Pragi, do Paryża, do Brukseli. Nie było wyjścia: na razie będzie Szkoła Pielęgniarstwa.

„A więc będziesz, Lusiu, u nas studiować” – wita cię pani wicedyrektor Luba Bielicka. Rozmowa toczy się w gabinecie szkoły w Warszawie przy ulicy Dworskiej 17. Nieśmiało potakujesz, a wicedyrektor Bielicka gładzi cię po głowie. „Organizacja Joint pomaga skromniejszym uczennicom. Zaufano ci, bądź więc, Lusiu Gelmont, bardzo pilna i zapamiętaj sobie, dziecko moje, to wy, młode dziewczyny, jesteście pionierkami nowoczesnego żydowskiego pielęgniarstwa. Nie tylko tu, w Szpitalu Starozakonnych na Czystem, który jest teraz obok Świętego Ducha największym szpitalem w Warszawie, ale i w całej Rzeczpospolitej. No leć już, dziecko, bo zaraz zaczną się wykłady”. Wbiegasz już spóźniona do sali, w której stoi kilka rzędów półokrągłych

fotelików z doczepionymi małymi pulpitami do sporządzania notatek. Obok tablicy wiszą wielkie przekroje człowieka, system krwionośny, mięśnie, kości, różowa zawartość przepołowionej jamy brzusznej.

Młoda instruktorka, Julka Mebel, pokazuje wam, jak mierzy się ciśnienie. Należy koniecznie pamiętać o wypuszczaniu powietrza z termoforu z gorącą wodą. Tę pierwszą lekcję dobrze zapamiętałaś, Lusiu, na całe życie; termofor zawsze składałaś na pół, potem starannie go wygładzałaś.

Julka Mebel jest już absolwentką, na czepku ma czarny pasek, a wy, młodsze roczniki, probantki pierwszego i drugiego roku, nosicie tylko białe, wykrochmalone otoki. Dopiero po dwóch latach i czterech miesiącach otrzymacie aksamitny pasek na czepku pielęgniarskim, dyplom ukończenia szkoły i złocistą broszkę: puchar i znicz na księdze, od której odchodzą świetliste promienie.

Po trudnym egzaminie przyjęto do szkoły sto dwadzieścia uczennic, piękne Żydówki z całej Polski. Szkoła Pielęgniarstwa zajmuje pierwsze i drugie piętro budynku, na trzecim jest internat dla uczennic spoza stolicy, gdzie i ty, Lusiu, mieszkasz. Macie ładny pokoik z białym kaflowym piecem, z wąskim łóżkiem, małą komódką, stoliczek przykryty koronkową serwetą, asparagus w doniczce, który wieńczy całość dekoracji. Na ścianach położono kwieciste tapety w angielskim stylu – za sprawą poprzednich dyrektorek szkoły, które były Angielkami.

Codziennie robicie obchód z lekarzami ze Szpitala Starozakonnych. Kroczycie z nimi dostojną grupą – ten przystojny doktór z krzaczastymi, czarnymi brwiami stale się do ciebie uśmiecha – stajecie przy metalowych łóżkach, na których leżą chorzy, i tu wy, uczennice, zdejmujecie i podajecie profesorowi wiszące na oparciach karty choroby. Zaczyna się oglądanie, dotykanie, badanie, komentowanie. Wy, przyszłe pielęgniarki, nie macie jeszcze prawa głosu. Na razie chodzicie na różne wykłady i zajęcia praktyczne: pracownia pediatrii, dietetyka, laboratorium naukowe, przygotowanie do operacji. Ponadto w Miejskim Ośrodku Zdrowia regularnie mierzycie i ważycie biedne dzieci.

Lusia z lekarzem ze szpitala starozakonnych na Czystem

Są też wywiady i zabiegi w mieszkaniach na mieście. Wtedy wkładacie specjalne sukienki z krawatem, zdejmujecie wasze białe buty, które z pewnością mocno by się zabłociły na ulicach żydowskiej dzielnicy, na Franciszkańskiej, na Krochmalnej, na Grzybowskiej, gdzie wchodzicie do ciemnych suteren, rozczesujecie skołtunione głowy dzieci, mierzycie temperaturę leżącym w szarawej pościeli chudym kobietom.

Przed kilku laty moja siostra odkryła w nowojorskim Instytucie YIVO na Piątej Alei serię zdjęć z waszej szkoły, zrobionych przed wojną przez fotografa Jointu. Widać na nich, Lusieńko, twoją drobną twarzyczkę w czepku pielęgniarskim, kiedy przytulasz do siebie kędzierzawe, chore

dziecko, kiedy badasz w ośrodku przeciwgruźliczym stojących w rzędzie chłopców bez koszulek.

Czy zdjęcia te przyjechały do Nowego Jorku, kiedy przed wybuchem wojny przeniesiono tu z Wilna Instytut YIVO? Czy może przywiozła je tu osobiście w latach siedemdziesiątych wasza dyrektorka, Luba Bielicka-Blum, która wyemigrowała i pracowała w New York Hospital?

Idąc do szkoły z centrum Warszawy, mijasz, Lusiu, całkiem inny świat – dzielnicę północną, świat żydowskiej biedoty w samym środku miasta. Jej główne ulice to Nalewki – żydowski Nowy Świat, Karmelicka, Gęsia, Dzika, Franciszkańska, Nowolipie i Nowolipki. Na 1,3 miliona ludności stolicy jedna trzecia to Żydzi. Warszawa jest teraz największym skupiskiem ludności żydowskiej w Europie.

Idziesz wąskimi ulicami otaczającymi małe parcele, domy często bez kanalizacji, przechodzisz przez głębokie podwórka i patrzysz, jak na zniszczonych fasadach kamienic cisną się jedne nad drugimi – malowane pospiesznie na sklejce, na płótnie, ozdobione kolorowymi, migającymi żarówkami – szyldy sklepów i kantorów rzemieślników i handlarzy. „Tu jest wody fruktowe iż ružnych fabrykantów” – tak czasem niezdarnie po polsku sklecone. Jest hurtownia perfum Bursztyna, sklepy galanteryjne Judy Alfusa i Nusyna Kohna, skład guzików Icka Wajnberga, koralików Kiselsteina, jest apteka Elta i Zyberta, skład przędzy i wełny M. Grunberga, pospieszna drukarnia, palta nieprzemakalne – Sz. Lejzerowicza, cerata, kalosze i wyroby gumowe – Lichtenfelda.

Wszędzie unosi się zapach smażonej cebuli, czosnku, prania i końskiego łajna. Pytasz kogoś: „Jak do Żelaznej Bramy?”, bo masz tam zaraz spotkanie z Izkiem. Żydzi machają zniecierpliwieni ręką: „*Redt jidisz*! Mów po żydowsku!”. Wszyscy się spieszą, pędzą, nie mają czasu odpowiadać. Chasydzi nie noszą tu sztrajmli z lisim futrem ani długich chałatów, tylko czapeczki z daszkiem, mniej przestrzega się tu religijnych przepisów. „Idź prosto, ciągle prosto” – ktoś wreszcie woła za tobą po polsku, choć z charakterystycznym gardłowym akcentem.

Przechodzisz jeszcze przez wielkie dwa dziedzińce przy Granicznej 7, tam jest pełno sklepików, kramów z owocami, jarzynami, a przy Gnojnej jatki mięsne, taki tłum, że trudno się przecisnąć, zaczepiają, wychwalają swój towar, nie można się opędzić. Wre ruch, każdy gorączkowo chce coś zarobić. Już z dala widać Ogród Saski i wielki plac Za Żelazną Bramą, pośrodku stoi okrągły budynek targu Gościnny Dwór. Tam znajdują się sklepy z porcelaną, szkłem, fajansem, wyroby koszykarskie, garnki, miski cynowe. Po bokach budki szewskie z butami i bucikami, sklepy z sukniami, kaftanami, fartuchami, płócienkami, galanterią i ogromne składy piór na poduszki i pierzyny. Wokół Gościnnego Dworu ogrodniczki sprzedają kwiaty doniczkowe i bukiety.

Od strony Koszar Mirowskich przycupnęły kobiety wiejskie z warzywami, nabiałem, z kaszą, mąką, krupami, grzybami, kurami, kaczkami. Pod ścianą stoją wanny i kadzie, a w nich ryby żywe i śnięte. Podkasawszy mankiety, kędzierzawa kobieta, odpowiadając naraz różnym klientkom, odrąbuje rybom głowy, zgrabnie je patroszy, jednocześnie szybko zgarniając monety z zakrwawionej lady do kieszeni obszernego fartucha. Wszędzie przeciskają się Żydzi noszący na plecach towar w specjalnych pudłach, zachwalają go, wabią po polsku i po żydowsku do kupna.

Spotykacie się w końcu i już idziesz, Lusiu, pod rękę z ukochanym Izkiem. Izka poznałaś niedawno. Było tak. Niejaki Bronsztajn pracował na Wilczej 71, róg Emilii Plater, pilnował budowy państwa Horowitzów, którą ich syn Izaak jako inżynier nadzorował. To była bardzo nowoczesna kamienica w stylu modernistycznym. Horowitz zainstalował centralne ogrzewanie, przeszkloną windę, mosiężne poręcze, kraty, klamki. Nadzorca Bronsztajn jeździł stale do Równego i twoja mama dawała mu dla ciebie paczki. Przychodziłaś po nie na Wilczą i tam spotkałaś Izka Horowitza, który bardzo się w tobie zakochał, a tobie się spodobał. Odtąd stale byliście razem. Izek miał piękny czerwony samochód marki Steyr. Porobiliście sobie z tym samochodem mnóstwo zdjęć, takich w amerykańskim stylu: Izaak leży

na dachu, ty wychylasz się spod samochodu albo razem objęci leżycie pod samochodem. Mieć samochód w tamtych czasach i aparat fotograficzny do tego – to było nie byle co! Jeździliście tym steyrem po całej Polsce, z przyjaciółmi i z bardzo przystojnym kuzynem Izka, Lipawskim. Nawet nauczyłaś się prowadzić. Byliście w Tatrach, raz w lecie, raz w zimie, byliście w Zbarażu, na Kresach, gdzie do zdjęcia wsiadłaś na konia, który cię zrzucił, bo o koniach nie miałaś przecież pojęcia. W Równem już się rozniosło, że spotkałaś w Warszawie milionera. Jednak ojciec Izaaka, Mojżesz Horowitz, był waszemu związkowi bardzo przeciwny i zły, że Izaak sobie taką jak ty bidulę upodobał. Marzył dla niego o bogatej pannie z dobrej żydowskiej rodziny, a takich w Warszawie nie brakowało. Od swojej córki Guty, siostry Izaaka, też biedniejszych kandydatów przepędzał. Mieli już tyle pieniędzy, o jakich waszej rodzinie się nawet nie śniło, po co im było jeszcze więcej – nie umiałaś tego zrozumieć, bo u was w domu pieniądze to nie była rzecz najważniejsza, liczyła się dobroć, liczyła się miłość. Guta została sama i ojciec zapisał jej jedną z kamienic na Wilczej, a Izkowi nic, póki z tobą nie zerwie. Izek się uparł, że weźmiecie ślub, nieważne, co ojciec o tym myśli. Miał już wtedy dwadzieścia osiem lat, był o siedem lat od ciebie starszy i śmiertelnie w tobie zakochany. Oświadczył ci się bardzo elegancko, z bukietem białych tulipanów, z pięknym pierścionkiem, i ty te jego oświadczyny z pewnym wahaniem przyjęłaś.

– Lusiu, Lusiu – zobaczyłaś nagle biegnącą ku tobie Zuzę. – Co ty tu robisz?

– Oj, Zuzo! Co za niespodzianka! Jak mnie w tym tłumie znalazłaś?

– Zuzanna Gincburg. Izaak Horowitz – przedstawiłaś jej swojego przyszłego męża. – Dawno nie widziałyśmy się, Zuzanno.

Nowoczesny dom w Warszawie przy Wilczej, róg Emilii Plater, zbudowany w końcu lat trzydziestych, własność Mojżesza Horowitza, przyszłego teścia Lusi

Izek zdjął zaparowane okulary, wytarł je szmatką, przywitał się, a ciebie przycisnął czule, z całych sił do siebie.

– Moja ty najwspanialsza, najpiękniejsza Lusieńko.

– Oj, przestań, proszę. Jak długo można kogoś uwielbiać? Dwie godziny dziennie? – zażartowałaś jak to ty.

Zuza wyglądała na zaskoczoną, kiedy dowiedziała się, że macie się wkrótce pobrać.

– Już ślub? Przecież jeszcze jesteś taka młoda, Lusiu. Czekaj... ty masz ile? No tak, już dziewiąta. Czas leci. Jeszcze pamiętam twego kawalera w Równem, kapitan chyba Wosz z 44. pułku.

– O czym tu mówimy. *Wspomniła babuszka, kak diewicej była*... Oświadczam, że w ciąży nie jestem. A co u ciebie, Zuzo? Czy widujesz nadal Andrzeja Nowickiego? Czy to już ten właściwy i coś z tego będzie?

– Nic nie będzie. Andrzej to tylko mój dobry przyjaciel z redakcji i dla mnie naprawdę ktoś ważny. Nic więcej. No, może trochę zakochany. Przyniósł mi dziś przylaszczki. W sumie Andrzeja znam krótko.

– Ale za to chyba jednak gruntownie – zaśmiali się.

– A jak ci się podoba mój narzeczony?

Zuzanna wyglądała na zmieszaną. Nic nie odpowiadała. Czyżby Izaak się Zuzie nie spodobał? Trochę ostatnio przytył, ale twarz miał zawsze uśmiechniętą, sympatyczną.

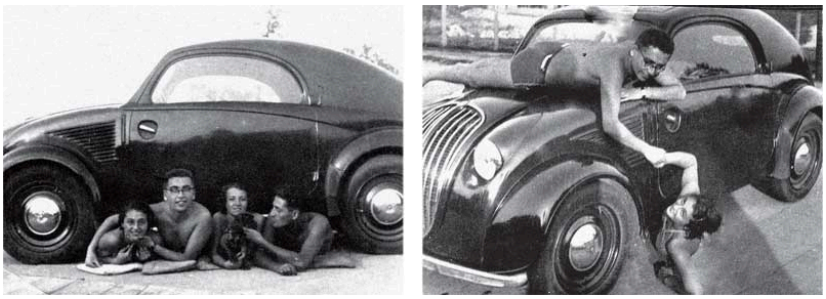

Lusia z przyjaciółmi i Izaakiem Horowitzem, przyszłym mężem

Zuzie nigdy nie brakowało wiernych adoratorów. Lubiła się nimi otaczać, cieszyli się przez moment jej łaskami, potem odtrąceni odchodzili. Bawiło ją to i nie miała wcale ochoty na więcej. Jej admiratorzy też nie byli tacy przystojni jak Tadek Hollender, jak Nowicki i bardzo w niej zakochany Józek Łobodowski, z którym Zuza wstydziła się spacerować po mieście, bo był za niski. Józek prosił, błagał na kolanach, aż spodnie sobie przetarł – śmiano się – wiersze dla niej pisał i chyba w końcu się z nim przespała, w każdym razie tak on to w swoim wierszu po latach sugerował. Mężczyźni ją pociągali, ale fizyczny kontakt z męskim ciałem był dla niej pewnym zaskoczeniem, niekoniecznie przyjemnym. Podobno dopiero miłość miała przynieść

prawdziwe spełnienie, więc czekała dalej cierpliwie jak każda kobieta na tę prawdziwą, ważną miłość i radziła dziewczynom wierszem:

> Nie szukajcie zawczasu miłości
> Nie budźcie jej,
> Pokąd do was nie przyjdzie sama.

– A banda Gombrowicza? – wyrwało ją z zamyślenia twoje pytanie. – Widziałam, że wyszła *Ferdydurke*, ale jeszcze nie miałam okazji przestudiować.

– Lusia bardzo dużo czyta – dorzucił Izaak.

– Gombrowicz był wściekły, bo nie dostał za nią nagrody, natomiast Kazio Wierzyński został członkiem Polskiej Akademii Literatury. Przenieśliśmy się ze stolikiem Gombrowicza do Zodiaku przy Traugutta 6. Zabawa trwa nadal, kpiny, przekomarzania, porachunki, zaczepki.

– Jak dawniej...

– Tak. Zodiak mnie inspiruje. Piszę teraz sporo fraszek i wierszy satyrycznych do „Szpilek”. A więc ty, Lusiu, już wychodzisz za mąż? Kto by się spodziewał.

– Zapraszamy piątego sierpnia. Będzie skromna uroczystość. Zamówiliśmy już rabina – uściślił Izaak. – Przyjdziesz, Zuzo, na nasz ślub?

– Niestety nie będę mogła, bo w końcu czerwca wybieram się jak co roku do babci. Nie bardzo mam ochotę pojawiać się w Równem, wolałabym skoczyć z kolegami do Kazimierza, dokąd znajomi graficy serdecznie mnie zapraszają, ale muszę się dużo uczyć. Na szczęście u Witwickiego zdałam w maju pedagogikę i psychologię ogólną na „bardzo dobrze”, piątka też z biologii, zaliczone teoria poznania, logika, metodologia psychologii ogólnej, genetyka u Malinowskiego, ale w październiku mam ważny egzamin u Kotarbińskiego, potrzebny mi do tytułu magistra filozofii.

– Będziesz magistrem filozofii? Zuzo, jaka ty mądra. Zechcesz się z nami w ogóle zadawać?

– Genialna, ale szkoły powszechnej nie skończyła – zażartowała Zuza.

– Skończyła, skończyła. Są świadkowie.

– Zobaczymy, czy się uda. A, Lusiu, zapomniałabym! Spotkałam ostatnio braci Seidenbeutel. Mówili, że możesz swój portret u nich odebrać.

– Cudownie. Ale to już po wakacjach.

– Malowali cię? – zdziwił się Izek.

– A co? Niewarta jestem, żeby mnie uwieczniono?

– Mnie zaś namalował Aleksander Rafałowski na okładkę do IPS, ale średnio mu to wyszło. Najbardziej lubię mój własny autoportret, Eryk Lipiński mi pomógł.

– Wybacz, Zuzo, że tak publicznie o tym mówię, ale dla mnie Lusia jest skończoną pięknością.

– Masz, widzę, Izku, bardzo dobry gust, ale nie mów tego przy Zuzannie, bo może być zazdrosna.

– Wpadniemy w tych dniach do bliźniaków po twój portret.

– Mają nad Domem Akademickim na Pradze pracownię, pełną obrazów, oszalałam na punkcie ich malarstwa, te ich pejzaże, akty. Cudo. Ponieważ pozwoliłam się sportretować, poczęstowali mnie czekoladą w kształcie kiełbasy, którą dostali właśnie od jakiejś wielbicielki.

– Oni lubią żartować. Są nierozłączni i właściwie identyczni – te wyłupiaste oczy, czarne włosy, duże wargi. Mówią, że można rozpoznać, który jest który, tylko po wrzodzie na żołądku.

– Po wakacjach, we wrześniu wpadniesz, Zuzo, do nas na Wilczą? Mamy bardzo ładne, nowoczesne mieszkanie i piękne obrazy. Izek uwielbia ten las Grabowskiego, malarz tak świetnie to oddał, że czuje się prawie zapach mchu. Naszym sąsiadem jest Roman Kramsztyk, niedawno przyjechał z Paryża. Może coś od niego kupimy.

– Lusieńka pięknie urządziła nasze mieszkanie. Ma do tego talent.

– Widzimy się więc po wakacjach, kiedy będziecie już zamężną parą. Nie do wiary. Życzę długich lat szczęścia.

– Do widzenia, przyszła magister filozofii. Do zobaczenia we wrześniu.

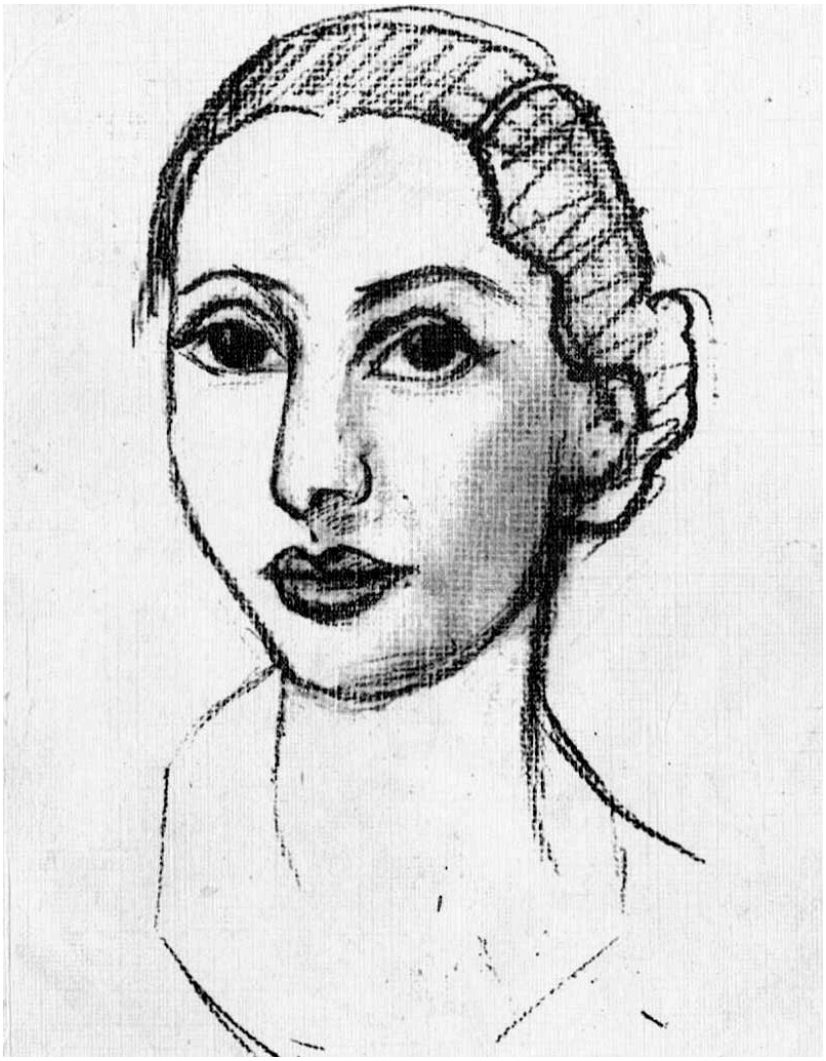

Autoportret Zuzanny Ginczanki

Zuza oddaliła się od was szybko, prawie biegła. Zawsze źle się czuła w dzielnicy swoich pobratymców, Żydzi dzielnicy północnej budzili w niej lęk. „To ma być mój naród?” – myślała. Słabo znała żydowskie obyczaje. Ci Żydzi religijni, z którymi tak niewiele ją łączyło, byli dla

niej jak obca nacja, bardziej obcy niż Polacy. Idąc ulicą Nalewki, patrzyła na biegających wszędzie małych gazeciarzy, krzyczących dziecinnymi głosami: „Arabowie odrzucili decyzję Albionu”, „Strajk generalny Żydów w Palestynie”. „Hajntike najes”, „Undzer Ekspres”, „Hajnt”, „Der Moment”, „Folksgezunt” – w Warszawie wychodziło w półmilionowym nakładzie 129 pism, 48 tygodników i 26 dzienników w języku żydowskim czy, jak niektórzy mówili, „żargonie” – pisanym hebrajską czcionką, od prawej do lewej.

„Literarisze Bleter” drukowała piszących w *mame-łoszn*, ich języku macierzystym, pisarzy i poetów, którzy poruszali ważne dla społeczności żydowskiej tematy, takich jak Debora Vogel, Icyk Manger, Kadie Mołodowska, Maurycy Szymel czy debiutujący właśnie pisarz Icaak Bashevis Singer. Zuza Ginczanka ani pisać, ani czytać po żydowsku nie potrafiła.

Jubileusz „Szpilek" za granicą
Pups.20-XII (radiogram)
fot. Eliasz Kanarek
W dniu dzisiejszym ambasador „Szpilek" przy rządzie królestwa Sardanii Andrzej hr. Nowicki złożył wieniec na grobie nieznanego satyryka w Papsie.
Berlin, 20-XII (radiogram)
fot. M. Piotrowski
Poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny „Szpilek" przy rządzie Republiki J. K. Wolntraub został w dniu dzisiejszym przyjęty na uroczystej audiencji przez kanclerza Hitlera w Berchtesgaden.
Nowy pieniądz
JEDEN SZELĄG
1935
Mennica państwowa wypuściła ostatnio nową monetę obiegową — szeląg. Wzorzec tej monety przedstawiający felietonistę „Szpilek" wykonał Eryk Lipiński
Nowy gatunek papierosów
ZŁOTA PANI
Ukazał się na rynku nowy rodzaj papierosów „Złota Pani". Pudełko z wizerunkiem Lolo Szereszewskiej projektował Jakub Bickels.
WYJAZD T. HOLLENDRA
W związku ze swym konfliktem ze „Szpilkami" T. H. Ilender w dniu 19 grudnia opuścił kraj, żegnany przez grono najbliższych przyjaciół i oenerowców.
ZDJĘCIA WSPÓŁPRACOWNIKÓW „SZPILEK" WYKONAŁA.
F-ma RADIOTYP
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 131.
BACZNOŚĆ FILATELIŚCI!
Celem uczczenia drugiej rocznicy „Szpilek" poczta wydała specjalną serię znaczków według projektów B. W. Linkego
POCZTA
12 GR
Zuzanna Ginczanka jako siewczyni Znaczek koloru różowego, wartości 12 gr. ząbkowany.
13GR
1935
1935
13GR
Znaczek wartości 13 gr, przedstawiający Janusza Minkiewicza i Światopełka Karpińskiego. Kolor-szaro-zielony. Ząbkowany.
7GR
Znaczek wartości 7 gr. Edward Szymański koloru czerwonego na bladym tle. Format 3 9/11 mm × 8 cm.

Karykatura Ginczanki na znaczku „Szpilek”

Nad Warszawą zbierały się coraz ciemniejsze chmury. Czasy żartów i zabaw przy kawiarnianym stoliku oraz fraszek w „Szpilkach” bezpowrotnie mijały. Grzmiała już jawnie faszystowska „Falanga” Piaseckiego, judził przeciw Żydom „Mały Dziennik”. Wołano: „Swój do swojego po swoje”, wybijano szyby w żydowskich sklepikach. Na chodnikach leżało rozbite szkło, pestki, landrynki, rozsypane owoce. Światy tak różne, a jednak wspólne, bo istniejące w jednym miejscu na Ziemi, oddalały się teraz od siebie jak kręgi na wodzie. Tacy jak Zuzanna, asymilujący się Żydzi, znaleźli się nagle w potrzasku. Czy

mieli dalej iść w kierunku mitycznej nowoczesności, zostawić swoją wielowiekową kulturę i religię, swój język? Czy mieli wychrzcić się, zdradzić naród przodków i jako przechrzty być odrzuceni i przez Polaków, i przez Żydów?

Światem Zuzanny byli jej koledzy z Ziemiańskiej, z Zodiaku. Ginczanka mówiła po polsku, pisała po polsku i czuła się przede wszystkim polską poetką, chciała tworzyć kulturę polską. Jak Leśmian, Tuwim, Brzechwa, Słonimski, Wittlin, Hemar, Schulz, Lechoń – najwybitniejsi pisarze, Żydzi z pochodzenia, ale władający jak nikt w tym kraju językiem polskim. Dziś czytała o Tuwimie, że skoro jest Żydem, to nie może być poetą polskim, bo jego twórczość jest żydowska i wnosi pierwiastki rozkładowe do polskiej literatury. Brak mu przecież polskiego sensualizmu i wyczucia przyrody. Twierdzono, że to nie jego język, że on, podobnie jak inni poeci, pisarze, dziennikarze, nieprawnie ten język sobie przywłaszczył. „Asy czystej rasy". Zuzanna pisała:

> Pędzą myśliwi w zamierzchłe dzieje,
> gdzie ślad porasta i trop czernieje,
> w gąszczach przeszłości z uporem mrówki
> babki szukają, babki – żydówki,
> babki – żydówki bliźniego swego,
> wroga ciętego, druha dobrego,
> a gdy wywęszą babkę jak łanię,
> to w surmy, w trąby, w rogi i granie.
>
> *Łowy* (1937)

Natomiast w gazecie „Wiem Wszystko" ukazał się o niej taki tekst:

> Koleżanko Gincburżanko, nie bądźcie Ginczanką!
>
> Pełni wyrozumiałości dla młodziutkiej poetki, zapytujemy ją uprzejmie, czy godzi się, aby sympatyczne dziewczę z modrzejowego dworku, którego tatuś, o ile nam wiadomo, zasłużony Fajwel Gincburg, przebywa w czerwonej Hiszpanii, mamusia Cywia Gincburg w czerwonej Rosji, a babcia Pesa Gincburg w dalekim Równem czy Kowlu, czy godzi się

> w takich warunkach wstydzić się dźwięcznego, rodowego nazwiska na rzecz jakiejś tam... Ginczanki? Wiadomo, że goje i tak nie poznają się na „wierszach” koleżanki Ginczanki ani jej sentymencie do... sarmackości.

Podkreślano jej obcość. To bolało, bo czuła się przecież integralną częścią polskiej kultury, inteligentką, polską poetką, która ukochała wyuczony w polskich szkołach język.

Robiło się groźnie. Wokół nasilała się agresja, powtarzały się uliczne zaczepki i prowokacje. Żydzi stali się przedmiotem nieustannych kpin i ataków. Przed katolickimi świętami w tramwaju, w sklepie, na ulicy krążyły bojówki, zaczepiały: „Gdzie ty się pchasz Żydzie! Czosnkiem zajeżdżasz, gudłaju!”, „Żydowi tylko zawsze o pieniądze chodzi”, „Żyd to fałszywy tchórz, nie jak polski, rycerski patriota”. I zaraz bójka, bo lubiło się Żydkom pokazać, gdzie pieprz rośnie. Młodzież zrzeszona w syjonistycznych organizacjach nie chciała dać się tak dalej poniewierać, szykowała się do emigracji do Palestyny. Chciała jak inne narody mieć własne państwo, własną armię, ziemię i miasta. Zuzanna wobec ataków przyjmowała postawę dumnej wyższości, choć jako semicka piękność otoczona zawsze dworem wielbicieli coraz częściej czuła na sobie nienawistne spojrzenia. Rosnący antysemityzm przerażał ją i budził jej wstręt, choć silna społeczność żydowska i lewicowi Polacy dawali złudzenie wsparcia.

Jednak Zuzanna coraz rzadziej uczęszczała na uniwersytet, opuszczała wykłady, szczególnie w te dni, kiedy w Warszawie pojawiały się bojówki. A te najczęściej wykorzystywały patriotyczne rocznice jako okazje, żeby bić Żydów. Rycerscy studenci krzyczeli: „Precz z Żydami, Żydówki z nami!”, choć bywało, że jak który zadał się z Żydówką, to mu Młodzież Wszechpolska laskami z ukrytą żyletką twarz kiereszowała.Wydano zarządzenia: „Żydzi muszą stać w czasie wykładów”. Tak życzyli sobie niektórzy profesorowie. „Żydzi mają siedzieć osobno, w swoich ławkach. Nie mieszać się z prawdziwymi Polakami”. Nowy porządek: z jednej strony Polacy, wychowani

w szkołach katolicko-narodowych, zawsze układni, z rezerwą. Z drugiej młodzież żydowska, emocjonalna, nieprzewidywalna. Hasło „Żydzi na Madagaskar” można było jeszcze obrócić w żart, więc Zuzanna zjawiła się raz na balu maskowym w Hotelu Europejskim z małą walizeczką i naklejką „Jutro na Madagaskar”.

Antek Knoll spotkał ją raz w Łazienkach.

– Nie boi się pani tu chodzić? – zdziwił się.

Żydzi bali się teraz spacerować po Alejach Ujazdowskich.

– Muszę zajść na uniwersytet. Mam wykład Kotarbińskiego. Pójdzie pan ze mną? – zapytała.

– Mogą panią odprowadzić.

– Naprawdę? Nie boi się pan? Teraz ja się zapytam.

Mimo bliskiej znajomości byli z Knollem na pan. Jeszcze w Równem bardzo się Antoniemu Gincburżanka, wnuczka starej Sandbergowej, podobała. Często razem w Warszawie gdzieś chodzili, Antoni wpadał do niej do Ziemiańskiej, zabierał ją na obiad lub na spacer. Zuza wiedziała, że zwraca na siebie uwagę mężczyzn. Mało kto się nie obejrzał. Ona – smagła, zgrabna dziewczyna – krocząca dostojnie obok szczupłego, słowiańskiego blondyna. Kiedy doszli do uniwersytetu, ze zdziwieniem spostrzegli napisy na bramie: „Śmierć Żydokomunie”, „Żądamy ghetta dla Żydów i obniżki opłat”, „Strajk trwa”. Brama główna była zamknięta, tylko z prawej strony trzech mężczyzn w studenckich czapkach z laskami spacerowymi, które szybko mogły do innych posłużyć celów, pilnowało, żeby Żydzi nie wchodzili na teren uczelni. Mimo to udało im się przejść.

– Może wzięli panią za Turczynkę? – śmiał się Antoni, który mocno trzymał ją jak swoją narzeczoną, pod rękę.

– Panie Antku, dziękuję. Proszę wpaść do mnie kiedyś na Szpitalną, dostanie pan ode mnie w prezencie mój tomik wierszy *O centaurach*. Z dedykacją. Jeden wysłałam też do Lwowa do Tadzia Błażejowskiego, ale nie odezwał się. Nie wie pan, co się z nim dzieje?

– Ponoć się ożenił.

– A, rozumiem.

W Zodiaku przy złoconym stoliku Gombrowicza nastrój panował grobowy, atmosfera była z dnia na dzień coraz bardziej napięta, mówiono, że niedługo wybuchnie wojna. Zuzanna pochylała jak egzotyczny ptak swoją głowę Mulatki. Przyjaciele patrzyli na nią, na nowo zadziwieni jej urodą, odmiennością, delikatnością i inteligencją. Patrzyli przerażeni w jej niesamowite oczy – jedno piwne, drugie zielonkawe. Świadomość nadchodzącej katastrofy pojawiała się coraz częściej w poezji Zuzanny:

Raz wzbiera we mnie nadzieja,
raz jestem niespokojna.
Zbyt wiele rzeczy się dzieje –
coś przyjdzie: miłość lub wojna.
Są znaki, że przyjdzie wojna:
kometa, orędzia, mowy.
Są znaki, że przyjdzie miłość:
serce, zawroty głowy.
Kometa błysnęła nocna,
gazeta nadbiegła dzienna.
O wiosno, wiosno miłosna!
Nie, nie miłosna. Wojenna!
Pełnia nadeszła wiosenna
i snów ze sobą naniosła.
O wiosno, wiosno wojenna!
Nie, nie wojenna. Miłosna!

Maj 1939

Wszyscy już się zastanawiali, co robić. Wyjeżdżać? Żydzi mówili: „Po co? Nic nam nie grozi. Przecież Niemcy to jest wspaniały,

kulturalny naród”. Polacy myśleli, że są silni i niepokonani, bo mają najlepszą kawalerię, która pokona wroga.

Postępujący lęk trzeba było zagłuszyć. Ratunkiem były spotkania w Zodiaku. Zuza kiedyś napisała:

– Kiedy ci mówię wzrokiem, – kochany –, że twoja
[jestem, twoja, twoja,
nawet nie słyszysz mojej rozpaczy i moich lęków
[i niepokojów, –

nawet nie słyszysz, że tak się boję, że całym sercem
[w ciebie przenikam,
że ci zaciążę, że cię obarczę gnącym ciężarem moich
[barykad –

patrzysz mi w oczy jak w szklane szyby, jak w nieprze-
[bite graniczne szyby
i nie wiesz wcale, jak w myśli wołam: uwolń mnie, miły,
[ratuj i wybaw –

Zza barykad (1934)

Na urodzinach Ginczanki na Szpitalnej, gdzie zeszła się cała kompania, Witold szalał, choć za Giną przepadał, wykręcał jej ręce, ciągnął za włosy,

– Żyjemy, jakbyśmy mieli umrzeć – powtarzał Karpiński i mówił, że trzeba się ze wszystkim spieszyć, póki życie nie zmiesza się ze śmiercią.

Cień wojny narastał. To była ostatnia chwila, żeby szaleć, pić, bawić się i zatracić. Z miesiąca na miesiąc stawali się bardziej przegrani, bardziej pijani i bardziej zrozpaczeni...

– A tobie w szczególności, moja Gino – jak ją zawsze Witold nazywał – tobie, Gino, radzę zaopatrzyć się na tę wojnę w truciznę – mówił z powagą, odprowadzając ją do domu z Zodiaku.

Wtedy na ulicy Mazowieckiej śmiała się, bo może nie do końca mu wierzyła, i odpowiedziała swoim wierszem: *I znów nie znam spełnienia swego, jak śmierci swojej nie znam*.

Witold wyczuwał, że Gina – semicka piękność, symbol polskiej pięknej Żydówki, Zuza, Sanka, Gwiazda Syjonu, jak wymyślił Andrzejewski, Rachela, jak ją nazywał Wittlin, Sulamitka, jak mawiali Jan Kott i Łobodowski – jest zagrożona, że jej uroda okaże się wkrótce piętnem. Gombrowicz pożegnał się z nią serdecznie i poszedł Marszałkowską do siebie na Chocimską. Ostatni raz go wtedy widziała. W sierpniu przepłynął ocean na transatlantyku Chrobry, by na lata utknąć w Argentynie.

Leżałaś, Lusiu, w półmroku i wracały do ciebie obrazy waszego ślubu. Ty w białym kapelusiku z woalką, w białych długich rękawiczkach, które odcinały się od twoich opalonych, silnych od pływania ramion. Pachniałaś perfumami Guerlaina, które dostałaś od narzeczonego: płaska flaszeczka z grubego szkła w stylu art déco, vol de nuit o orientalnym zapachu. Izek w białym garniturze, w białej muszce stał pod baldachimem koło ciebie, uszczęśliwiony. Mazeł tow! Stłukła się szklanka. Jego rodzina nie przyszła, twoja nie dojechała. Objęłaś gorącym ramieniem ciało Izka.

Izaak Horowitz. Twój pierwszy mąż. Przez lata nigdy nam o nim nie opowiadałaś, to była twoja wielka tajemnica. Uznałaś, że dla nas, dzieci, tak będzie lepiej, o takich rzeczach się przecież nie mówi. Temat pojawił się dopiero po wielu latach, kiedy niewiele nas już w życiu mogło zdziwić. Z pewnym trudem pogodziłyśmy się z istnieniem w twoim życiu innego męża o tak bardzo żydowskim imieniu. Z czasem jednak wszedł on w krąg naszej historii, stał się częścią naszej rodziny i polubiłyśmy go jakoś w końcu.

Lusia z Izaakiem Horowitzem w jego czerwonym steyrze

W te ostatnie dni pokoju przytulałaś się, Lusiu, do Izaaka w waszym wielkim, mahoniowym łożu na ulicy Wilczej. Noce w Warszawie były piękne i spokojne, spokojem, który coś skrywał. Już zabierali młodych mężczyzn do wojska, zaczęła się mobilizacja, kopanie rowów. Izaaka na razie nie powołano. Miasto było zaciemnione. Siedzieliście w ciemnościach na Wilczej, chociaż nalotów żadnych nie było, oglądaliście niebo upstrzone gwiazdami, teraz dopiero dobrze je było widać.

Zuza nie mogła wytrzymać tych wojskowych szlagierów, marszowych rytmów, tych ułańskich sentymentów. Z radia sąsiadów na Szpitalnej dochodziły do niej pieśni *Warczą karabiny, Jak to na wojence ładnie*, śpiewane przez podniecone chórki młodych głosów i zmieszane ze skrzypieniem sprężyn małżeńskiego łóżka. „Ciszej, ciszej” – krzyczała, pukała w ścianę, jakby mogła tym pukaniem zatrzymać toczący się walec historii. Nad ranem budził Zuzę stukot koni przemierzających

w bojowym szyku ulice Śródmieścia. Raniutko, kiedy biegła do „Szpilek”, słyszała, jak dozorca ze Szpitalnej opowiada lokatorom, że ponoć zabierają masowo konie nawet z prywatnych stajni.

„A więc będzie wojna? Kto o tym wszystkim teraz decyduje, gdzie ważą się losy ludzi, którzy jeszcze spokojnie idą do pracy? – myślała, krocząc ulicą Szpitalną i patrząc w górę na letnie słońce. – Kto wie, co się stanie z ich światem, może niedoskonałym, ale ich własnym?”.

Gazety informują o szesnastu punktach przedstawionych przez Niemcy jako ostatniej próbie zapobieżenia wojnie. „Goniec Poranny”: „Na bezczelne pretensje pomiotu krzyżackiego Polska odpowiedziała pogardliwym milczeniem i twardą żołnierską postawą”. „Mały Dziennik”: „Warunki Hitlera. Toż to dokument głupoty i cynizmu z bezczelną miną”. „Kurier Poranny”: „Dla Polaków wojna, która się zaczyna, będzie wojną świętą, wojną do upadłego, wojną na śmierć i życie za zagrożoną przez barbarzyńcę wolność”. W „Gazecie Polskiej” pojawia się wiersz Kazika Wierzyńskiego:

Święty Boże,
O sprawiedliwą bijemy się rzecz:
O naszą wolną wolę,
O naszą ziemię i morze,
O matki krzyż na czole
– Pobłogosław nasz miecz.
O polskie kości na Wawelu,

O cmentarze ojcowskie,
Na których znak Twój świeci.
O lata przeszłe i przyszłe,
O góry nasze, o Wisłę,
O nasze żony i dzieci,
O dolę daleką i bliską,
O prawa ludzkie i boskie,
O wszystko.

Święty Boże, 30 sierpnia 1939

Odpowiada mu wiersz Zuzanny:

zdychasz, stara Europo,
patosem brzękniesz jak trup
„o Francjo, – o Anglio, – o Niemcy, – o Litwo!!!”
zanosisz się suchotnico
kaszlem żołnierskich rytmów
(: więzi bęben takt stóp) gnijesz gangreną
– policją, ociekasz kodeksów ropą –
– zdychasz, stara Europo!

Agonia (1934)

Są takie daty, których się uczy w szkole i których się nigdy już nie zapomina. 1 września 1939 roku. Szlaban na granicy już połamany. Hitler napadł na Polskę. Początek najokrutniejszej ze wszystkich wojen. Nad Warszawą przelatują niemieckie samoloty, lecą gęsto bomby. Walą się domy. Wszystko idzie w ruinę, wszystko, co dopiero powstało, co zbudowano z takim trudem. Koniec krótkiej, bo ledwie dwudziestoletniej niepodległości. Warszawa zatopiona w czerni, bez świateł. Czarna rozpacz. „Wojna nie potrwa długo, góra dziesięć dni”, „Niemców przepędzimy”, „Wodzu, prowadź na Niemców” – słychać zewsząd słowa otuchy.

Zlatujecie z Izaakiem do piwnicy na Wilczej i siedzicie tam skuleni wśród przerażonych sąsiadów, wśród płaczących dzieci. Nagle cisza. Nie słychać piekielnego huku bomb, wycia syren. „Może Niemcy już biorą nogi za pas?”. Ale nie. Znowu alarm: „Uwaga, uwaga nadchodzi”. Trzeba jak najszybciej stąd uciekać, dobrze, że nie zabrali Izkowi samochodu. Jechać nocą, bo za dnia bombardują. Od znajomego Serba, doktora Szalka, dostajesz, Lusiu, kanister benzyny, która jest teraz na wagę złota. Zabierasz pelisę, podarunek od męża, choć to upalny wrzesień, ale może się przyda, walizki już załadowane do bagażnika,

jeszcze Izaak bierze z PKO pieniądze, chowa za pazuchę. Kierujecie się na wschód swoim czerwonym steyrem, bo we Lwowie mieszkają jego rodzice. Ty w letniej sukience w kwiaty, w chusteczce na głowie prowadzisz samochód i robisz to z wielką wprawą, omijając wozy konne, rowery, tłumy z tobołkami. Masa ludzi rozlewa się na rżyska, na okoliczne pola kartofli. Zatrzymujecie się po wsiach, kupujecie od chłopów jedzenie, śpicie na sianie w stodole, ale trzeba się spieszyć, bo o świcie zaczyna się znowu bombardowanie dróg. Na poboczach leżą trupy ludzi, martwe konie. Widać z daleka krwawe łuny palących się miasteczek.

4

LWÓW
1939–1941
ZA PIERWSZYCH SOWIETÓW

Na jej adres: Wielmożna Pani Zuzanna Ginczanka – Klewań 2, poste restante, dotarła w końcu lata 1939 roku kartka Henia Tomaszewskiego i Eryka Lipińskiego z wakacji w Kazimierzu „(nad rzeką Wisłą (z dopływami), Willa Pana Sobko, ulica Nadrzeczna nr 19)”. Z dopiskiem: „Pensjonat najwyżej 4 zł dziennie”. Zabawowi panowie pisali co linijka na zmianę: „Ludność Kazimierza składa się z malarzy i Żydów” (Henryk), „Pamiętasz nasze szepty wiosenne, jak projektowaliśmy wspólny wyjazd do Kazimierza?” (Eryk), „Nie wszyscy Żydzi są malarzami. Część z nich pracuje, reszta się trudni” (Henryk), „Napisz zaraz, czekam z utęsknieniem” (Eryk).

Zaledwie Zuzanna z babcią wróciły z letniska do Równego, zaledwie przed składem aptecznym przy 3 Maja wypakowały z dorożki liczne kufry i walizy, dziwna plotka rozeszła się po mieście: „Niemcy zaatakowali Polskę, są już w przygranicznych miastach”.

Więc nie będzie, Zuzo, wąwozów w Kazimierzu ani przejazdu tratwą przez Wisłę. Świat nagle przewrócił się do góry nogami, do góry brzuchem. Zuzanna prosi Eryka Lipińskiego, żeby zlikwidował w Warszawie jej pokój na Szpitalnej i nie zapomniał zabrać rękopisów i albumu ze zdjęciami. To bardzo ważne.

Radio potwierdziło wiadomość o niemieckim napadzie na Polskę, ale jednocześnie zapewniano ludność, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, bo wkrótce polskie wojska odeprą niemiecką nawałnicę. W całym mieście powtarzano to sobie z ulgą, a dzieciaki

śpiewały w kółko: „Polska, Polska nie zginęła, póki Bóg nad nami, jeszcze Hitler będzie wisiał do góry nogami”.

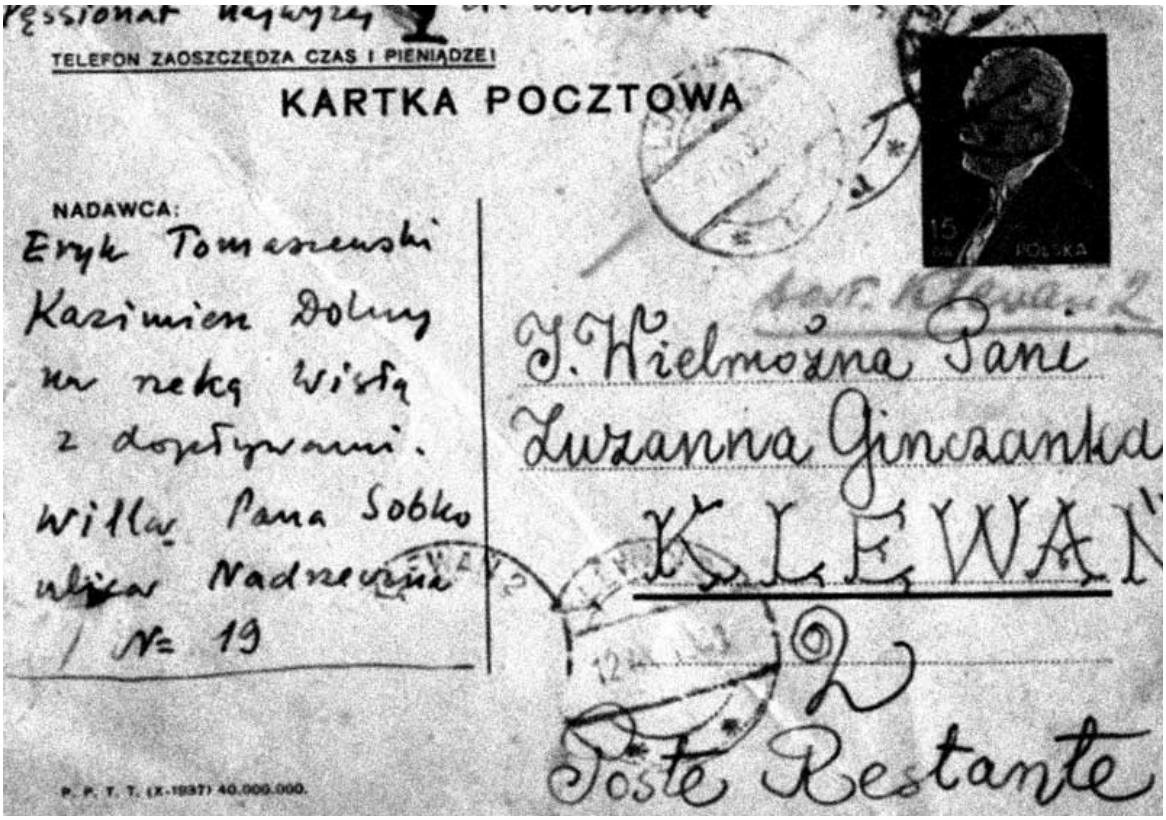

Kartka Eryka Lipińskiego i Henryka Tomaszewskiego do Ginczanki w Klewaniu, 1939

Jednak już za chwilę było wiadomo – i to dzięki kilku małym stacjom radiowym, bo państwowe już nie działały – że Warszawa została zbombardowana i że ludzie masowo uciekają. Zaraz potem dotarł do Równego pierwszy tłum zmęczonych długą drogą uciekinierów z Warszawy, z Lublina, z Łodzi, innych miast, ludzi mocno przerażonych i bez środków do życia, opowiadających o marszu i bombardowaniu Polski przez Niemców. Komisja dla uchodźców ulokowała ludzi w budynkach użyteczności publicznej, a w synagodze ściśnięci Żydzi leżeli na ławkach, na podłodze, na korytarzach. Równe pękało w szwach i przypominało oblężone miasto. Cała żywność została błyskawicznie wykupiona, a nowego zaopatrzenia już nie było, więc

sklepy zostały zamknięte. Zapanowały rozpacz i panika, nikt nie wiedział, co się za chwilę wydarzy.

Ku zaskoczeniu wszystkich ze wschodu wkroczyła Armia Czerwona. Zatrzymała się na tak zwanej linii Ribbentrop–Mołotow, gdzie Rosjanie podali sobie z Niemcami ręce. Czy był to następny rozbiór Polski? Nawet jeśli początkowo niektórzy ucieszyli się, że Rosjanie przegonią Niemców, szybko zmienili zdanie.

Plakaty sowieckie z czasów okupacji wschodniej Polski w 1939 roku

Podobnie było we Lwowie. Z Izkiem, Lusiu, trzymacie się mocno za ręce, żeby się nie zgubić w tłumie ludzi, którzy ze zdziwieniem obserwują wkraczających do Lwowa żołnierzy Armii Czerwonej. Obszarpana, brudna hałastra, twarze wschodnie, skośnookie, nieobrębione szynele, na plecach worki związane sznurkami, futrzane albo spiczaste czapki z czerwoną gwiazdą, czarne onuce, łapcie. Oczy ci żołnierze mają nieufne, zwierzęco rozbiegane, wystraszone. Robią przygnębiające wrażenie. Cóż to za najazd barbarzyńców? To już chyba

koniec Polski? Za piechotą pędzi na białych koniach kawaleria, od ich chorągwi robi się czerwono, dalej suną taczanki z karabinami maszynowymi i czołgi, brudne, zaniedbane, pełne drabin, sprzętów, może do ataku potrzebnych. Czy to tylko kolos na glinianych nogach? Tak sądzą optymiści, ale jest ich coraz mniej. Chodniki pokrywają białe ulotki podpisane przez dowódcę Frontu Ukraińskiego Siemiona Konstantinowicza Timoszenkę:

> Żołnierze! Co pozostało wam? O co i z kim walczycie? Dla czego narażacie życie? Opór wasz jest bezskuteczny. Oficerowie pędzą was na bezsensowną rzeź. Oni nienawidzą was i wasze rodziny. [...] Nie wierzcie swym oficerom. Oficerowie i generałowie są waszymi wrogami, chcą oni waszej śmierci.
>
> Żołnierze! Bijcie oficerów i generałów.

Izaak rzucił zmiętą ulotkę na ziemię. Żołnierze i oficerowie Wojska Polskiego oraz policjanci mają odmaszerować po uprzednim złożeniu broni. Zdziera się wszędzie godła państwowe. To kapitulacja. „Poddaliśmy się pastuchom, to hańba” – krzyczą Polacy i spluwają z pogardą na ziemię.

Stojący na czołgu oficer sowiecki wykrzykuje przez tubę, że Armia Czerwona weszła do Polski, by „nieść pomoc”, by „wyzwolić ludność, ukraińskich i białoruskich chłopów z jarzma polskich panów, obszarników, kapitalistów i wyzyskiwaczy”. Po mieście rozkleja się zaraz plakaty, na których radziecki żołnierz zwala słup graniczny i całuje się w usta z ukraińskim chłopem w rubaszce. Na innym butem miażdży polskiego oficerka, a białemu orłowi łeb mieczem przebija. I wszędzie słychać okrzyki: „Niech żyje Czerwona Armia wyzwolicielka”. To krzyczy komunistyczna młodzież, budując powitalne bramy. Są wśród nich młodzi działacze żydowscy. Jednak większość Polaków, Żydów, Ukraińców, a zwłaszcza białych Rosjan jest bardzo przygnębiona, absolutnie nie chcą tu władzy sowieckiej.

Żołnierze rosyjscy, których wszędzie pełno, opowiadają, że to szlachecka, pańska Polska chciała napaść na Sowiety i że oni muszą się przecież tylko bronić. „Co za odwracanie kota ogonem” – myślicie z Izaakiem. Ci bojcy, obrońcy ludu pracującego, od których jedzie wódką, biegają po mieście podnieceni i skupują za grosze, co się tylko da, bo u nich *niczewo niet*. Wieczorami urządzają popisy taneczne, *piesni i plaski*, wojskowy ensemble odtańcowuje polki i przysadziste kozaczoki. Z ulic dochodzi muzyka akordeonu, śpiew krasnoarmiejców.

Ty, Lusiu, we Lwowie wysiadasz z waszego czerwonego steyra, ściągasz swoje okrągłe słoneczne okulary, przez moment patrzysz w górę, podziwiając piękno podwójnej kamienicy z numerami 8 i 8a przy ulicy Jabłonowskich, kamienicy, w której teraz mieszkacie. Podziwiasz lekkość architektury, filigranowość ozdobnych okuć i ażurowych balkonów. Z wysokości pierwszego piętra co dzień spogląda na ciebie żelazna, opleciona wężami twarz gorgony. Izaak opowiadał ci, że jej spojrzenie zamieniało żywe istoty w kamień, a jedynym lekiem na to były łzy jednorożca. Czy was też zamieni w kamień? Ale skąd wziąć we Lwowie łzy jednorożca?

Mieszkanie Horowitzów we Lwowie, na drugim piętrze przy Jabłonowskich 8a, gdzie mieszkała Lusia, a potem też Zuzanna

Wchodzisz prędko po schodach na drugie piętro z torbą pełną zakupów, na szczęście nie brakuje wam pieniędzy. Kiedy kończy się wspólny z Horowitzami obiad – rosół na kurze z kluseczkami, pulpety, marchewka – który służąca Horowitzów, Ukrainka Tekla, świetnie i smacznie przygotowała, Izek opowiada dowcipy, ma do tego talent i dobrą pamięć. Lubisz się z Izkiem śmiać. Chociaż właściwie nie wiedziałaś, czy wychodzić za niego za mąż, bo to głównie on tego pragnął, teraz coraz bardziej Izek ci się podoba, bo to chłopak przyjemny i uległy.

Wkrótce Lwów zostaje ogłoszony miastem ukraińskim i przemianowany na Lwiw, a województwa tarnopolskie, stanisławowskie, wołyńskie i lwowskie zostają przyłączone do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. W nowym polskim piśmie „Czerwony Sztandar” piszą za Mołotowem: „Polski upiór już nigdy nie powstanie”. *Nikakoj Polszy nikagda nie budiet!* Nowe Zgromadzenie Ludowe ogłasza:

> Polscy panowie robili wszystko, by spolszczyć ludność ukraińską, zakazać używania słowa „Ukrainiec” i zastąpić je słowem „bydło” i „chłop”. Pracujący Zachodniej Ukrainy, którzy przez dziesiątki lat znajdowali się pod jarzmem polskich obszarników, kapitalistów nie mogą powziąć innej decyzji. Z dumą i radością oświadczają, że chcą żyć pod słońcem Stalinowskiej Konstytucji, w jednej rodzinie szczęśliwych narodów radzieckich!

Na wiecach odczytuje się list ludu pracującego Zachodniej Ukrainy. Rozlegają się długotrwałe owacje i okrzyki: „Niech żyje nasza droga władza radziecka!”, „Niech żyje Ukraińskie Zgromadzenie Narodowe!”, „Chwała naszemu oswobodzicielowi, naszemu ojcu i nauczycielowi, genialnemu i wielkiemu Stalinowi!”. Wszystko toczy się teraz tak szybko, że wprost trudno w to uwierzyć. „Ponoć aresztowani oficerowie, zamiast, jak obiecano, w Rumunii, znaleźli się w Starobielsku”, „Wiem na pewno, że polskich policjantów wymordowano na szosie na Winniki, za rogatkami miasta, ogniem z karabinów maszynowych”, „Wiecie, że

aresztowano prezydenta i wybitnych obywateli miasta?”, „Od kiedy to mamy sowiecki kalendarz i czas moskiewski? Która właściwie jest godzina?”, „Trzeba wymienić szybko walutę. Do widzenia, polski złoty”, „Słyszeliście? Po domach, jakoby w poszukiwaniu broni, przeprowadza się rewizje, a przy tej okazji zabiera zegarki, biżuterię”, „A po wsiach konie, wozy, żywność”. „Polaków usunięto z kierowniczych stanowisk. Wypuszczono więźniów politycznych, przeważnie komunistów, i to oni zaczęli obejmować państwowe stanowiska”. *Bud’tie zdarowy, komisar Pietrow* – komentujesz, Lusiu, kiedy Izaak przynosi ci te informacje.

Od rana ustawiają się kolejki, wybuchają kłótnie, bo w sklepach są tylko zgniłe kartofle, chleb zawijany w gazetę. Polskie pieniądze po wymianie na ruble zupełnie straciły na wartości. Na modłę sowiecką otworzyły się sklepiki państwowe, ale w nich pustki. Pozostały tylko denerwujące przedwojenne napisy na murach: „Artykuły bławatne”, „Mydło, świece, zapałki”, „Cykorja. Herbata chińsko-rosyjska. Kakao”. Zamknięto dom towarowy Magnus, ale w witrynach straszą jeszcze reklamy tenisówek zwanych „cichostępami”, produkowanych przez PEPEGE – Polski Przemysł Gumowy. Tamten czas wydaje się już tak odległy. Słychać szepty na ulicach: „Państwo radzieckie stało się właścicielem wszystkich budynków i sklepów, handel i przemysł należą teraz całkowicie do państwa”, „Wywozi się wyposażenie niektórych fabryk”, „Zakłady przemieniono na imienia Marksa, imienia Lenina, imienia Engelsa”, „Przepędzono prawowitych właścicieli”, „Niektórzy próbują jeszcze swój majątek ukryć, naiwni udają biedaków, noszą stare, podarte ubrania, ale państwo sowieckie nie daje się tak łatwo oszukać”.

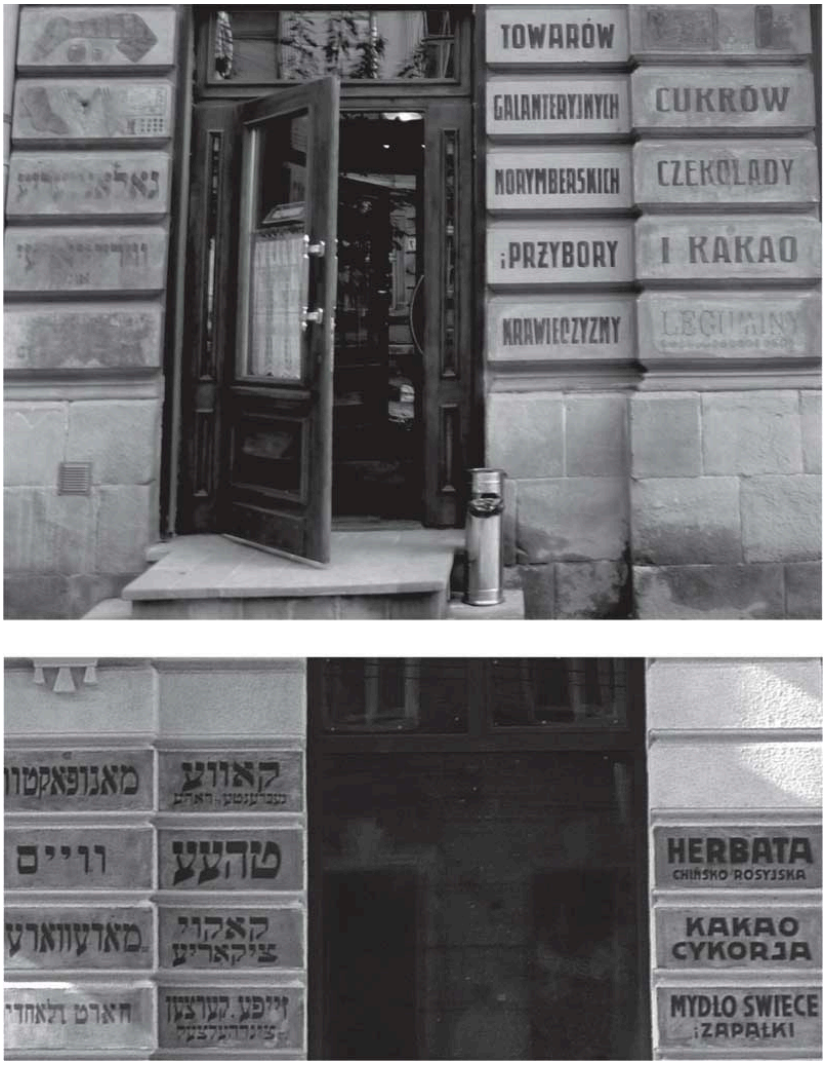

Dzielnica handlowa we Lwowie

Przygnieceni ciężarem tej błyskawicznej zmiany ustroju wszyscy chodzicie smętni, głodni i ponurzy. Mieszkania są wyziębione, brakuje węgla na opał, w dodatku Lwów podwoił swoją ludność, bo wszędzie koczują uciekinierzy z całej Polski, tak zwani bieżeńcy. Lwowiacy patrzą z niechęcią, jak tamci krążą jak widma po ulicach, jak szukają noclegu i pracy, żeby dostać bumagę z pieczątką i pozwolenie pozostania we Lwowie. Jest wśród uciekinierów wiele słynnych osobistości, co dzień stoją grzecznie w długiej kolejce po zupę, nalewaną energicznym ruchem chochli przez znane aktorki. Popołudniami przesiadują przy kolejnych kawach w kawiarni hotelu

George albo Roma. Zewsząd słychać te same pytania: „Co tam nowego?”, „Co robić?”, „Co tu robić?”. Nawet najmądrzejsi nic nie mogą wymyślić. Co wieczór w zatłoczonych pokoikach przyklejeni do odbiorników nasłuchują radia, próbując zrozumieć sytuację. Wiadomości są bardzo skąpe. Więc dalej te pytania: „Jak się wydostać poza sowiecki kordon?”, „Masz przewodnika na Węgry?”, „Masz pewnego do Rumunii?”, „Czy biorą od razu z góry za Wilno?”, „A co dalej?”, „A za ile?”. Niektórzy nagle znikają, z nikim się nie żegnając. Udało im się.

Tłum z coraz większym przerażeniem w oczach, w coraz bardziej wisielczych nastrojach przechadza się po głównej arterii Lwowa, dawnej ulicy Legionów. W tym mrowisku tłoczących się ludzi odróżniają się dziwacznie ubrani uciekinierzy – kożuchy, płaszcze deszczowe, stare trampki, wysokie kalosze, nasunięte na czoło wełniane czapki albo kaszkiety. Zuza Ginczanka, która dotarła tu z Równego, spotyka co chwila swoich znajomych z Warszawy: Boy-Żeleński, Jastrun, Ola i Aleksander Watowie, Broniewski. Adolf Rudnicki – sfatygowany, w podartych butach i bez płaszcza – chwali się, że właśnie udało mu się w końcu ogolić. „Przepraszam, Zuzo, ale biegnę już na Ossolińskich do prezesa Związku Literatów, Ostapa Ortwina, tam może dostanę jakąś pomoc”.

Władze żądają teraz obowiązkowego meldunku każdego obywatela i choć różne na ten *prikaz* są zapatrywania, za chwilę wszystkie ulice są już zablokowane, bo tysiące ludzi stoi w kolejkach do urzędu rejestracji. Szybko też wszedł w życie antybumelancki nakaz pracy. W ZSRR nie toleruje się społecznych pasożytów, każdy musi teraz za groszową pensję pracować w państwowym zakładzie.

Twój znajomy, Lusiu, doktór chorób sercowych Jerzy Muszkatenblit, któremu zawsze bardzo się podobałaś, znalazł tobie i Zuzie Gincburg pracę w kurbiurze związku zawodowego Medsantrud. Obie świetnie mówiłyście po rosyjsku, a to było niezbędne, aby wystawiać pracownikom *putiowki*, czyli skierowania do uzdrowisk na opłacane

przez państwo wczasy. Jako szare urzędniczki siedziałyście obie za wielkimi biurkami, w walonkach, bo było strasznie zimno, i wypisywałyście góry papierów.

Do Zuzy codziennie wpadał jej nowy adorator, chudzielec w okularach, grafik Janusz Woźniakowski, śmiertelnie w niej zakochany. Zawsze przynosił jakieś racuchy, owoce, nie wiadomo, skąd to brał, a Zuza, mocno wygłodzona, z radością takie prezenty przyjmowała. Janusz uczył się od razu na pamięć jej napisanych w przerwach w pracy wierszy. Potem, trzymając się za ręce, wspinali się na Wysoki Zamek. Zuza uwielbiała rozpościerający się stamtąd widok na leżące w kotlinie miasto, ze słońcem zachodzącym o tej porze za pobliskie wzgórza. Piękno dodawało jej tak potrzebnych do życia sił. Tak jak i czułość Janusza.

Zachodził też do was przystojny blondyn, wyglądał jak prawdziwy Skandynaw, choć Żyd przecież, jego rodzina pochodziła ze Lwowa, doktór Marek Stauber. Przed wojną skończył medycynę na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Marek był bardzo zaradny, oczytany i interesująco się z nim o świecie rozmawiało. Podobałaś mu się, Lusiu, ale byłaś już zamężna, chociaż on wolał, jak mówił, bardziej sentymentalne, romantyczne kobietki, wygadane mu nie imponowały. Mieszkał teraz przy Czereśniowej 12 i pracował jako lekarz przy fabryce czekolady, kiedyś nazywającej się Branka, od właściciela, Maurycego Brandstettera, ale obecnie przemianowanej na Róży Luksemburg. Leczył tam chore robotnice, bo była to zwłaszcza żeńska załoga, pobierał dla nich u was *putiowki* i zawsze przynosił w prezencie czekoladki w metalowym pudełku, jeszcze z dawnym napisem: Branka LWÓW BONBONS CHOCOLATE.

Zuzanna z Januszem Woźniakowskim

Opowiadał wam barwnie, jak prezes związku zawodowego w fabryce zbiera i skupuje różne towary i kiedy przyjeżdża z Moskwy *towariszcz* Moskatow z delegacją związków zawodowych, już są przygotowane dla nich kupony materiałów – *kupończyki* – i towarzysze radzieccy chętnie je biorą.

Marek pracował też w szpitalu na wydziale skórnym.

– Jeden budynek służy dla obowiązkowych badań prostytutek, drugi dla chorych na różę, trzeci dla skórnych i wenerycznych. Przychodzą do nas teraz na badania dumnie paradujące w nocnych koszulach Rosjanki, przekonane, że to są eleganckie sukienki.

– Widziałyśmy takie na ulicach. Cały Lwów się z nich śmieje.

– Kiedy byłem na *putiowce* w Kijowie, widziałem w *uniwiermagu* kolejkę od samego dołu do czwartego piętra, bo sprzedawali po kawałku

mydła. Były też dwie inne kolejki, jedna po śledzie, druga do kiosku z gazetami, nie po to, żeby je czytać, ale żeby zawijać w nie śledzie czy robić tytoniowe skręty.

– Po tej wizycie chyba twoja lewicowość mocno ochłodła.

– Widać gołym okiem, co warta jak ta szlachetna ideologia i jak to w praktyce wygląda.

Marek Stauber we Lwowie

Do kurbiura dotarła niespodziewanie z Równego babcia Zuzy – Chaja Sandbergowa, mimo niesprzyjających okoliczności jak zawsze elegancko ubrana. Gdyby nie te usta w podkówkę i długi nos, który ją oszpecał, Zuza byłaby do niej dość podobna.

– O, pani Lusieńka – ucieszyła się na twój widok. – Nie dalej jak w zeszłym tygodniu spotkałam pani mamę na Piłsudskiego. Podobno

pani siostra Maria wychodzi za mąż za adwokata Michała Kaufmana. To dobra wiadomość, nareszcie Ilka będzie miała ojca. Misza to spokojny, zamożny człowiek. A czy są jakieś wiadomości od Ilki ojca – Abraszy? Miły to był chłopak, czasem do mnie ze swoim pudełkiem śliwek zachodził. Ach ci dzisiejsi tatusiowie! Od taty Sanki też żadnych nowin. Przepadł bez wieści.

– Martwię się bardzo o mamę, jak ona da sobie radę? Będę musiała teraz jej pomagać.

– Dzielna kobieta z pani mamy. Teraz dla wszystkich nastały bardzo ciężkie czasy. Czy ty wiesz, pani Lusiu, że mnie zabrano sklep, mój ukochany skład apteczny, a przecież mój świętej pamięci mąż był jednym z pierwszych aptekarzy Równego. Odwoływałam się, że przecież byłam aktywna społecznie, finansowałam dom sierot, nic z tego. W domu przy 3 Maja mieszka teraz, wyobrażacie to sobie, pełno obcych ludzi, jakichś sowieckich notabli, mnie zostawili tylko jeden pokój.

– To okropne.

– Właśnie, Sanoczko moja ukochana. Przywiozłam ci papiery na przebudowę sklepu.

Chaja wyciągnęła z torby niebieską teczkę zatytułowaną: „Projekt zmiany elewacji frontowej i budowy łazienki w domu śp. Abrama Sandberga, ul. 3 Maja nr 132”.

– O, kleks się tu zrobił. Rozumiesz, mogły być na dole dwa sklepy i w końcu prawdziwa łazienka.

– To chyba już teraz na nic, babciu. Zostań raczej z nami we Lwowie.

– Mnie tam jednak cenią w tym Równem. Zobaczcie, jaki się o naszej rodzinie artykuł jeszcze w polskiej prasie ukazał. Abraham Sandberg, jeden z pierwszych aptekarzy Równego, i Klara, czyli ja, Sandberg biorą aktywny udział w życiu społecznym, opiekują się domem sierot.

– To wszystko już nieważne. *Prapała pietruszka.* Pani Sandbergowa, zostańcie z nami. Lwów to duże miasto, łatwiej tu pani będzie.

– A co ja tu, kochane moje, będę robić? Ja właśnie skończyłam siedemdziesiąt lat. Mam sporo rodziny wokół Równego, jakoś się mną zajmą. Skoro ty, Sanko, tu chcesz działać, to ja to rozumiem. Cunia, wie pani, matka Sanki, pisała, żeby do niej, do Hiszpanii przyjechała.

– Tak, proponowano mi nawet przejście przez zieloną granicę na Węgry, do Budapesztu.

– Trzeba było iść. Tutaj robi się bardzo niebezpiecznie, aresztują, wywożą.

– Do pensjonatów na Sybir, w głąb Rosji? – rzuciłaś, Lusiu.

– Mój sąsiad, sprzedawca drożdży Lejb, obecnie strażnik, spóźnił się do pracy tylko piętnaście minut, bo w Jom Kippur chciał posłuchać Kol Nidre. Za to, wyobraźcie sobie, postawiono go jako kontrrewolucjonistę przed sądem, jacyś ludzie zaświadczyli, że działał przeciwko ustrojowi, i skazano go na dziesięć lat więzienia. Kompletny absurd!

– To okropne. Na dziesięć lat za piętnaście minut spóźnienia?

– W Równem usunięto język polski ze szkół i urzędów i wprowadzono ukraiński. Obecnie nawet mówienie po hebrajsku jest niebezpieczne, bo uznano je za kontrrewolucyjne, zamknięto wszystkie szkoły hebrajskie, liceum Tarbut, a tam chodziły trzy tysiące dzieci. Natomiast w jidysz można *uczitsia*. Pozwalają. Dlaczego – nie wiadomo. Kościoły, cerkwie, synagogi opustoszały, religia jest bardzo źle widziana, bo młodzież ma uczęszczać do komunistycznych klubów młodzieżowych.

– To jest teraz nowa religia.

– Wszędzie tyle rodzinnych tragedii. Dwóch synów Szacowej wsadzili do pociągu na Syberię i ona potraciła zmysły.

– Mania Szac, babcia Izaaka i Blumki? Ta, u której moja mama wynajmuje teren pod skład opałowy? Przecież ona ma tylko dwie córki, Taubę Fradis, mamę Blumki, i moją teściową Horowitzową...

– Nie, to ktoś inny – Gittel Szac, może z dalszej rodziny, Szaców jest jak mrówków. Już nawet trudno się tym wszystkim przejmować, bo

wszyscy są zmęczeni, chorzy, całymi dniami szukają jedzenia czy pracy, stoją godzinami w kolejkach w ciągłym strachu, że ich zaaresztują, wywiozą jak tylu już innych. Ale ty, Sanko, o mnie się nie martw. Ty masz bardzo zaradną babcię.

– Bardzo się, babciu, martwię.

– *Kojdem-kol*, widziałaś, pani Lusiu, co ja dla Sany przywiozłam? Piękne srebra stołowe, piękną bieliznę pościelową. Proszę cię, Saneczko, nie używaj na razie tych rzeczy, odłóż gdzieś na bok. Może się jeszcze doczekam, że znajdziesz kogoś poważniejszego i taki posag się przyda.

– Babciu, po co mi to wszystko? Ja tu nie mam nawet swojego mieszkania, nie mam szafy, żeby to gdzieś złożyć. My jesteśmy tu bieżeńcami, to gorsza kategoria. A przede wszystkim nie mam kandydata na męża.

– Nie martw się tym. Popatrz, ile tu się teraz kręci młodych ludzi z całej Polski. I to wybitnych ludzi. Pora, kochana moja, najdroższa, skarbie mój, by kogoś sobie wreszcie znaleźć, ustabilizować się, bo kogo teraz twoje wiersze interesują? Teraz wszyscy wiersze piszą. Na czele z Sowietami, oni przecież kochają poezję.

– Babciu, kto teraz myśli o żeniaczce, jak się nie ma co do garnka włożyć? Jak mnie kto zechce, to i bez posagu weźmie. Co nie, Lusiu? No tak. Lusia o rok młodsza, a już jest mężatką. Ma zamożnego męża.

– Miłość miłością, ale tobie, kochanie moje, taki zamożny też by się przydał.

Lusia Gelmont

Komiczna wydawała się rzeczywiście ta pościel z lampasami, te poduszki z prawdziwego lekkiego pierza, te haftowane obrusy, makatki, srebra – posag panny Gincburżanki – w obliczu ludzi śpiących teraz po bramach czy wręcz na trotuarach na uścielonych z kołder barłogach, na złożonych wpół dywanach.

Odprowadziłyście babcię na dworzec. Resztki szklanej kopuły, tej dostojnej budowli z czasów austrowęgierskich, leżały teraz wszędzie porozbijane. Usiadłyście w poczekalni koło bufetu, oglądając jeszcze niezamazane przedwojenne reklamy. Do Równego było dwieście kilometrów, ale podróż przy sowieckich porządkach ciągnęła się godzinami. Oczywiście, zapewniałyście obie babcię Sandbergową, że wkrótce przyjedziecie, najpóźniej na wakacje. Ty, Lusiu, odwiedzisz mamę Blumę, poznasz Miszę, przyszłego męża siostry, pogadasz

z Ilusią, ma już piętnaście lat, och, jak ten czas leci, przedstawisz im swojego męża Izaaka, to będzie sensacja, szczególnie jeśli pojedziecie tam waszym czerwonym steyrem.

– A mój brat Grigorij? Czy nie było żadnych wiadomości od niego, nic mama nie mówiła? – pytasz jeszcze na peronie starą Sandbergową.

Od kiedy Grigorij wyjechał do Rosji, rzadko pisywał, bo utrzymywanie stosunków z Polską było wręcz niebezpieczne. Wiedzieliście tylko, że ożenił się z Szurą, córką generała, że mają dwoje dzieci i że przenieśli się gdzieś koło Kujbyszewa. Do Polski docierały jednak stale informacje o kolejnych czystkach, o strasznym terrorze w sowieckiej Rosji, w których ginęły miliony ludzi. Bluma niepokoiła się bardzo, co się z nim stało, bo nagle zamilkł, na listy nie odpowiadał, więc była przekonana, że Sowieci zabili jej syna. Jej przeczucia okazały się słuszne, choć potwierdzone dopiero po 1956 roku. Bardziej szczegółowe okoliczności jego śmierci odkrywam dopiero dzisiaj, prawie osiemdziesiąt lat po fakcie, kiedy otworzyły się radzieckie archiwa. Dziennikarz z miasta Penza, Aleksander Jachontow, w biuletynie „Jabłoko Rossii”, wydawanym przez Stowarzyszenie Memoriał zajmujące się propagowaniem wiedzy o ofiarach represji radzieckich, opisuje, jak w tym regionie w roku 1937, a był to czas najstraszniejszych czystek, wykryto dwóch *giermanskich szpionow*. Jednym z nich był kierownik szkoły jazdy, Grigorij Łazarowicz Gelmont, który pisywał listy do swojej matki Blumy Gelmont w Polsce. Organy zwróciły na niego uwagę, bo okazywał człowieczeństwo żonie represjonowanego trockisty, niejakiego Maliszkina. „Dał jej trzydzieści rubli, dał jej kołdrę, materac i pożyczył auto, by pojechała do męża do więzienia”. Zapytane o szczegóły sprawy, Stowarzyszenie Memoriał odpisało:

> Witaj, Lusiu Gelmont. Sprawa dochodzeniowa waszego brata jest w archiwach Federalnej Służby Bezpieczeństwa, regionu Penza – Font 39, sprawa – 11073 n. Grigorij Łazariewicz Gelmont, urodzony w 1904 roku w Kijowie, zamieszkiwał w mieście Niżny Łomow w obwodzie

kujbyszewskim (dziś Samara) i został aresztowany w roku 1937, a następnie rozstrzelany 5 października 1937 roku. Miał 33 lata. Posyłam wam, Lusiu Łazariewicz Gelmont, certyfikat, ale niech nie przeraża was surowy język dokumentu. Grigorij Łazariewicz został zrehabilitowany w 1989 roku, co również jest zaznaczone w dokumencie. Możecie poprosić teraz o kopie kwestionariusza aresztowanego, akt oskarżenia, zeznania i akt egzekucji. Zapytajcie też, czy został rozstrzelany w Penzy czy w Niżnym Łomowie. Być może został pochowany w Podgornoje, gdzie chowano więźniów budujących autostradę Niżny Łomow – Penza. Ale to są tylko przepuszczenia.

– Mam szukać dalej? – pytam się ciebie.

– Dlaczego o nim piszą takie straszne rzeczy? Przecież mój brat był takim miłym, uroczym chłopcem – dziwisz się, mamo. – Nie był żadnym szpiegiem.

Spośród milionów zaginionych w wielkich sowieckich czystkach z mrocznej mgły, nicości i ciszy niespodziewanie wyłoniła się teraz postać waszego Bezika, jak go w domu nazywaliście, rozświetliły się dramatyczne szczegóły jego losu.

Wkrótce przywykłaś, Lusiu, do tego wielkiego, sześciopokojowego mieszkania na Jabłonowskich 8a z wielką kuchnią i wanną w łazience, przywykłaś do Guty, brzydkiej siostry Izaaka, i teściów, za którymi przecież nie przepadałaś. Wasze problemy jednak, jakieś niesnaski, w obliczu otaczającej was grozy wydawały się nieistotne, banalne. Naprzeciw waszego okna, na gmachu szkoły zawieszono czerwoną flagę. Pełno teraz na mieście było sierpów i młotów, symboli ludu pracującego, czerwonych gwiazd. Przed operą postawiono pomnik Lenina, a na ratuszu wisiały portrety wielkodusznego i surowego wodza narodu Józefa Stalina oraz Kalinina i Mołotowa, spoglądających ironicznie w kierunku kaplicy Boimów i rokokowych kamieniczek na Rynku.

W całym mieście słychać było odgłosy kilofów, tysiące robotników budowało nową drogę ze Lwowa do Kijowa. Lwów, Równe, cały Wołyń i Kijów – to było teraz jedno państwo, Związek Radziecki. Twoja mama

Bluma posłała z Równego do Kijowa, do swojej rodziny, Tarnopolskich (niestety babcia Rosa zmarła w 1935 roku), kryształowy wazon w kształcie kuli. Ciotka Sonia i wujek Fiedia bardzo grzecznie podziękowali i przysłali ci, Lusiu, w spóźnionym prezencie ślubnym piękny miśnieński talerz z kolorowymi ptaszkami.

Po latach kuzynka z Kijowa, córka Fiedii, Lala, która w latach osiemdziesiątych emigrowała do Izraela i zamieszkała w domu starców w Jafie koło Tel Awiwu, oddała ci niespodziewanie ten kryształowy wazon – podarunek Blumy, który zabrali ze sobą w emigracyjnym bagażu. „Weź, twoja matka go dotykała”. Tak, to prawda, był to jedyny zachowany przedmiot, którego przed laty dotykała Bluma. Jego kulista forma, ciężar nie spodobały się izraelskim celnikom na lotnisku, bo wazon przypominał bombę, długo więc trwało wyjaśnianie, kontrola walizek, rewizja osobista, zanim kryształowy wazon po kilkudziesięciu latach powędrował tym razem do ciebie, do Francji.

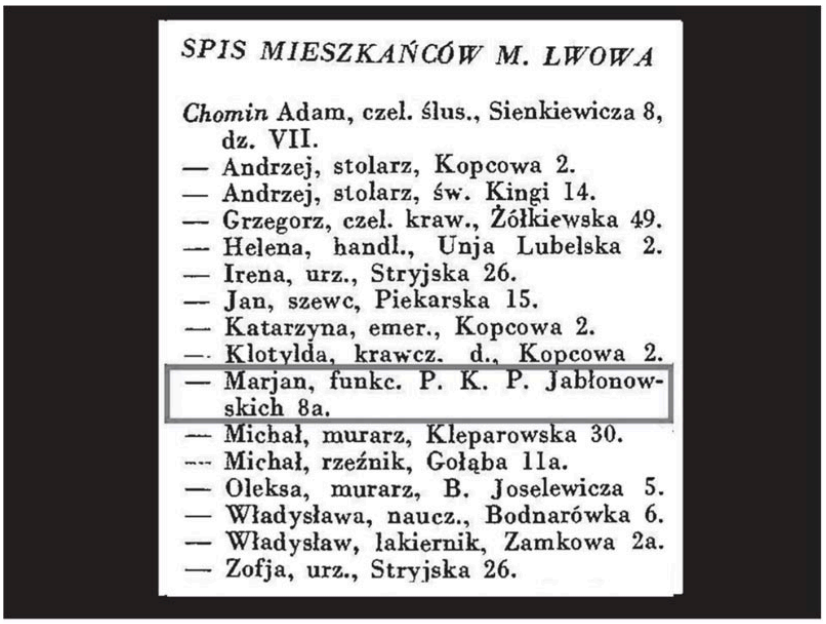

SPIS MIESZKAŃCÓW M. LWOWA

Chomin Adam, czel. ślus., Sienkiewicza 8, dz. VII.
— Andrzej, stolarz, Kopcowa 2.
— Andrzej, stolarz, św. Kingi 14.
— Grzegorz, czel. kraw., Żółkiewska 49.
— Helena, handl., Unja Lubelska 2.
— Irena, urz., Stryjska 26.
— Jan, szewc, Piekarska 15.
— Katarzyna, emer., Kopcowa 2.
— Klotylda, krawcz. d., Kopcowa 2.
— Marjan, funkc. P. K. P. Jabłonowskich 8a.
— Michał, murarz, Kleparowska 30.
— Michał, rzeźnik, Gołąba 11a.
— Oleksa, murarz, B. Joselewicza 5.
— Władysława, naucz., Bodnarówka 6.
— Władysław, lakiernik, Zamkowa 2a.
— Zofja, urz., Stryjska 26.

SPIS MIESZKAŃCÓW M. LWOWA

Horowitz Abrah., inkas., Zamarstynowska 11a.
— Abrah., kupiec, Grodzickich 9.
— Abrah., kupiec, Bogdanówka 6.
— Abrah., zawiad. Spół.-kred., Rema 12c
— Abrah., dyr. Pow. Zw. Spół., Kazimierzowska 45.
— Anna, naucz., św. Teresy 28.
— Arnold, przem., Zamknięta 9.
— Arnold, kupiec, Panieńska 32.
— Benno, urz., Zamarstynowska 1.
— Bernard, kraw., Nowa Zamarst. 16.
— Bernard dr., adw., Objazd 2.
— Chaim, kupiec, Głowińskiego 4.
— Chaim, kupiec, Żółkiewska 25.
— Chune, szewc, Łyczakowska 47.
— Dawid, kupiec, Wilczków 6.
— Dawid, buchalter, Głowińskiego 25.
— Dawid, krawiec, Gródecka 57.
— Efroim, introlig., Alembeków 14.
— Eljasz, stol. Lwia 2.
— Emanuel dr., adw., Sokoła 5.
— Fryderyka, księg., Sykstuska 52.
— Gabrjel dr., adw., Grottgera 10.
— Henryk, urz., Wolność 8.
— Henryk, kupiec, Rappaporta 5.
— Herman, piekarz, Peltewna 13.
— Herman, dyr. banku, Ziemiałkowskiego 6.
— Herman, magaz., Słoneczna 47.
— Henryk, kier. sklepu, Zamarstynowska 28.
— Hersch, naucz., Arciszewskiego 8.

Horowitz Hirsch, urz., Murarska 35.
— Horacy, ind., św. Teresy 28.
— Ignacy, ślusarz, J. Hermana 6.
— Isak, krawiec, Peltewna 11a.
— Juda, kupiec, Kotlarska 12.
— Izak, inkas., Kulparkowska 1.
— Izrael, naucz., Łyczakowska 47.
— Izrael, kupiec, Ormiańska 2.
— Jakób, urz., Wronowska 6b.
— Jakób, subjekt, Objazd 4.
— Jakób, introlig., Alembeków 14.
— Jechie, właśc. sklepu, Objazd 4.
— Jonas, pom. handl., Alembeków 16.
— Jonas, urz. pryw., Strzelecka 10.
— Jonas, urz. pryw., Żółkiewska 19.
— Józef, handl., Zygmuntowska 11.
— Józef, urz. Sobieskiego 12.
— Józef, rzeźnik, Sykstuska 14.
— Juda, urz. pryw., Jachowicza 4.
— Juda, kupiec, Rynek 37.
— Klara, naucz., Długosza 26.
— Majer, kupiec, Rappaporta, 31.
— Majer, urz. pryw., pl. Krakowski 22.
— Maks, urz. pryw., Sodowa 14.
— Maks, urz. pryw., Korzeniowskiego 5.
— Maksym., urz., Torosiewicza 15.
— Maksym., optyk, Balonowa 14.
— Marcin, ziemianin, Sykstuska 1.
— Marja, naucz., Obertyńska 6.
— Maurycy, urz., Zyblikiewicza 39.
— Mendel, urz., Żółkiewska 205.
— Mojżesz, buchal., Kasztelańska 11a.

— Mojżesz, przem., Jabłonowskich 8a.
— Moses, kupiec, Bernsteina 14.
— Moses, kupiec, Zamarstynowska 1.
— Moses, koncyp. adw., Mochnackiego 22
— Naftali, urz. pryw., Wołyńska 35.
— Natan, kupiec, Staroniesieńska 4.
— Natan, urz. pryw., Balonowa 6.
— Oswald, urz. pryw., Kościuszki 18.
— Ozjasz, inkas., Objazd 8.
— Pepi, urz., Kościelna 6.
— Pinkas, introlig., Jabłonowskiego 19.
— Róża, wdowa po notarj., Obertyńska 6
— Rudolf, urz. pryw., Nadwórna 11a.
— Salomon, kotlarz, Józefata 12.
— Salom., pośr., Ziemiałkowskiego 14.
— Salomon, kupiec, Janowska 35.
— Samuel, mleczarz, Panieńska 32.
— Sara, buchalt., Żółkiewska 25.
— Saul, urz. pryw., Torosiewicza 15.
— Saul, masz., Zborowskich 3.
— Schabse, kamieniarz, Weteranów 3.
— Sima, właśc. piek., Sobieskiego 41.
— Simche, kupiec, Bogdanówka 4.
— Tadeusz, kupiec, Panieńska 32.
— Teresa, właśc. realn., Strzelecka 10.
— Uscher, kupiec, Zyblikiewicza 25.
— Zelmen, kupiec, Ziemiałkowskiego 14.
— Zofja dr., lek. hygj. szk., Szaszkiewicza 4.
— Zofja, właśc. realn., Jagiellońska 17.
— Zygm., piekarz, Sobieskiego 39.
— Zygm., restaur., Zamarstynowska 28.

Horowitz Mojżesz, przem., Jabłonowskich 8a.

Marian Chomin, funkcjonariusz PKP, i Mojżesz Horowitz w spisie mieszkańców Lwowa

Na Jabłonowskich Chana Karp spod dziesiątego płakała, że Sowieci zabierają jej kamienicę. Wszyscy teraz tracili kamienice, także właściciele bliźniaczego numeru 8a – doktór Zygmunt Stoff, Róża Rosenberg i Kitz Emil. „Nie ma co płakać – tak ją głupio pocieszano – teraz ważne jest tylko, żeby przeżyć”.

Dawid Herman z parteru, właściciel sklepu z odzieżą, rozpaczał, że kupcy jako tak zwani wyzyskiwacze stracili prawo do wykonywania zawodu i znaleźli się na czarnej liście. Twoja teściowa, Bluma Horowitz, co dzień dyskutowała przy schodach z panem Hermanem te kwestie, radziła mu, żeby szukał pracy gdzie popadnie, aby nie wyszło, że trudni się zakazanym handlem i jest wrogiem ludu pracującego. Zofia Chominowa, dozorczyni domu, pani pięćdziesięcioletnia, patrzyła na nich znad swojej szczotki złym wzrokiem, bo jej przy tych głośnych dyskusjach nieustannie zadeptywali już porządnie wymytą podłogę.

– No właśnie, pani Zosiu, dobrze, że panią widzę – zagadnęła z uśmiechem zażywna Horowitzowa. – Czy mąż pani mógłby wpaść do nas na drugie piętro, bo znowu kran nam się popsuł. Pan Marian ma przecież złote ręce. Prosiłabym bardzo, bo nie da się wanny używać.

Chodziły w kamienicy plotki, że Horowitzowa mało używa wody, a jeden koniec mydła owija sreberkiem, żeby się nie zmydliło. Niemniej była to kobieta porządna i lubiła, żeby wszystko działało, jak trzeba.

– Nie wiem, czy mąż będzie miał czas – odpowiedziała półgębkiem dozorczyni. – Pracuje teraz na stacji Podzamcze, a oni tam teraz na kolejach mają moc roboty, bardzo późno wraca. Ciągle trzeba jakieś pociągi podstawiać, które stoją potem całymi dniami i nocami z ludźmi na bocznicy, a wreszcie jadą gdzieś na północ Rosji.

– Pani Chominowa, to straszne, co pani opowiada. Nic o tym nie wiemy. Gdyby mąż znalazł jednak chwilę czasu...

– Może szybciej syn, też Marian zresztą, by do państwa podskoczył.

– Bardzo, bardzo bym prosiła.

Któregoś razu, dobrze to zapamiętałaś, przyszli do ciebie na Jabłonowskich przyjaciele twojej siostry i proponowali, żebyś uciekała z nimi do Wilna. Mowy o tym nie było, nie mogłaś przecież zostawić Izka, świeżo poślubionego męża. Natomiast teść twój, Mosze Horowitz, pan przy kości, z wąsem, w okularach, bardzo się tą propozycją zainteresował, bo on strasznie się bał Rosjan, jako że widział ich w akcji

w czasie rewolucji, kiedy Horowitzowie, podobnie jak Gelmontowie, mieszkali w Kijowie. Izaak się tam zresztą w 1911 roku urodził. Stary Horowitz znał dobrze rosyjski i wiedział dokładnie, kim są bolszewicy. Przy sobie nosił stale jakiś papier, chyba bumażkę o zatrudnieniu. Więc on się natychmiast zdecydował jechać za ciebie, resztę rodziny ściągnie potem, powiedział i szybko zapakował torbę, sprawdził raz jeszcze, czy ma przy sobie swój glejt, i ruszył z grupą w kierunku Wilna, skąd chciał się jak inni wydostać gdzieś dalej i tym sposobem się uratować.

Wyjechał. Wy, którzy tu pozostaliście, w codziennej walce o fizyczne przeżycie, odcięci od Polski, czuliście, że kończy się nagle wasza cywilizacja. Lwów stawał się z dnia na dzień groźniejszy, zimny, bardziej obcy; w piękne secesyjne kamienice, w ocienione podwórka wżerały się teraz brud i nędza, a w wasze ciała – wszechobecny, ciężki dygot strachu.

Na zebraniu dziennikarzy i pisarzy w ratuszu przemawiano po rosyjsku i ukraińsku. Mówca przestrzegał przed jakimikolwiek próbami oporu tych, którzy próbują nadal hołdować reakcji i wstecznictwu nacjonalistycznemu.

– Trzeba popierać nadchodzącą zmianę, trzeba pogodzić się z sytuacją. Przecież, drodzy towarzysze, wasz rząd opuścił tchórzliwie własny kraj. Teraz my tu rządzimy. A my nie *wiegietariancy*! – rzucił nagle groźnie.

Głos zabrał przystojny dramaturg w mundurze Ołeksandr Kornijczuk (chodziły plotki, że był zakochany w towarzyszce Wandzie Wasilewskiej), który zachęcał do wstępowania do Związku Literatów Zachodniej Ukrainy.

– Będziemy, kochani towarzysze, kontynuować oczywiście tradycje przede wszystkim narodowe – głos Kornijczuka brzmiał uwodzicielsko. – My wam damy tymczasem dobre warunki egzystencji, żebyście mogli żyć, pisać, przyglądać się nam w akcji. Pisarze i artyści bez względu na swoją narodowość mają przed sobą otwarte podwoje wielkiej sztuki

socjalistycznej, sztuki szczerze służącej kulturalnym i moralnym ideałom ludzkości.

Zuzanna rozglądała się. Wszędzie tłum trupio bladych twarzy i rytmicznie oklaskujące dłonie. Ilekroć padało nazwisko Stalina, publiczność, choć składali się na nią na ogół zdecydowani przeciwnicy komunizmu, zrywała się jak jeden mąż i biła brawo. Do oficjalnego Związku Literatów Zachodniej Ukrainy, któremu przydzielono klasycystyczny pałacyk hrabiego Bielskiego przy Kopernika, zapisała się mieszanina znanych i nieznanych poetów i pisarzy, w tym wielu Ukraińców, którzy uwierzyli, że nareszcie nastał ich czas. Zapis do związku dawał ponadto bieżeńcom prawo pobytu i potwierdzenie stopnia naukowego. Szybko udało się pozyskać wielu polskich literatów, którzy z pobudek ideowych, lewicowych, ze strachu czy dla wygody przyłączali się do sowieckiej agitacji.

Pałacyk hrabiego Bielskiego, gdzie odbywały się zebrania związku pisarzy

Zima przyszła sroga, brakowało węgla, pełno niesprzątanego śniegu leżało na obrzeżach ulic, sklepy były zamknięte, witryny zabite drewnianymi deskami. Literaci przestali chodzić do Ortwina na Ossolińskich, woleli opalany, śliczny pałacyk związku, gdzie wysiadywali całymi dniami, grając w szachy. Odbył się tu przyjemny

sylwester witający rok 1940. Hrabia Bielski – jako gospodarz – przechadzał się wśród swoich nowych lokatorów, powtarzając: „Jestem niezmiernie zadowolony, że goszczę pisarzy, bo mówiono, że jak przyjdą bolszewicy, to mi konie wstawią do pałacu”.

Obowiązków w związku było sporo, sprawdzano regularnie obecność i składki, program zajęć był obszerny:

> – Udział w zebraniach, wieczorach literackich i posiedzeniach sekcji, formujących świadomość przewodników narodu w sowieckim duchu.
>
> – Ważny lektorat: „Marksizm – leninizm”, popularnie zwany „Marksizm – onanizm”.
>
> – Ankieta: „Co mi przyniósł system sowiecki?”
>
> – Projekcja filmu Dowżenki *Oswobożdienije.*
>
> – Nadawanie sowieckich tytułów naukowych.
>
> – Redagowanie gazety „Wilna Ukrajina”.
>
> – Dyskusja o nowych podręcznikach szkolnych (z marksistowskiego punktu widzenia).
>
> – Dyskusja o wolnym państwie ukraińskim, bez cierpień.
>
> – Obchody „Rocznica Tyczyny” – wspólne złożenie wieńców pod pomnikiem.
>
> – Obchody 85. rocznicy śmierci Mickiewicza. Uroczysty wieczór mickiewiczowski w Teatrze Wielkim Opery i Baletu. Wieńce i przemówienia pod pomnikiem na Wałach Hetmańskich.
>
> – Podsumowanie w duchu socjalizmu twórczości uczestników.
>
> – Tłumaczenie poetów ukraińskich i radzieckich i tworzenie literatury socjalistycznego realizmu na wzór Maksima Gorkiego.

Przed wojną była propaganda antysowiecka, dochodziły wiadomości o procesach, o czystkach, ale nie dawano wiary, że taki jest ten stalinizm. Niektórzy lewicowi intelektualiści, mimo że widzieli, co się dzieje, nadal wierzyli w szlachetność systemu, uważali, że dzięki ideologii komunistycznej będzie można zbudować lepszy, bardziej sprawiedliwy świat. Ci ulegli bez szemrania brali udział we wszystkim, akceptując sowieckie instytucje i swoją podrzędną w nich rolę.

Ci, którzy jeszcze pisali w cichości wierszyki antysowieckie, musieli teraz zaprzestać, bo z Leninem i Stalinem lepiej było nie żartować. Najgorzej byłoby pomylić się w pisowni: Stalin – Sralin, o co najbardziej drżeli dziennikarze i korektorzy „Czerwonego Sztandaru". Na którejś z uroczystości zabroniono Broniewskiemu powiedzieć wierszyk: *Kto ty jesteś? Polak mały*. Niespodziewanie aresztowano pisarkę piszącą pod pseudonimem Jan Stycz, piękną Herminę Naglerową, potem jeszcze kilka innych osób. Od pewnego czasu odbywały się sesje zwane „kajakowymi", podczas których trzeba było się publicznie kajać albo oficjalnie potępiać aresztowanych kolegów.

Zuzanna przypatrywała się ze zdziwieniem temu teatrowi pozorów, gierek, złudzeń, lizusostwa i zakłamania, atmosfera tego miejsca napawała ją coraz większym wstrętem. W pałacyku na Kopernika aż się kotłowało od niechęci i wszechwładnego strachu. Starała się tłumaczyć i przynosiła tam do korekty swoje tłumaczenia ukraińskiego poety Pawła Tyczyny, Tarasa Szewczenki, Łesi Ukrainki i Władimira Majakowskiego. Punktualnie o czternastej dawano członkom związku, a zwłaszcza ciągle wygłodzonym uchodźcom, całkiem niezłą zupę, najlepiej smakowała kwaskowata solanka.

Marmurowe schody, przestronny hall, wokół którego biegła galeryjka, skąd spoglądał w dół na wchodzących hrabia Juliusz Bielski, teraz pan już mocno leciwy, po osiemdziesiątce, i jego o dwadzieścia lat młodsza żona Eleonora. Stali i pozdrawiali, jak to hrabiowie, z balkoniku. Ale okres hrabiowski miał się niedługo zakończyć deportacją do obwodu siemipałatyńskiego i śmiercią hrabiego.

Czasy były dla wszystkich trudne, ledwie maskowano powszechny lęk – przed aresztowaniem, wywózką, rozłąką z rodzinami. Był styczeń 1940 roku, dopiero cztery miesiące sowieckiej okupacji, a Lwów zmienił się w miasto grozy, nędzy i brudu.

Zuza pracowała w kurbiurze, a Janusz Woźniakowski deklamował z zachwytem jej wiersze, które notowała na biurowych kartkach. Coraz częściej zaczął do niej zaglądać stateczny, mocno od nich starszy, bo

miał wtedy trzydzieści sześć lat, kustosz lwowskiego Muzeum Historycznego, Michał Weinzieher. Trochę przy kości, okrągławy, z czarnym wąsem i gęstą czupryną lśniących włosów – mógł się podobać, pochodził z bardzo porządnej, żydowskiej rodziny, babci Sandbergowej chyba by odpowiadał. Jego ojciec był lekarzem, posłem na Sejm, on sam walczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Z wykształcenia był prawnikiem, ale prywatnie pasjonatem sztuki. Zuza znała go z Warszawy, bo pisywał świetne artykuły do „Naszego Przeglądu" o malarzach École de Paris takich jak Symche Trachter czy Eugeniusz Zak.

Któregoś razu Weinzieher zjawił się w biurze z bukietem pięćdziesięciu herbacianych róż. Skąd je zdobył, nie wiadomo, a nie było to proste. Klęknął przed Zuzą, ucałował jej dłoń, a ona go podniosła z kolan, krzycząc: „Tak, zgadzam się, zgadzam, i posag już mam" – po czym oboje wybuchli śmiechem. Ślub wzięli dyskretnie, ale Zuza pokazała ci, Lusiu, swój uroczy biały kapelusik z różyczkami, choć nie tłumaczyła, dlaczego wybrała Michała, skoro Janusz nadal przychodził. Może z Michałem czuła się bardziej bezpieczna w tych okropnych czasach. Z okazji Zuzy dwudziestych trzecich urodzin, 9 marca 1940 roku, wszyscy razem: ty, doktór Marek, twój Izek, Janusz Woźniakowski, świeżo poślubiony Michał Weinzieher i Franciszek Gil, reporter, przyjaciel Janusza – odbiliście w kurbiurze gruzińskie wino.

– Za lepsze jutro. *Lechaim*. Za życie!

– Musimy w to wierzyć!

Zaraz potem Marek przyleciał z kurbiura z wiadomością, że w fabryce Branka wydają paszporty sowieckie, a odbierają polskie. Ci, co nie zechcą być obywatelami ZSRR, idą na zsyłkę. Ponoć Żydzi boją się brać sowieckie obywatelstwo, bo w przyszłości może im to odciąć możliwość powrotu do Polski, która się przecież niedługo odrodzi. Stemplują w paszporcie pieczątkę z paragrafu jedenastego – osobom niepożądanym i niepracującym, *bieżeńcom*, i ci nie mogą przebywać w promieniu stu kilometrów od Lwowa

Władze Związku Literatów z trudem powstrzymywały swoją niecierpliwość, starając się nie zdradzić, jak spieszno im było skończyć z maskaradą polskości i przerobić wszystko na sowiecką modłę. Pora już była pozbyć się polskich literatów – przemądrzalców i niedowiarków z wielkimi wymaganiami.

Na nic zdała się niektórym ich wierność i komunistyczne przekonania. Nie wystarczyło już przyklaskiwać, bo i najwierniejsi szli na odstrzał. 23 stycznia 1940 roku podstępem ściągnął tych pisarzy do restauracji scenograf Władek Daszewski, posadzono wszystkich w osobnej sali bankietowej.

Byli tam: ilustratorka Olga Siemaszko, aktor Juliusz Balicki, poeta chłopski Wojciech Skuza, Zygmunt Sobolewski, mąż poetki Szemplińskiej, Tadeusz Peiper, Władysław Broniewski, Adam Ważyk, Anatol Stern z żoną Alicją, Aleksander i Ola Watowie. Obok przy stoliku z jakąś podejrzaną damą siedział sowiecki historyk sztuki, który nagle na skutek czyjejś uwagi szarpnął mocno za obrus, zrzucając na podłogę butelki i zastawę. Wtedy zza pluszowych kotar wyskoczyli ukryci tam agenci NKWD, rzucili się na literatów, wywiązała się walka, bo pisarze – zwłaszcza Broniewski, bo Wat zemdlał – dziarsko się bronili. Na próżno. Zabrali ich do policyjnych aut i zawieźli do więzienia na Zamarstynowie. Tej samej nocy zaaresztowano w mieszkaniach Teodora Parnickiego, sekretarza dawnego Związku Literatów, oraz Wacława Grubińskiego, dramaturga.

„Czerwony Sztandar” skomentował wydarzenie nazajutrz w artykule *Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną*. Aresztowanych pisarzy nazwano bandą ciemnych typów, kryminalistów, pijaków i rozpustników, którzy urządzali sobie orgie. Dorobiono im odpowiednie życiorysy, będące mistrzostwem mistyfikacji: Broniewski – reakcjonista i piłsudczyk, który pijał z pułkownikami; Aleksander Wat – trockistowska kanalia; Tadeusz Peiper – rzecznik zdegenerowanej poezji dla burżujów; Wojciech Skuza – pijak i chuligan spod znaku Witosa; Juliusz Balicki – pijak.

Wanda Wasilewska na próżno wstawiała się za aresztowanymi pisarzami. „To nie są wrogowie ustroju, to są przecież lewicowcy”. Załatwiła tylko żonom prawo do paczek – trochę żywności, zmianę bielizny. Przed ich wywózką na Sybir w odbieranej z aresztu odzieży żony znajdują kawałki watoliny, bo w celach jest zimno, a w brudnych koszulach wszy, jeszcze pełne krwi. Ich krwi. Płaczą.

W lutym 1940 roku – a zima była surowa, temperatura dochodziła do dwudziestu pięciu stopni mrozu – zaczęły się pierwsze wywózki obywateli polskich, zwłaszcza Polaków – osiemdziesiat procent, ale też Żydów, Ukraińców, Białorusinów i Litwinów mających polskie paszporty. Chodziło o jak najszybszą eksterminację polskich elit. Wszystko odbywało się niesłychanie sprawnie, bo Rosjanie na wszystkich mieli kartoteki.

Przychodzili w nocy albo nad ranem – pięciu enkawudzistów z bagnetami wyciągało ludzi z łóżek. *Dawaj sobirajsia*. Odczytywali decyzję o wysiedleniu, potem rewizja, rzekomo w poszukiwaniu broni, ale chodziło o grabież. Piętnaście minut na zebranie rzeczy. Coś ciepłego, może pościel, naczynia kuchenne, może wiadra, narzędzia gospodarcze, zabierz sobie maszynę do szycia, przyda ci się – radzili nawet – zabierz pieniądze, kosztowności i kufer albo koc, albo kapę ściągnij sobie z łóżka, zrobisz sobie tobołek.

Przed domem stały duże ciężarówki, wiozły na dworzec, tam do wagonu bydlęcego wpychano na siłę, wagon ryglowano. Dziura w podłodze, prycze, ścisk i zaduch, zakratowane okienka. Brakowało wody, na stacjach brano ją z kolejowej pompy albo topiono śnieg. Raz na trzy dni wodnista zupa, czasem kasza albo kawałek chleba. W wagonach było potwornie zimno, nawet do minus czterdziestu stopni, ludzie zamarzali – nieboszczyków strażnicy wyrzucali na pobocze, rodzina jechała dalej. Pociąg wlekł się, stawał, podróż trwała tygodniami, miesiącami, kobiety rodziły, wyrzucano martwe dzieci. Wieziono ich do Kraju Krasnojarskiego, do Komi, do obwodu archangielskiego, do obwodu swierdłowskiego, na Syberię. 9 i 10 lutego

1940 roku wywieziono osadników wojskowych, służbę leśną, urzędników państwowych, nauczycieli, harcerzy, kolejarzy, rodziny żołnierskie oraz cywilnych kolonistów. Na wiosnę wywózki wznowiono. 12 i 13 kwietnia 1940 roku wywożono w kierunku Irkucka i Jakucka oraz Kazachstanu głównie kobiety z dziećmi, rodziny wojskowych i urzędników państwowych, nauczycieli, sędziów, kupców i rodziny aresztowanych i deportowanych oraz polskich oficerów. W czerwcu i lipcu wywożono bieżeńców – wtedy ludzie cierpieli z powodu ogromnych upałów i notorycznego braku wody. W czerwcu 1941 roku zdążono jeszcze wywieźć inteligentów, lewicowców, komunistów, przedstawicieli polskich elit oraz rodziny osób deportowanych.

Minęła szybko pierwsza rocznica wkroczenia Sowietów do Polski. Z tej okazji odbywały się wszędzie defilady i wiece, deklamowano wiersze, śpiewano wesołe piosenki, a młodzież szkolna defilowała z portretami wodzów: Kalinina, Mołotowa, Stalina, Lenina.

Otworzył swoje podwoje Uniwersytet Jana Kazimierza, który przemianowano na Lwowski Państwowy Uniwersytet imienia Iwana Franko. Jak wszędzie, tam też nastąpiły aresztowania, a trzydziestu jeden profesorów zostało zamordowanych..Wprowadzono nowe kryteria naboru: klasowe oraz narodowościowe – ograniczono dostęp do studiów Polakom, preferując Ukraińców i Żydów. Inaczej niż przed wojną, to oni przeważali wśród studentów. Wydział Lekarski przekształcono w samodzielny Państwowy Instytut Medyczny. Podobnie jak wielu twoich kolegów, ty też, Lusiu, mogłaś w końcu zapisać się na wymarzoną przez twoją mamę medycynę.

W przemówieniu powitalnym rektor Instytutu Ołeksandr Makarczenko powitał zgromadzoną młodzież, ciesząc się, że odtąd wydziały opieki zdrowotnej oraz farmacji będą kształciły kadry dla dobra radzieckiej, komunistycznej ojczyzny. Językiem urzędowym Instytutu miał być ukraiński, mimo to część profesorów prowadziła dalej zajęcia po polsku.

Chodziłaś, Lusiu, na wykłady w walonkach, w starym ściśniętym w pasie paltocie i wymyślnym wysokim kapelusiku, sowiecka okupacja to nie był czas największej twojej elegancji. W Instytucie Medycznym poznałaś swoją największą przyjaciółkę, Ankę Gurman, która pochodziła z żydowskich chłopów z Łochowa pod Warszawą, co było wielką rzadkością, bo mało Żydów pracowało na roli. Od razu na pierwszym roku były obowiązkowe zajęcia w prosektorium, na ciałach zmarłych studiowałyście anatomię człowieka, strukturę mięśni i kości. Kiedy asystent wniósł raz na tacy męski penis, spojrzałyście na siebie i wybuchłyście śmiechem. Tak zaczęła się wasza dozgonna przyjaźń. Kręcił się stale koło was młody Stefan Banach zwany Juniorem, szczapa taka w białych wełnianych skarpetach. Jego mama, Łucja, żona światowej sławy matematyka, strasznie żałowała, że nie jesteś jej synową, bo jesteś już zamężna. Stefan przesiadywał z tobą godzinami w bibliotece, pomagał w nauce do egzaminów.

Uniwersytet Jana Kazimierza przemianowano na Lwowski Państwowy Uniwersytet im. Iwana Franko

Po wykładach szliście do kawiarni Szkocka, często natykaliście się na Ginczankę, która lubiła tam przesiadywać, patrząc na ulicę przez wielkie, półokrągłe okno. Podchodziłaś do niej, pytałaś, co słychać, i widziałaś, jak Stefan rozgląda się, szukając swego ojca, też Stefana, stale zajętego matematycznymi dysputami z innym słynnym matematykiem, Hugonem Steinhausem. Do tych wielogodzinnych

dysput dołączali też wybitni uczniowie Banacha, jak choćby Stanisław Mazur, a nawet przebywający teraz we Lwowie rosyjscy matematycy. Samo zaproszenie do dyskusji ze Stefanem Banachem nobilitowało każdego młodego matematyka. Przy wielkim kominku z lustrem chemicznymi ołówkami notowano równania na marmurowych blatach stolików, które pod koniec dnia sprzątaczka ścierała – i nic po genialnych odkryciach polskiej szkoły matematycznej nie zostawało. Stąd powstał pomysł Księgi Szkockiej, czyli leżącego u szatniarza grubego zeszytu w twardej oprawie, w którym notowano zagadki matematyczne. Każdy matematyk mógł do tej księgi swój problem wpisać, a kto znalazł rozwiązanie, otrzymywał nagrodę, na przykład butelkę koniaku albo gęś. Już po wojnie, w komunistycznych czasach, taką żywą gęś musiał znaleźć Stanisław Mazur dla szwedzkiego matematyka, który rozwiązał jego zagadkę ze Lwowa i niespodziewanie pojawił się po odbiór przyrzeczonej nagrody w Warszawie.

A ty, Anka Gurman i młody Banach pozdawaliście prawie wszystkie egzaminy i udało się wam zakończyć we Lwowie pierwszy rok medycyny.

Z Anią Gurman

Koleżanki z medycyny, Anka Gurman i Lusia Gelmont, z młodym Stefanem Banachem

5

LWÓW
1941–1943
ZA NIEMCÓW

Ku zaskoczeniu wszystkich, a Stalina najbardziej, 22 czerwca 1941 o godzinie 3.15 wojska hitlerowskie, łamiąc pakt o nieagresji, rozpoczęły realizację operacji „Barbarossa” – błyskawicznego ataku na Związek Radziecki. Siedzieliście przyklejeni do odbiornika Blaupunkt, z którego rozbrzmiewała teraz patriotyczno-religijna pieśń *Idiot wajna narodnaja, swiaszczennaja wajna*. Z moskiewskich fal radiowych grzmiał Mołotow: „Perfidna niespotykana w historii cywilizowanych narodów agresja Niemców!” – wykrzykiwał, a Józef Wissarionowicz Stalin oskarżał Hitlera, że napadł na „święte granice Rusi”, i nawoływał do obrony *matuszki Rossii*.

W niedzielę Rosjanie zaczęli wywozić ze Lwowa swoje kobiety i dzieci. Zabierał się też każdy, kto bał się Niemców i miał odwagę uciekać do ZSRR, pociągi na wschód pełne były komunistów, działaczy politycznych, Rosjan, Ukraińców, Żydów. Masowo wcielano młodych ludzi do Armii Czerwonej, a ponadto kilka tysięcy młodych żydowskich mężczyzn zgłosiło się do ośrodków mobilizacyjnych, wszystkich uznawano za zakwalifikowanych, otrzymali mundury i broń. Armia Czerwona w nieładzie opuszczała miasto.

30 czerwca 1941 roku o świcie, była czwarta trzydzieści, wkroczył do Lwowa ukraiński batalion Nachtigall pod dowództwem Romana Szuchewycza „Czuprynki”. Ukraińcy mieli na sobie czarne mundury Wehrmachtu, na naramiennikach żółto-niebieskie wstążeczki. Członkowie banderowskiej frakcji OUN proklamowali powstanie

Ukrajińskiej Samostijnej Derżawy i rozdawali przechodniom ulotki: „Lachów, Żydów i komunistów niszcz bez litości, nie miej zmiłowania dla wrogów Ukraińskiej Rewolucji Narodowej”.

Zdzierano zewsząd znienawidzone sierpy i młoty oraz czerwone gwiazdy, a tłuszcza rzuciła się natychmiast do rabowania sklepów, choć niewiele tam było. Koło dziesiątej rano do miasta wkroczyła 1. Dywizja Strzelców Górskich, witana entuzjastycznie przez ludność Lwowa. Żołnierze byli elegancko ubrani, wyglądali inteligentnie, chłopcy jak malowani. Pomimo wczesnej godziny mnóstwo ludzi patrzyło na przejeżdżających Wałami Hetmańskimi motocyklistów. Ukrainki z żółto-niebieskimi kokardami rzucały żołnierzom kwiaty, zewsząd rozlegały się oklaski, wiwaty. Niektórzy ubrani odświętnie próbowali salutować po hitlerowsku wyprostowaną ręką.

Po południu ty, Lusiu, z Izaakiem wyszliście na miasto. Niemcy rozstawili swoje podręczne stojaczki, myli się, czyścili zęby, jak to kulturalni ludzie o prawdziwej ogładzie. W całym Lwowie rozległy się od dawna nieużywane dzwony i lwowianie byli bardzo tym wzruszeni.

– Proszę, Niemcy pozwalają bić w dzwony.

– Oni kochają muzykę. Będą grali w kościołach, jak dawniej było.

– Dawniej? Zaledwie dwa lata temu, a wydaje się to wiecznością.

– Dobrze, że pozbyliśmy się tych okropnych dzikusów i skończył się wreszcie sowiecki terror. Wreszcie zapanuje porządek.

– Teraz będzie wszystkim lepiej – słychać było naokoło zadowolone głosy.

– Słyszeliście, że ponoć Sowieci wymordowali w Brygidkach, na Zamarstynowie i na Łąckiego wszystkich więźniów polskich i ukraińskich? Siedem tysięcy ludzi.

– Ale dlaczego? Te ruskie to są ludzie bez Boga i sumienia.

– Widzieliście, że ulica Łąckiego jest zamknięta? Niemcy mają filmować ofiary mordu. Mają takie małe kamerki, pokażą film w Berlinie, niech się świat dowie, co się tu działo.

Na murach opery pojawił się portret Adolfa Hitlera i swastyki na czerwonym tle. Izaak czytał na głos rozlepiane wszędzie afisze, że to Żydzi kolaborowali z rządem sowieckim, że to oni są winni zbrodniom NKWD, że to oni wymordowali kilka tysięcy Polaków i Ukraińców, że to oni odpowiadają za pożogę wojenną – i że teraz nadchodzi czas zemsty. Brzmiało to groźnie, choć jeszcze jakoś nierealnie. „Jakieś wierutne kłamstwa. Absurd” – skomentował i przetarł jak zwykle swoje zaparowane okulary. Wierzyłaś mu, Lusiu, był przecież starszy, mądrzejszy.

Tymczasem z samego Berlina szły już do niemieckich jednostek telegramy z zaleceniami Reinharda Heydricha: „Nie należy stawiać przeszkód dążeniom do samooczyszczania występującym na nowo zajętych terenach w kręgach antykomunistycznych i antyżydowskich. Przeciwnie, należy je wywoływać, nie pozostawiając śladu”.

Tego samego dnia męty społeczne, ukraińscy nacjonaliści i utworzona przez Niemców ukraińska policja pomocnicza z niebiesko-żółtymi opaskami zaczęli uliczne polowanie na żydowskich mężczyzn, którzy chowali się w mieszkaniach, piwnicach i na strychach.

Izaak i jego kuzyn Michał Lipawski przybiegli zdyszani bocznymi ulicami na Jabłonowskich, Lusia zamknęła za nimi drzwi na wszystkie zamki, ale zaraz walenie kolbami i krzyki zaczęły się i tu. Chwilę jeszcze nie otwierali, ale kiedy drzwi już ustępowały pod uderzeniami łomów, Izaak odsunął zamek. Wtedy od razu złapali ich za kołnierze. „Zabieramy was do pracy. *Raus! Raus!* Wychodzić. Skończyła się zabawa. Teraz trzeba będzie pracować”.

Na ulicy dołączyli Izaaka i Michała do pochodu mężczyzn, byli tam młodzi i starzy, chałaciarze z pejsami zwanymi z lwowska grajcarkami, nawet całe rodziny – wszyscy popędzani wśród bicia, naigrawania, wyzwisk. Grupę Żydów w eleganckich paltach skierowano do czyszczenia chodników przed Operą – na kolanach, szczoteczkami. Inna grupa musiała zamiatać przed ratuszem, wokół zadowolony tłum śmiał się i pokrzykiwał: „Nareszcie się Żydkom dostało”, „Nastanie

sprawiedliwość”, „Przepędzimy ich w końcu”, „Będzie więcej posad i mieszkań”.

Izaak, idąc z innymi na miejsce zbiórki, widział, jak wypędzano z domów, jak wleczono po chodnikach, bito przerażonych mężczyzn, którzy stawiali opór, jak popędzano kijami żydowskie kobiety – piękne, młode kobiety, ale też grube, stare, a nawet małe żydowskie dziewczynki – jak zdzierano z nich wśród śmiechów i okrzyków ubrania, a one zupełnie oszalałe biegły w pończochach, w bieliźnie, nago, zasłaniając się ledwie dłońmi, dopóki nie upadły gdzieś na bruk, chroniąc twarz i głowę od spadających ciosów, kopniaków i uderzeń pałkami. Wokół tych dantejskich scen cieszyła się rozbawiona gawiedź, z wielkimi uśmiechami na pospolitych, zadowolonych gębach.

Specjalna ekipa filmowa Wehrmachtu skwapliwie filmowała pogrom, filmy miały być wyświetlone w oficjalnej kronice filmowej Ministerstwa Propagandy Rzeszy – Die Deusche Wochenschau – należało bowiem pokazać, jak miejscowa ludność traktuje Żydów. Pierwszego lipca, kiedy pogrom osiągnął kulminację, pojedynczy żołnierze niemieccy oraz ukraińscy z batalionu Nachtigall dołączyli do motłochu na ulicach.

Czy Izaaka i Michała zaprowadzili na ulicę Kazimierzowską? Na Zamarstynowską? Na Jachowicza? Na podwórzec więzienia Brygidki, gdzie leżały tysiące ciał więźniów zabitych przez bolszewików i tak cuchnęło, bo dni były upalne, że Niemcy zasłaniali sobie nosy białymi chusteczkami, a niektórzy wkładali nawet maski przeciwgazowe?

Czy Izaak Horowitz i Michał Lipawski musieli jak inni przebiec przez szpaler mężczyzn okładających ich kamieniami, pałkami, kłujących bagnetami? Bito ich z całej siły kijami, żelaznymi drągami, na ścianach więzienia krew i kawałki mózgu rozbryzgiwały się do wysokości pierwszego piętra. Tych, co tę ścieżkę zdrowia przeżyli, pobici, zakrwawieni musieli myć rozkładające się zwłoki zabitych w cuchnącej wodzie z błota i krwi, podnosić je wspólnie za głowę i za nogi. Kobiety miały całować ręce zabitych. Potykając się o leżących na ziemi

półżywych albo zabitych Żydów, ładowano ciała na taczki, które prowadzono przez miasto w kierunku cmentarza.

Izaak już nie wrócił. Nigdy go już więcej, Lusiu, nie zobaczyłaś. „Poszli do pracy – mówiłaś. – Nie wiadomo, co się z nimi stało”.

Wszędzie szukała go jego matka i siostra Guta, choć nie był to dobry moment, aby biegać po ulicach. Płakały całymi dniami i na każdy dzwonek podskakiwały, że może wraca ich najukochańszy syn i brat, ale nikt z zagarniętych pierwszego dnia ludzi więcej się nie pokazał. Słuch po nich zaginął.

Kiedy po latach w słonecznym Tel Awiwie ojciec Izaaka, Mojżesz Horowitz – ten, który dzięki tobie uciekł do Wilna – zapytał cię groźnie, dlaczego właściwie ty przeżyłaś, a jego syn nie, nie wiedziałaś, co masz odpowiedzieć, szczególnie komuś, kto w czasie okupacji w Polsce nie był.

Od razu rozstrzelano też czołowe osobistości: redaktora „Opinii”, rabina Jecheskiela Lewina, któremu przedtem wyrwano brodę, i redaktora „Chwili” Henryka Heschelesa, brata poety Mariana Hemara. Według skrupulatnych niemieckich planów przystąpiono również do likwidacji polskiej inteligencji, bo należało szybko odciąć od ciała narodu jego myślącą głowę. Rozstrzelano we Lwowie na podwórcu Gestapo i na Wzgórzach Wuleckich czterdziestu pięciu polskich profesorów Uniwersytetu i premiera II Rzeczpospolitej, Kazimierza Bartla.

Na łamach prasy niemieckiej ukazywały się liczne materiały poświęcone zbrodniom w sowieckich więzieniach, pisano o masowych egzekucjach dokonanych przez NKWD w Kijowie, Winnicy, na polskich oficerach w Katyniu, a we lwowskich kinach szły dokumentalne filmy ilustrujące sowieckie zbrodnie.

Następnie Niemcy zabrali się skrupulatnie do całkowitego wyniszczenia Żydów. Zaczęło się codzienne nękanie, szykany, bestialstwo i zbrodnie, a wulgarna propaganda antysemicka rozprzestrzeniała się wszędzie. Ukraińska radiostacja imienia

Konowalca kierowana przez Kripo, teatrzyki, prasa, afisze i wystawy – wszystkie miały za cel zohydzanie Żydów, którzy byli teraz pariasami pozbawionymi wszelkich praw, stanowiącymi bezbronny łup dla wszelkich mętów. Wzorem Generalnej Guberni weszły w życie ustawy zakazujące Żydom zmiany miejsca pobytu, wykluczające z wielu zawodów, wprowadzające ograniczenia majątkowe oraz nakaz pracy przymusowej.

14 lipca 1941 roku ogłoszono, że lwowscy Żydzi mają nosić białe opaski z gwiazdą Dawida. Kupiłaś, Lusiu, w żydowskiej części miasta opaski dla wszystkich na Jabłonowskich, ale sama nie miałaś zamiaru takiej opaski założyć, naznaczać się jako Żydówka. Widziałaś bowiem, jak wyrostki w bramie policzkowali mężczyznę z opaską, pluli na niego. Sąsiedzi opowiadali szeptem na klatce, że wysadzono w powietrze wszystkie bożnice, że zniszczono cmentarze, że na Pełczyńskiej 59 w siedzibie Gestapo poddawano tysiące Żydów najwymyślniejszym torturom.

Żołnierze niemieccy mogli teraz bez żadnego nakazu wkraczać swobodnie do żydowskich mieszkań i domów, obrzucać mieszkańców wyzwiskami i razami, zabierać, co im się spodobało. Zarekwirowano najpiękniejsze domy, wille, a ich właściciele musieli wyjść, tak jak stali, pod groźbą utraty życia.

Na początku sierpnia 1941 roku zażądano od Żydów kontrybucji w wysokości dwudziestu milionów rubli, całość sumy wpłacono w terminie, ale nic to nie dało, dalej wpływały regularne „zamówienia” – na meble, perskie dywany, pościel, zastawę stołową, garnitury, żywność, w tym na sardynki, kakao i kawę. Na Jabłonowskich zamożni Żydzi z kamienicy – fabrykant Blumenfeld, Stoff, Bizan, Horowitzowa – drżeli przed dozorczynią Chominową, która weszła w jakieś układy z Niemcami i zaczęła nagle opływać w różnorodne dobra.

W tramwaju nieoczekiwanie spotkałaś swego znajomego, doktora Marka. Wysiedliście na twoim przystanku i usiedliście na ławce z dala od przechodzących ludzi. Mimo że był już wrzesień i pojawiały się

pierwsze żółte liście, wciąż było bardzo ciepło. Marek miał rozpiętą koszulę, spodnie tylko do kolan. Mimo strasznej sytuacji w mieście biło od niego jakieś wewnętrzne ciepło.

– Izaak prawdopodobnie zginął – szepnęłaś cicho.

Bardzo był tym wstrząśnięty, lubili się.

– Jak zginął? – zapytał. Zmieszałaś się. – Lepiej nie wiedzieć – powiedział Marek. – Tam się działy okropne rzeczy. Mnie się jakoś cudem udało, w czasie pogromu zaprowadzili mnie na policję, ale znajomy Rusin z Wydziału Zdrowia pomógł mi, dał mi kilka minut, bym stamtąd uciekł. W paszporcie miałem wpisaną narodowość polską, nie jewrejską, dzięki temu przepuszczali mnie wszędzie, a opaski nie noszę.

– A nikt na ciebie nie doniósł?

– Dwa razy, ale szantażyści nie byli pewni, więc ich nastraszyłem, że pójdę na policję, i puścili mnie. Teraz jestem spokojny, bo mam papiery na nazwisko Władysław Kozioł, to był związkowiec, który zginął, jego matka dała mi metrykę. Mam też meldunek w Zboiskach. Mój gospodarz, prosty robotnik, Popek się nazywa, chłop właściwie, wiedział, kim jestem, ale poszedł ze mną do gminy, a tam pracowali nadal urzędnicy polscy, i powiedział, że jesteśmy krewnymi i że uciekłem przed bolszewikami. Zameldowali mnie bez problemu. Słyszałaś, Lusiu, że otworzono na Zniesieniu dzielnicę zamkniętą dla Żydów i że jest nakaz przenoszenia się tam? Żydzi mają się wyprowadzić z tych dzielnic, gdzie mieszkają Polacy i Ukraińcy. Co pewien czas Niemcy robią akcję, aresztują ludzi, którzy nie poszli do getta. Niemiecka Schutzpolizei wraz z Ukraińcami przeczesują dom po domu, część ludzi wywożą albo rozstrzeliwują.

– Do getta zabrano już moją teściową Horowitzową i jej córkę Gutę.

– Namawiam wszystkich – ciągnął Marek – żeby do getta nie szli, ale większość ma rodziny, nie zostawi ich. Teraz łapią tych, którzy się ukrywali. Jak nie mają więcej pieniędzy, to rodziny polskie czy ukraińskie nie chcą ich dłużej trzymać, każą się wyprowadzać. „Znajdźcie sobie inne mieszkanie, bo my się boimy”. Ludzie wychodzą

zrozpaczeni i padają ofiarą policji. Zginęło już dużo ludzi, których znałem.

– Ktoś z twojej rodziny?

– Dziadkowie już nie żyją, moi rodzice, jak wiesz, wyemigrowali w 1931 roku do Palestyny, mają sklep z galanterią przy Allenby 49 w Tel Awiwie. Odwiedziłem ich tam w 1936 roku. We Lwowie mam tylko wujków i kuzynów. Oni poszli do getta.

– Nasza dozorczyni na Jabłonowskich, Chominowa, bardzo się ożywiła i stale teraz deliberuje, kto tu jest Żydem, i krzyczy, że Żydów trzeba wyrzucić, więcej ich nie tolerować.

– Uważaj na nią, Lusiu.

– Ona wręcz robi awantury, że ktoś nie nosi opaski, obserwuje, kto wchodzi, kto wychodzi, i dopytuje: „Co to za Żyd do pana stale przychodzi?” albo wręcz „Czy pan jest, przepraszam, Żydem?”. A do nas ciągle ktoś niekoszerny wpada: Adolf Rudnicki, Karol Kuryluk, Janek Kott, Artek Nacht, Marian Eile, z pierwszego piętra bardzo rozgadany Władek Bieńkowski, Zosia Karpińska, którzy są w konspiracji.

– Zrobiło się bardzo niebezpiecznie.

– Wołyńska z pierwszego piętra wyprowadziła się, bo Chominowa oświadczyła, że to Żydówka i trzeba z tego faktu wyciągnąć konsekwencje. Zosia Karpińska przywiozła meble koleżanki, która poszła do getta, a Chominowa krzyczy, że Zosia jeszcze jej zapłaci za te żydowskie konszachty. Dozorcy Sowie spod ósmego wygraża, że jest żydowskim pachołkiem, bo pomaga swoim lokatorom.

– To jakaś konfidentka Gestapo.

– Cała jej rodzina jest uznawana za bardzo podejrzaną. Wysługują się Niemcom, współpracują z policją ukraińską. Córka Chominów, Kowalska, jeździ z Niemcami dorożką.

– Musisz się stamtąd wyprowadzić.

– Myślę o tym.

Kiedy miesiąc później znów spotkałaś Marka na mieście, pracował już jako handlowiec w firmie Feniks przy Sykstyńskiej, tuż koło sklepu z ubrankami dziecięcymi Dzidzi. Jego szefem był niejaki Walczyk, sprowadzali z Warszawy budynie i mydła. Nieźle im szło i sporo zarabiali. Marek zarejestrował się w Arbeitsamcie, dali mu regularną kartę, tak że miał wszystkie papiery w porządku. Na jedno się nie zdobył: by pójść na policję i wyrobić sobie kenkartę, więc miał fałszywą, którą dostał od kolegi z Żegoty. Pewnego dnia okazało się, że jeden ze wspólników w biurze był Żydem, choć miał papiery volksdeutscha. Złapali go i zastrzelili.

Marek z ostrożności zmieniał mieszkania, najpierw Kuryluk załatwił mu meldunek u znajomego dziennikarza „Sygnałów". Potem Marek zapytał cię, czy może wprowadzić się na Jabłonowskich. Mieszkał tam już wtedy jego dobry znajomy Franek Gil, a także Zuza Ginczanka – Marek uważał, że to bardzo sympatyczna dziewczyna – z mężem Michałem Weinzieherem oraz wasza przyjaciółka z Równego Blumka Fradisówna. Do Marka, który był już wtedy w ruchu oporu, przyjeżdżali stale tajemniczy emisariusze z Warszawy. Nie pamiętasz już, Lusiu, kto spał w którym pokoju, ale zostało ci w pamięci, że Zuzanna leżała ciągle w wannie, bo ponoć w łazience było najcieplej, i wszyscy dobijali się za potrzebą. Mieszkanie było okropnie zapluskwione, łapaliście ciągle pluskwy, a Marek – młody dermatolog – stosował na ugryzienia jakieś tajemnicze pomady i mikstury. „Marek, przyznaj się, co jest w tym mazidle? Gips czy mąka?" – śmiała się Zuzanna.

Na parterze i na pierwszym piętrze ulokowało się niemieckie przedsiębiorstwo, w którym sprzątała Chominowa. Jej mąż Marian mówił nieźle po niemiecku i chętnie spraszał do siebie niemieckich żołnierzy, zachodzili do nich, pili i hulali, na całej klatce słychać było kłótnie i awantury, libacje trwały do późna. Spokojni lokatorzy, tacy jak Cegielscy z parteru, skarżyli się, że nie można w nocy spać. Marian Chomin junior, który mieszkał niedaleko, przy Sowińskiego 18, i wpadał często do matki na obiady, włóczył się z Niemiaszkami, załatwiał z nimi

jakieś interesy, a w końcu został Vorarbeiterem Baudienstu – przymusowej służby budowlanej, która miała swoją siedzibę przy ulicy Świętej Zofii. Nosił teraz dumnie mundur z dwoma paskami na ramieniu, czapkę z orzełkiem niemieckim i odznakę, na której w trójkącie były dwie skrzyżowane siekierki i litera G. Oddziały swoich junaków prowadził Chomin przez ulice Lwowa, maszerując w wysokich oficerkach, dziarsko, z pałką w ręku i krótką bronią za pasem. Ponoć znęcał się nad podległymi mu Polakami, a nawet wybił zęby synowi pisarza Brzozy.

Obławy wciąż trwały, Niemcy z pomocą policji ukraińskiej przeczesywali domy w poszukiwaniu Żydów. Chominowa i jej córka stale z nimi dyskutowały i pokazywały wszelkie schowki, zakamarki kamienicy, informowały z przejęciem, gdzie mogą jeszcze być Żydzi. Ty, Lusiu, i Zuzanna jako uciekinierki z Rosji miałyście nansenowskie paszporty – piękne, wielkie, białe ze złotymi literami – i przy tych kolejnych najściach wywieszałyście je na drzwiach, a Ukraińcy nie znali się, myśleli, że tu jacyś dyplomaci mieszkają, więc zawracali. W sierpniu 1942 roku policja przyszła znowu na Jabłonowskich i Blumka Fradisówna uciekła z mieszkania, ale zatrzymana została na sąsiedniej klatce pod ósmym, zwolniono ją jednak, bo miała rumuńskie papiery. Tym razem Ukraińcy zastali też Ginczankę i wyprowadzili ją z mężem. Na podwórku Chominowa splunęła i powiedziała: „Dobrze wam tak, Żydom”, ale Weinzieher przekupił ukraińskiego policjanta i wrócili. Widząc ich znowu, Chominowa tylko pobladła i mruknęła: „Ja was, parszywych Żydów, jeszcze wytępię”.

Tak w każdym razie wynika z zeznań licznych świadków procesu wytoczonego po wojnie Chominowej i jej synowi Marianowi. Na pytanie śledczego: „Czy znaliście osoby, które ukrywały się w waszym domu?”, Zofia Chominowa odpowiedziała: „Znałam tylko jedną Żydóweczkę ukrywającą się u Horowiczów, która potem gdzieś z Horowiczami wyjechała”. Czy to o tobie myślała, Lusiu?

Aresztowani 20 stycznia 1946 roku Chominowa i jej syn zostali oskarżenio to, że idąc na rękę okupacyjnej władzy niemieckiej i policji ukraińskiej, przez wskazanie mieszkania, w którym ukrywały się obywatelki polskie pochodzenia żydowskiego, Fradisówna i Zuzanna Gincburg, spowodowali ich aresztowanie. Marian Chomin, urodzony w 1920 roku, obecnie śpiewak operowy Teatru Wojska Polskiego, w czasie wojny starszy junak (*Vorarbeiter Abteilung* 1/1500) niemieckiej służby budowlanej Baudienst, jako wielki służbista znęcał się nad podległą mu młodzieżą i wybił zęby junakowi Brzozie, synowi pisarza.

Rozprawa odbyła się 5 lipca 1948 roku. Zeznawali świadkowie: Kuryluk, Gil, Bieńkowski, Karpińska, opisując sytuację we Lwowie na ulicy Jabłonowskich 8 i 8a. Grupa świadków z Bytomia i z Wałbrzycha – przyjaciół Chominów zamieszkałych tam po wojnie – zeznała, że Marian Chomin był w czasie okupacji niemieckiej dobrym Polakiem i patriotą, dobrym druhem, nad nikim się nie znęcał ani nikomu nie ubliżył. Zofia Chominowa zaś – według bytomskich przyjaciół – była uczciwą kobietą, dobrą Polką i matką, ciężko pracowała i do żadnych spraw politycznych się nie wtrącała. Marian Chomin junior został uniewinniony, a Zofia Chomin – skazana na cztery lata więzienia z zaliczeniem już przebytej kary. Jej mąż, Marian Chomin, kolejarz, skomentował to tak: „Syna mi zamknęli za bójkę, a żonę za jakieś rzeczy żydowskie”.

Ty, Lusiu, dołączyłaś do akt sprawy wiersz Ginzburgowej (tak akta sądowe nazywają Ginczankę) *Testament*, w którym Zuzanna otwarcie piętnuje postępek Chominowej:

Non omnis moriar – moje dumne włości,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,
Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera,
Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,

Donosicielko chyża, matko folksdojczera.
Twoje, niech twoim służą, bo po cóż by obcym,
Bliscy moi – nie lutnia to, nie puste imię.
Pamiętam o was, wyście, kiedy szli szupowcy,
Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie.
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.
O, jak się będzie palić w ręku im robota,
Kłęby włosia końskiego i morskiego siana,
Chmury rozprutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przylgną,
w skrzydła zmienią ręce obie;
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym
I uskrzydlonych nagle w aniołów przemieni.

Rzeczywiście: „rzeczy żydowskie”. Czy ten wiersz napisała Zuza jeszcze tam na Jabłonowskich, w zapluskwionym i zimnym sześciopokojowym mieszkaniu Horowitzów, kiedy policja ukraińska kilkakrotnie wpadała do kamienicy, a potem słychać było oddalające się ciężkie i szybkie kroki? Z drugiego piętra dobrze widziała rozprawiającą stale z ukraińską policją dozorczynię Chominową, która wskazywała palcem poruszającą się firankę. Może wtedy zdjęła z półki tomik swojego ukochanego Juliusza Słowackiego i półgłosem przeczytała:

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla lutni mojej, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

I dalej:

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba – w aniołów przerobi.

W getcie na Zniesieniu władze niemieckie zabrały się do systematycznego mordowania stu trzydziestu ośmiu tysięcy lwowskich Żydów. Młodych i silnych wyłapywano do przymusowej, bezpłatnej pracy i wieziono ich do stworzonych wokół Lwowa obozów „wychowawczych". Najgorszy był przy Janowskiej, tam pracowali bardzo ciężko, w strasznych warunkach, po pas w wodzie, przy akompaniamencie najgorszych wyzwisk, bicia, znęcania się, a nawet mordów, dokonywanych przez straż obozową czy to tytułem kary, czy dla zabawy. Obozy co miesiąc pochłaniały tysiące ludzi, którzy ginęli z wycieńczenia, głodu, chłodu, chorób. Rzadko kto stamtąd wychodził żywy, a jeśli już, to jako kaleka.

Horowitzowa i jej córka Guta zginęły. Ostatni ślad kuzynów Marka – Bertolda i Józefa – można odnaleźć w spisie pracowników getta lwowskiego w kategorii „Żydzi zatrudnieni przy instalacji wodnej i zasiewie roślin we Lwowie, przy ciężkich robotach ziemnych". Mieszkali przy Rozwadowskiego 36. Pewno potem zginęli. Ich siostra Basia i jej rodzice zmarli wcześniej w getcie. Stary wujek Markus i jego żona zostali w getcie zastrzeleni.

W marcu 1942 roku zaczęło się wysiedlanie getta. Wszyscy pozbawieni stałej pracy, zaświadczeń Arbeitsamtu, legitymacji „twardych" i „miękkich" byli celem łapanek. W sierpniu 1942 roku miała miejsce wielka akcja: około pięćdziesięciu tysięcy Żydów wysłano do obozu zagłady w Bełżcu, leżącym przy linii kolejowej Lwów–Lublin, gdzie stracono ich w komorach gazowych. Wtedy zginęła pisarka Deborah Vogel, wraz z matką, mężem i synkiem.

Pozostawanie we Lwowie dla was obu było już zbyt niebezpieczne i ty, Lusiu, pierwsza ruszyłaś pociągiem do Warszawy. Niezawodny

profesor chorób sercowych Jerzy Muszkatenblit zorganizował dla ciebie fałszywe papiery, na których grafik Eryk Lipiński wymalował: „Karwowska Ludwika z domu de Fabre”. Była wielka dyskusja, czy masz farbować włosy, i Władek Bieńkowski zdecydowanie stwierdził, że nie trzeba, bo ładnie wyglądałaś, a odrosty mogłyby cię wydać. Odbyło się na Jabłonowskich wielkie pożegnanie. Ginczanka dała ci w prezencie swoją szafirową sukienkę, bardzo ci się podobała, Adolf Rudnicki zadedykował swoją książeczkę pod tytułem *Niekochana*, historia związku Noemi i Kamila zainteresowała cię bardzo. Kamil naprawdę nie kochał Noemi, był z nią, bo ona tego pragnęła, bardzo była mu oddana; a przecież ty też jeszcze niewiele wiedziałaś o miłości, mimo swoich dwudziestu trzech lat i małżeństwa nie znałaś tak naprawdę tego uczucia. Artek Nacht obiecał ci obraz, uwielbiałaś jego martwe natury z kwiatami, ale było wiadomo, że Artek obiecywał wszystkim swoje obrazy, ale nigdy w końcu ich nie dawał. Zresztą teraz trzeba było uciekać z małą walizeczką, ratować wyłącznie życie. Meble, obrazy, pamiątki straciły wszelką wartość i nauczyłaś się wtedy na całe życie, że ci, którzy nie chcieli opuścić swoich mieszkań i mebli, ginęli.

To Marek odprowadził cię na dworzec, był odważny, bo dworzec to było miejsce niebezpieczne, stale kontrolowane, na peronach stacjonowały ciągle oddziały Niemców. Takie dostał zadanie od organizacji, żeby odprowadzać wszystkich Żydów uciekających pociągiem ze Lwowa. Chciał jakoś ludziom pomóc. Nie bał się, bo wmawiał sobie, że ma szczęście w życiu i że jak już raz poszedł tą drogą, to nie wolno mu się bać, bo wtedy będzie gorzej. A tyle już razy był narażony, ale jakoś udawało mu się wymknąć, zmieniał nazwiska, adresy. Na ulicy spotykał czasem kolegów, przed jednym stale uciekał, aż go tamten dogonił: „Dlaczego ty, Marek, uciekasz, przecież ja bym na ciebie nie doniósł”. Jego znajomi to byli na ogół ludzie o lewicowych poglądach, a ci ze studiów medycznych mieli swoje morale i nie donosili, że się Żyd kręci. Nawet znajomy Ukrainiec Hryhorczuk, który wstąpił do SS, tłumaczył się: „Co ja mam zrobić, dostałem wezwanie,

muszę iść”. Dla swojej firmy Marek znalazł ładny lokal w centrum miasta i szef był mu za to bardzo wdzięczny.

Firma posłała go raz do miejscowości Stryj i tam na dworcu go złapano, bo wyszedł na grandę wyjściem dla Niemców. Zaprowadzono go na Bahnpolizei, a on z miejsca wyciągnął pieniądze i powiedział: *Bitte sehr. Das für die Kosten* – Proszę, to na koszty. Policjanci zgłupieli, wzięli pieniądze i go wypuścili. Pojechał też służbowo do Stanisławowa, gdzie mieszkał z rodzicami, miasto było wypalone, dziwne hordy się kręciły, przygnębiający widok. Na dworcu jakiś człowiek ze Stanisławowa zrabował Markowi zegarek. „Napisałem zaraz na tego huncwota skargę” – opowiadał ci, a ty się dziwiłaś, Lusiu, że on ma takie bezczelne pomysły.

We Lwowie było już zbyt niebezpiecznie i mąż Ginczanki, Michał Weinzieher, z dokumentami na nazwisko Danilewicz, które wyprodukował dla niego Woźniakowski, wyjechał we wrześniu 1942 roku do Krakowa. Potem Woźniakowski też wyjechał i Marek, robiąc nadal swoje mieszkaniowe esy-floresy, zameldował się w jego opuszczonym lwowskim mieszkanku przy ulicy Szymona 2. Pozostał tam do września 1943 roku, kiedy na skutek donosu musiał się wyprowadzić z powrotem na Węgierską 2, gdzie poprzednio mieszkał.

Franek Gil i Janusz Woźniakowski postanowili zabrać Zuzannę pociągiem do starej ciotki tego drugiego, do Felsztyna koło Sambora. Janusz przedstawił ją tam jako swoją narzeczoną, przyjechali niby na letnisko, na rekonwalescencję i codziennie przechadzali się pod rękę, od kościoła Świętego Marcina do wartowni Herburtów, pięknie było, jeszcze liście na drzewach, złota polska jesień. W Felsztynie Żydów już nie było, dopiero co deportowano ich – a była to połowa felsztyńskiej ludności – na śmierć do Bełżca. Wkrótce zaczęto się interesować: co to za jedna ta Zuzanna, chyba Żydówka, taka typowa semicka uroda, co ona tu jeszcze robi? Musieli uciekać. Ledwo udało się im przyjechać do Krakowa, a to dzięki temu, że jakiś Niemiec na stacji w Chyrowie, skądś

znajomy Janusza, oświadczył policji ukraińskiej i szupowcom, że Zuzanna jest jego znajomą i jedzie z nim. Takie cuda też się zdarzały.

Ty, Lusiu, Szulamito Gelmont w wersji Ludwika Karwowska z domu de Fabre, nadal z kruczoczarnymi włosami jechałaś innym pociągiem – ze Lwowa do Warszawy, nie wiedząc, co się dzieje z twoją rodziną w Równem, bo od wejścia Niemców nie miałaś od niej żadnych wiadomości.

6

RÓWNE
1941–1942

Z początkiem lipca 1941 roku twoja mama, Bluma Gelmont, zobaczyła w nocy na niebie dziwne światła. Były to bomby zapalające. Nad ranem niemieckie bombowce zbombardowały miasto Równe, wiele domów zostało zniszczonych, wszędzie leżały ciała zabitych i zapanował potworny chaos. Rosjanie uciekali w popłochu. Niektórzy Żydzi postanowili jechać za Armią Czerwoną, by nie trafić w ręce hitlerowskich oprawców, których bestialskie metody i wrogie do Żydów nastawienie było już dobrze znane z Generalnej Guberni. Całe żydowskie Równe dyskutowało teraz, co robić. Zdania były podzielone. „Nic się złego stać nie może – mówili niektórzy. – Niemcy to przecież kulturalni ludzie”, „Co ma się stać, i tak się stanie. Nie ma sensu uciekać”, „Nie możemy zostawić starszych rodziców. To dobre dla młodzieży – tułać się radzieckimi pociągami o głodzie i chłodzie”, „Uciekać do Rosjan? Co, mało pokazali, co z nich za jedni? Całą moją rodzinę wywieźli na Sybir”, „Spieszy się wam na Syberię? Nie chcę umierać w obcej ziemi, lepiej umrzeć w domu”. A Bluma cicho dodawała: „Ja grobu męża nie zostawię”.

Wkrótce do miasta wkroczyły oddziały niemieckie, witane entuzjastycznie przez Ukraińców. Na wiwat rozstrzelano kilkuset Żydów, kilku zamordowano w synagodze.

– Słyszeliście, że zginął nauczyciel liceum Tarbut Eliezer Botlik?

– Nawet z kolejki na chleb policja ukraińska wyciągnęła pięć kobiet, zabrała je na ulicę Białą i zamordowała.

– Trzeba siedzieć w domu, wychodzić tylko, kiedy jest to konieczne.

I nie kończyły się spekulacje na temat tego, co miałoby się dalej wydarzyć. Serce Blumy trzepotało z bólu i strachu. Szybko bowiem okazało się, że mnożą się prześladowania, wszyscy żyli w nieustannym zagrożeniu. Nie wiadomo było, co przyniesie następny dzień. Żydów nie chroniło już żadne prawo, a grabieże i morderstwa były bezkarne i należały do codzienności.

Niemcy potrzebowali pracowników, towarów i narzędzi, by prowadzić dalej wojnę. Konfiskowali meble, ubrania, wartościowe przedmioty i wysyłali je do Niemiec. Komendant miasta, Austriak, sugerował Judenratowi – Radzie Żydowskiej – jak się ratować przed dekretami władz. Sugestia sprowadzała się do dwóch słów: srebro i złoto. Ogłoszono już oficjalnie, że Żydzi mają zebrać dla Niemców dwanaście milionów rubli, które miały popłynąć z żydowskich domów do niemieckich kieszeni przez ręce eleganckiego komendanta.

Niemcy nie poprzestali na zagarnięciu żydowskich dóbr. Traktowali Żydów coraz bardziej brutalnie, znęcali się, mordowali. Spirala przemocy zdawała się nie mieć końca. Żydzi żyli w coraz większym strachu i przygnębieniu. Powstało biuro zatrudnienia, które organizowało warsztaty pracy. Kierował tym urzędem Niemiec Lodenhof, a dyrektorem biura został Chaim Rozner, który wymuszał pieniądze za drogocenne numerowane pozwolenia. Wszyscy bili się o nie, łudząc się, że pracującym Żydom Niemcy pozwolą żyć.

To Wala Szuszkiewicz – biedna Ukrainka z twojego gimnazjum, której Basia Knollówna nosiła stare buty, żeby miała w czym chodzić – załatwiła bezcenne papiery dla twojej rodziny, Lusiu. Twoja mama dała jej wszystko, co miała – pierścionki i pieniądze.

Wyszedł wkrótce dekret nakazujący Żydom noszenie na ramieniu białej opaski z gwiazdą Dawida. Szybko zmieniono opaski na żółte łaty średnicy ośmiu centymetrów, które nakazano nosić z przodu i z tyłu na płaszczu, kurtce, na koszuli. Jak w średniowieczu. Goje śmiali się, że to „słońce Stalina”, bo przecież „wiadomo, że wszyscy Żydzi są komunistami”. Zabroniono Żydom chodzić po głównych ulicach.

W październiku 1941 roku przyszedł rozkaz, aby założyć getto po obu stronach stacji kolejowej – od torów na ulicy Józefa Poniatowskiego do szpitala położniczego i fabryki Stocka, po ulice Złotą, Mydlarną, Piekarską i Kolejową. Była to przestrzeń bardzo ograniczona, mało domów i ogromne zatłoczenie, po kilka osób w jednym pokoju.

Skromny dobytek Gelmontów został przetransportowany na wózku do teściowej Mani, Rosy Kaufmanowej, na ulicę Garbarską 7, tuż przy torach. Meble wzięli na przechowanie Kulikowscy, Stanisław i Helena, zaprzyjaźnieni Polacy. Ilka, miała już siedemnaście lat, uczyła się w gimnazjum Towarzystwa Oświata i mówiło się jeszcze za Sowietów, że wyjdzie za syna Kulikowskich, Edka, ale on wkrótce zginął, więc może za młodszego – Mietka. Wychodząc poza obręb nieogrodzonego getta, Ilka zdejmowała żółtą łatę przypiętą agrafką i szła do Kulikowskich. Z powrotem szmuglowała jedzenie. Bluma i Mania – posiadaczki pozwoleń pracowniczych – otrzymywały tylko po sto gramów chleba dziennie, a koszty życia w getcie były bardzo wysokie. Andrij i Manka, ich ukraińscy sąsiedzi z ulicy Korolenki, przynieśli im raz kawał słoniny. Wracając od Kulikowskich, Ilka mijała zakład ślusarski, pozdrawiała w szwalni znajome dziewczyny – Judytkę Bader, córkę piekarza, i Hanię Sznajder z liceum Tarbut, reperujące wśród stu innych kobiet, pod bacznym okiem pani Mirar, niemieckie mundury. Idąc dalej w głąb getta, na Podgórnej mijała szybkim krokiem, by uniknąć spotkania ze straszliwym inspektorem Lorenzem o szklanym oku, warsztaty introligatorskie, gdzie pracowała jej gimnazjalna przyjaciółka Róża.

Na kortach tenisowych nikt już nie grał w tenisa. Trzymano tam teraz radzieckich jeńców. Dzieci rzucały im czasem przez płot jabłka i pomidory, bo umierali z głodu. Wyprowadzano ich systematycznie za miasto do sosnowego lasku, by kopali rowy, nikt jeszcze nie wiedział po co.

5 listopada 1941 roku pojawiło się na ulicach getta duże ogłoszenie: wszyscy Żydzi, z wyjątkiem tych, którzy mieli pozwolenie na pracę,

mają pojawić się z bagażem około szesnastu kilogramów – czyli w sumie tyle, ile mogą unieść – następnego dnia o godzinie siódmej rano w parku Lubomirskich, za więzieniem. Będą wysłani do pracy. Policjanci Judenratu z żółtymi wstążeczkami na czapkach chodzili od domu do domu, powtarzając, że kto się spóźni lub nie stawi, zostanie zabity. Zapanowała jeszcze większa trwoga i przygnębienie. Całą noc słychać było w mieście przeraźliwe jęki, krzyki, płacze, modlitwy, lamenty dochodzące z każdego domu. Strach było sprzeciwić się nowemu zarządzeniu. *Ordnung muss sein*. Naiwni Żydzi Równego posłusznie całą noc pakowali, jak zażądano, swoją najlepszą ciepłą odzież, wszywali w rąbki ubrań kosztowności, sporządzali specjalne torby, szykując się na daleką podróż w nieznane. Nie pozostało zbyt wiele czasu na myślenie. Wielka rozpacz pozbawiła ich mocy myśli i działania, apatia kazała przyjąć bez sprzeciwu swój los.

Owego strasznego 7 listopada 1941 roku bardzo wcześnie rano tłumy ludzi przybyły na wskazane miejsce. Wiatr wiał mocno, padał na przemian deszcz i śnieg, zimno i wilgoć przenikały do kości. Liczono, że może akcja zostanie odroczona, że Niemcy z powodu złej pogody się rozmyślą, ale tak się nie stało. Z wyjątkiem tych, którzy mieli, jak twoja rodzina, Lusiu, numerowane karty pracy, lub tych, którzy ukryli się w piwnicach, na strychach albo uciekli na wieś, prawie osiemnaście tysięcy Żydów z Równego – starszych osób, kobiet, mężczyzn i bardzo dużo dzieci, młodzieży, nawet posiadaczy zezwoleń na pracę, którzy nie chcieli rozstawać się ze swoimi rodzinami – stawiło się, myśląc, że zostaną przesiedleni. Chorych i kaleki ze szpitala załadowano na specjalne drewniane wozy. Ulica 3 Maja, nazwana teraz Adolf-Hitler-Strasse, została zamknięta dla ruchu. Ogromna masa ludzi ruszyła wreszcie bezładną kolumną z tobołkami, walizkami, drżąc z zimna, ku wzgórzom Grabnika, skąd chodziło się oglądać piękny widok na Równe i okolice, i dalej do lasku Sosenki, przed wojną miejsca pikników i wywczasów.

Było coraz bardziej wietrznie, padał ciężki śnieg. Babcia Zuzy, Chaja Sandbergowa, szła w tłumie, rozglądając się za krewnymi – gdzieś tu idą z pewnością – ale nie sposób było ich w tej ludzkiej gęstwinie znaleźć. Kolumna osiemnastu tysięcy ludzi, pilnowana przez hitlerowców z pejczami i psami, brnęła w śniegu, w błocie, w kałużach, ale posuwała się do przodu. Droga liczyła kilka kilometrów. Minęli twoje, Lusiu, Gimnazjum Kościuszki, na którym wisiała wielka nazistowska flaga, minęli budynek więzienia. W domach, drewnianych chatach, odsuwały się koronkowe firaneczki, wyglądały ukraińskie, zdziwione twarze. Dokąd prowadzą Żydów? Jasnoblond dzieci wspinały się na okoliczne drzewa.

Za Żydami, którzy próbowali się wymknąć z pochodu, padały strzały. Tym, którzy nie dawali rady iść dalej, kazano kłaść się na ziemi i strzelano im w kark. Serce starej Sandbergowej, babci Zuzy, kurczyło się dziwnie, a do jej oczu napływały łzy. Była coraz słabsza, coraz bardziej zostawała z tyłu z innymi słabymi i starszymi ludźmi. Oj, jakiś ból w ramieniu, jakiś dziwny brak oddechu – babcia Zuzy usiadła na brzegu szosy, wzięła do ust garść śniegu, dalej iść nie mogła. Zrozumiał to szybko młody, niebieskooki niemiecki żołnierz z Bawarii, wymierzając w jej kierunku śmiertelny strzał, który zakończył życie Chai, dla niektórych Klary, Sandberg z domu Glikman, lat siedemdziesiąt cztery.

Ten młody żołnierz niejedno już widział, maszerując z zachodu coraz dalej na wschód, w równych kolumnach Sonderkommando 4A. Wraz ze swoimi towarzyszami rozstrzeliwał tysiące i tysiące Żydów w dziesiątkach mijanych sztetli, większych i mniejszych: Kowel, Łuck, Mizocz, Zdołbunów, Ostróg, Żytomierz, Berdyczów, tam zginęła matka pisarza Wasilija Grossmana. Bo każdy Żyd – dziecko, starzec, kobieta, mężczyzna – musieli zginąć, by rasa aryjska mogła zapanować nad światem, a semicka – nigdy się nie odrodzić.

Kiedy wielki tłum Żydów z Równego skręcił nagle z szosy na Sosenki, ujrzał pomiędzy rzadkimi drzewami pięć głębokich rowów,

każdy około trzydziestu metrów długości i trzech metrów głębokości. Tłum zawirował z przerażenia. Niemieccy strażnicy i ukraińscy policjanci otoczyli ścisłym kręgiem zatrwożonych ludzi tak, by nikt nie mógł uciec. Nadzorowani przez esesmana z pejczem mężczyźni, kobiety i dzieci musieli rozebrać się i równo ułożyć ubrania na wielkich stosach z tysięcy par butów, odzieży i bielizny. Zebrani Żydzi stali nago, drżąc z zimna, mokrzy i ubłoceni, patrząc na wykopane dla nich doły. Nagle wszystkich ogarnęła nieludzka rozpacz i powaga zbliżającej się nieuchronnej śmierci. Ucichły skargi i błagania o łaskę. Bez krzyków i płaczu, z surowym wyrazem twarzy ludzie całowali się, żegnali z bliskimi, niektórzy zabawiali trzymane na rękach małe dzieci, coś im nucili, pokazywali niebo. Mały chłopiec walczył ze łzami, a jego starsza siostra, smukła piękna dziewczyna z czarnymi włosami, przytulała go do siebie. Wśród zgromadzonych w ten straszny, mroźny poranek modlili się głośno rabin Mosze-Lazer Rotenberg i rabin H.M. Ma-Jafit, krzepiąc serca swojego stada w ostatnich chwilach życia.

Esesman z haftowaną opaską SD na ramieniu, z pistoletem w dłoni, palił na brzegu wykopu papierosa, nogi spuścił do dołu. Nagle zdecydowanym ruchem wstał, coś krzyknął do swoich. Podprowadzono grupę nagich ludzi na skraj rowu. Poszła salwa kilku karabinów 45. batalionu policji bezpieczeństwa. Kilku żołnierzy musiało strzelać naraz – taki był rozkaz – by zdjąć odpowiedzialność z każdego członka masakry. Tłum zafalował i zbił się w jedno ciało. Zabici lub postrzeleni Żydzi wpadali do rowów na konających lub już martwych, krew lała się strumieniami po ramionach i twarzach. Jęki rannych wypełniały powietrze. Niektórzy unosili w górę ręce, wykręcali twarze, żeby pokazać, że są jeszcze żywi, i esesman schodził do dołu, depcząc po ciałach, i wykonywał strzał łaski, po czym szybko wyłaził po glinianym zboczu, bo już zbliżała się następna partia ludzi do rozstrzelania. Wkrótce rowy były pełne, ale wielu ludzi siedziało nadal w otępieniu i czekało na swoją kolej. Były wśród nich niemowlęta i ludzie bardzo starzy, od mrozu zamarzały im nogi i ręce. Ich Niemcy wykańczali bezpośrednio na ziemi. Akcja, wykonana zgodnie z planem, trwała cały

dzień. Do wieczora zadanie było zakończone, rowy pokryto cienką warstwą ziemi, która ruszała się jeszcze przez następne dni.

Bluma sprzątała ulice. To była teraz jej praca, dzięki której uniknęła masakry. Tysiące porzuconych paczek, ubrań, śmieci, jedzenia w całym mieście. Ci, którzy jak ona pozostali w Równem, słyszeli od rana szczekot automatycznej broni, nawet tutaj, w getcie po drugiej stronie rzeki, słychać było dalekie wystrzały. Cały dzień drżały przerażone serca. „Jak to możliwe?” – pytano. W środku dnia nikt nie miał już żadnych wątpliwości, co się stało. Kto mógł przypuszczać, że koniec jest tak bliski?

Nielicznym udało się z Sosenek uciec, niektórzy wygrzebali się cudem spod trupów. Mieszkańcy Równego wiedzieli szybko, co się pod Sosenkami stało. Okrężnymi drogami do getta przybiegły dwie kobiety, mokre i zabłocone. Serce Blumy zmiękło z rozpaczy. Kobiety szukały schronienia. Schronienia? Gdzie można tu było się schronić, dokąd uciec? Jedna z nich, Krystyna, była potem twoją, Lusiu, przyjaciółką. Ukrył ją Polak, Nowakowski, została jego żoną.

Getto wyglądało jak po katastrofie. Drzwi opuszczonych domów były wyważone, meble częściowo połamane lub rozgrabione, otwarte szafy i komody, które Ukraińcy wywozili ciężarówkami. Nagle pojawili się znowu Żydzi, ci nieliczni, którzy ukryli się przed akcją u Czechów i Polaków. Uznano ich już za martwych. Sąsiadka Perecowa płakała głośno, szarpała swojego syna, żeby opowiedział kiedyś światu o potwornej śmierci braci i sióstr. „Uciekam do partyzantów – powiedział młody Perec. – Tu nas wszystkich wybiją”.

Twoja siostra, Lusiu, Mania Gelmont, segregowała rzeczy po zabitych w domu, gdzie mieszkała kiedyś Lalka Tomilin. To była jej praca: poduszki, pościel, meble, bielizna, odzież, buty, rzeczy kuchenne – coraz to natykała się na znajomą sukienkę, sweterek, bluzkę, fotografie ludzi, których dobrze znała.

Ci, którzy przeżyli tę straszną masakrę, byli w żałobie. Snuli się po ulicach opuszczonego miasta jak duchy, przygnębieni, złamani,

opłakując swoich bliskich, i żałowali, że nie zginęli razem z nimi. Bo jaki był teraz sens ich życia? Przecież i tak czekała ich wkrótce śmierć. Mijały dni. Z czasem znaleźli się optymiści, którzy żywili nadzieję, że ocaleją, bo będą Niemcom potrzebni jako siła robocza. W końcu nie wiadomo, co stanie się jutro.

10 stycznia 1942 roku urzędnicy Judenratu zrobili ukraińską cyrylicą spis pozostałych w getcie Równego 5355 osób z pozwoleniami na pracę, z wyszczególnieniem przedstawicieli zawodów, których potrzebowała okupacyjna administracja, i członków ich rodzin. Twoja, Lusiu, rodzina widniała na tej liście. Wraz z przyjaciółmi Gorodińskimi, którzy mieli jeszcze pieniądze, twoja rodzina zrobiła duży, dobrze wyposażany schron z zapasami jedzenia w dawnej Fabryce Napojów Gazowanych. To był dobry budynek z zamurowanymi oknami i wyjściem trzy ulice dalej.

Twoja siostra Mania myślała teraz tylko o jednym: jak wyprowadzić z getta córkę Ilkę, która była jeszcze taka młoda. Jakoś udało ci się, Lusiu, posłać z Warszawy fałszywe papiery dla siostrzenicy Ilusi, która stała się Anną Morawiecką. Pewno pomógł ci niezawodny Muszkatenblit. Albo Kazia Żuławska, żona pisarza. U niej wielu ludzi się przechowywało, dostawało wszelkie lewe papiery. Byłaś z nią bardzo zaprzyjaźniona. Twoja siostra Mania była w drugiej ciąży z Miszą Kaufmanem, swoim mężem. Ucieczka z getta nie była łatwa. A wasza mama, Bluma, słabo mówiła po polsku. Można było wyrobić jej rosyjskie papiery, ale Bluma nawet nie chciała o tym słyszeć. Pogrążyła się w rozpaczy i było jej już wszystko jedno. Postanowiono ratować Ilkę. Wielcy przyjaciele rodziny, *diadia* Gorodinski i ciocia Tania, dali twojej siostrze Mani dwa złote dukaty, by opłaciła przewodnika, który miał Ilkę zawieźć do Warszawy. Ostatniej nocy Mania przyleciała na wieś, gdzie Ilka się ukrywała. Była w beżowej sukience z koronką, na ramionach miała chustę, która zakrywała żółtą łatę. Musiały się szybko we łzach pożegnać. Mania po chwili jeszcze wróciła, bo zapomniała dać córce kościany grzebyczek, który specjalnie dla niej przyniosła. Wtedy

widziały się po raz ostatni. Ten moment przetrwał w sercu Ilki przez całe życie. Nad ranem z przewodnikiem ruszyła w długą podróż pieszo i furmankami do Warszawy.

Przeszła wiosna i zaczęło się lato. Na początku czerwca 1942 roku rosyjscy jeńcy zaczęli kopać rowy wokół getta, układając w nich kable elektryczne, choć miasto od wkroczenia Niemców nie miało elektryczności. Nie było więc końca domysłom, o co tu może chodzić. Dowódca SS dr Pütz zapytany przez Niemca Grabego, który zatrudniał w swojej firmie robotników z Równego, czy będzie to następna akcja, odpowiedział krótko: „Taka plotka to marne kłamstwo, bo Żydzi potrzebni są nadal jako siła robocza”.

Dwunastego lipca – osiem miesięcy po masakrze w Sosenkach – zapaliły się nagle wszystkie reflektory, oświetlając ulice getta, i nie zostały wyłączone przez cały dzień. Mało kto miał jeszcze złudzenia, co tu za chwilę nastąpi. O godzinie dwudziestej drugiej getto zostało otoczone przez pododdziały policji bezpieczeństwa, wzmocnione trzy razy liczniejszymi oddziałami milicji ukraińskiej. Grupy czterech do sześciu esesmanów i milicjantów wchodziły do domów, a gdy mieszkańcy nie otwierali, a okna były zamknięte, szły w ruch łomy. Ledwo ubranych ludzi wypędzano w pośpiechu na ulice. Większość wiedziała, co się dzieje, i stawiała opór. Wywlekano ich kopniakami, uderzeniami bata, ciosami kolby. Krzyki milicjantów: „Otwierać drzwi! Otwierać drzwi!” – rozbrzmiewały wszędzie jak echo i nie cichły.

Do zabarykadowanych budynków, których nie udało się otworzyć, wrzucano granaty. Młodzi ludzie próbowali przedostać się przez pobliskie tory i płytką rzeczkę Uście, uciec poza zasięg reflektorów, ale oświetlano ich racami. Działające w getcie konspiracyjne grupy, które wcześniej zgromadziły broń, stawiały zbrojny opór. Niektórym bojownikom udało się uciec i przyłączyć do radzieckich oddziałów partyzanckich. Całą noc ludzie – bici, gonieni, często ranni – biegali w popłochu po oświetlonych ulicach. Kobiety trzymały w ramionach zabite dzieci. Te, które przeżyły, ciągnęły nieżywych rodziców za tory,

byle dalej od piekła. Drzwi większości domów były już otwarte, okna rozbite, zwłoki ludzi w każdym wieku i obojga płci leżały na ulicach, wszędzie rozrzucona odzież, buty, pończochy, kurtki, czapki, kapelusze, płaszcze. Na rogu jednego z domów leżało zaledwie roczne dziecko, tylko w spódniczce, z rozkruszoną czaszką, krew i mózg rozbryznęły się wokół. Dowódca SS Pütz chodził z biczem w ręku i wilczurem przy nodze wzdłuż grupy mężczyzn siedzących w kucki na ziemi. Wśród nich byli robotnicy Hansa Grabego i był tam sam Hans Grabe. Trzy lata później zeznawał jako naoczny świadek w procesie norymberskim i opowiedział o ostatnich chwilach Żydów z Równego.

Po tej strasznej nocy rankiem 13 lipca 1942 roku oddziały niemieckie i ukraińskie wyprowadziły w szybkim tempie ludzi do oczekującego na stacji przy ulicy Białej pociągu towarowego. Tam, wśród krzyków kobiet i dzieci, uderzeń bata i niekończących się strzałów karabinowych, wypełniano ludźmi wagon za wagonem. Pociąg dojechał za pobliski Kostopol, gdzie kazano ludziom wyjść z wagonów i pognano ich dalej drogą prowadzącą przez piękny sosnowy las. Szli wśród wysokich sosen, nie wierząc do końca, że uroda natury i okrucieństwo człowieka spotkają się za chwilę w jednym miejscu i czasie. Nadszedł ostatni rozdział zagłady rówieńskich Żydów; okrutna śmierć, nago, w skrajnym poniżeniu i trwodze, wśród innych skazanych, starzy i młodzi zabijani bezlitośnie na krawędzi wykopanych wcześniej rowów, seria po serii z karabinów maszynowych. Kiedy słońce zaszło, akcja zagłady ostatnich Żydów rówieńskich skończyła się. Oprawcy mogli zameldować, że kolejne żydowskie miasto zostało w całości unicestwione.

Sporządzona przez Judenrat po ukraińsku i przekazana burmistrzowi miasta Równe lista rozstrzelanych w Kostopolu nie zaginęła. Jest na niej 5166 Żydów rówieńskich. Liczba ta jest pomniejszona o dwieście osób w stosunku do listy ze stycznia. Figuruje na niej – z błędami pisowni, nieścisłościami w pokrewieństwach, datach urodzenia – nasza rodzina: Mania, Bluma i Ila, która przecież uciekła do Warszawy.

Guelman Haia-Bloima, urodzona Pogorloia, 1883, ojciec Gersh, zamieszkała Garbarska 7, żona, robotnica

Guelman Maria, urodzona Rowno, 1907, ojciec Lazar, zamieszkała Garbarska 7, córka, robotnica

Guelman Tsetsilia, urodzona Rowno 1925, ojciec Lazar, zamieszkała Garbarska 7, córka

Na ile taka lista mogła być ścisła, na ile sprawdzano ją w lesie w momencie rozstrzeliwania? Czy Bluma, Mania i jej mąż, Michał Kaufman, zostali tam naprawdę zabici? Nasza wyobraźnia ucieka od najstraszniejszych obrazów – śmierci nad rowem, w lesie kostopolskim – wybiera śmierć piękniejszą, szlachetniejszą, bo był przecież schron pod Fabryką Napojów Gazowanych. Może wszyscy zginęli w swoim schronie od wybuchu granatu? Albo nie znaleziono ich w czasie akcji i przetrwali jeszcze trzy miesiące, do października 1942 roku, kiedy w czasie kolejnej, chyba ostatniej policyjnej obławy złapano jeszcze kilkuset ukrywających się Żydów i rozstrzelano ich na ulicy Białej?

Pojechałam do Równego, pojechałam do lasu kostopolskiego koło Równego i długo szukałam miejsca straceń. Prowadziły mnie ukraińskie wyrostki, krzycząc: *Tam, tam Żydiw ubyły!*

Potem rowerzysta w wojskowej panterce zabrał nas w głąb lasu, gdzie odnajdowaliśmy coraz to nowe pamiątkowe tabliczki. Ukraińska ziemia zamieniła się w bezimienne grobowce półtora miliona zamordowanych tu Żydów, które znikły z ludzkiej pamięci, zarosły w ciszy i milczeniu – w głębi wołyńskich sosnowych lasów – mchem, trawą, chwastami. Nagle pośród gąszczu ukazała się polana, na niej charakterystyczne porośnięte trawą wgłębienie, a za niebieskim, niskim płotkiem pamiątkowy kamień: „Tu zginęło 13 lipca 1942 roku 5000 Żydów z getta w Równem”.

Na Google Earth odnalazłam, po długich poszukiwaniach, tę polanę i drogę wśród lasu, którą prowadzono pięć tysięcy ostatnich rówieńskich Żydów – z pociągu do dołów śmierci.

Przez te wszystkie lata niewiele, Lusiu, mówiłaś o tym, co się naprawdę wydarzyło w Równem. „Zabijano co dziesiątego” – odpowiedziałaś raz na moje dziecinne pytanie. Po co było opowiadać, roztrząsać szczegóły, przywoływać kochanych ludzi, którzy tak nagle zniknęli. Latami nie wypowiadałaś nawet imienia swojej mamy, nie mówiłaś o siostrze. Kochałaś bezbrzeżnie swoje dzieci i ze wszystkich sił chroniłaś nas przed spojrzeniem w otchłań, w doły pełne ciał, brzemię ich okropnej śmierci zbyt ciężkie do udźwignięcia. Ty przecież dzięki milczeniu, kłamstwom, uśmiechowi na ustach przeżyłaś w środku piekła. Po co było wpuszczać poprzez szczeliny ból? Miał pozostać tam, gdzie był. Nie obchodziły cię meandry psychiki, nigdy nie bawiłaś się w psychologię, mówiłaś o niej z pogardą, śmieszyły cię nowe dziedziny wiedzy. Ważne było, aby w każdej chwili żyć intensywnie za tamte stracone lata. Energia wypełniała cię całkowicie, popychała do działania. Jakby to mama i siostra przekazały ci swoją przerwaną nagle moc, wielką wolę, siłę charakteru i niespotykaną radość życia. Tymczasem ja, w tym dotkliwym milczeniu, utożsamiając się z ich śmiercią, żyłam w dziwnych mrokach życiowego niebytu.

W czasie drugiej akcji zaginęli Mania z mężem Michałem i matka Lusi, Bluma

Teraz stawiamy im w Warszawie i w Paryżu kolejne puste grobowce: „Bluma i Lazar, Mania i Michał Kaufman, i zastrzelony w ZSRR Grigorij Gelmont”.

Przedwczoraj nagle upadłaś i złamałaś sobie biodro. Pytasz mnie, Lusiu, lękliwie: „A moja mama o tym wie?”. Teraz stale bierzesz mnie za swoją siostrę, wołasz na mnie: „Mania, jak nasza mama dziś wygląda? Co z mamą?”. Na to pytanie muszę z trudem odpowiedzieć – tobie, dziewięćdziesięciodziewięcioletniej kobiecie – że twoja mama przecież nie żyje, że zastrzelono ją w czasie wojny. „Jestem więc sierotą?” – pytasz.

To dziwne. Wróciłyśmy do początków. Skończyły się poszukiwania. Obraz się dopełnił. Dopiero teraz Bluma i Mania zaczęły żyć wśród nas. Te dwie zawsze w naszym życiu nieobecne, przemilczane kobiety pojawiają się nagle w szpitalnej sali, stają się po tylu latach częścią naszej rodziny.

Kuzyn Ginczanki, Aaron Sandberg, wcielony w czerwcu 1941 roku do Armii Czerwonej, wraca po wojnie do Równego i Zdołbunowa, aby szukać bez skutku krewnych i przyjaciół. Szuka ukochanej kuzynki Szoszany, Sany, Zuzanny Gincburg. W synagodze przy ulicy Szkolnej spotyka kilku Żydów, którzy przeżyli wojnę i teraz pogrążeni w swoich smutkach i wspomnieniach kręcą się jak duchy po mieście, w którym jeszcze niedawno żyło trzydzieści tysięcy Żydów. Nikt nic nie wie, nikt prawie nie przeżył, zginęli, zginęli... Kuzyn Aaron Sandberg emigruje do Izraela i kiedy w roku 1953 powstanie Muzeum Yad Vashem, wprowadzi tam na listę ofiar nazwiska swoich i Zuzy krewnych, którzy zginęli w Równem:

Berger Abram, Avraham, ur. 1904
Berger Khana, ur. 1915
Katz Aron, ur. 1890
Lieberman Shprintza, Sprinca, ur. 1884
Lieberman Yaakov Jakob, ur. 1874
Schochet Seindl, ur. 1884
Schochet Yzchak, ur. 1926
Schoket Rizel, Reisl, ur. 1904
Vigdorovitch Lea, ur. 1914
Vigdorovitz Cahim, ur. 1909
Vigorovitch Simkha, lat 7

Na liście ofiar umieszczona zostaje też piękna Anna, ciotka Zuzy, Chana Nagid (ur. 1888) oraz jej mąż Baruch Nagid (ur. 1894), którzy zginęli w Wilnie; babcia Zuzy – Chaja Sandberg (ur. 1869). A także Szoszana – Zuzanna Polina Gincburg, urodzona, jak podaje jej metryka,

9 marca 1917 roku (28 Adar 5667 roku) w Kijowie, córka Szmai, syna Bera, i Cirli, córki Abrama.

Co zaś stało się z mordercami? Czy spotkała ich kara na miarę naszego bólu? Za przeprowadzenie drugiej, lipcowej akcji w Równem odpowiedzialny był SS-Sturmbahnführer, doktor prawa Günther Karl Pütz, komendant policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa w Równem. Urodzony 7 lutego 1911 w Akwizgranie, był od 1933 roku członkiem NSDAP (nr służbowy: 2 094 496) i oficerem SS. To on organizował masakry Żydów w Mizoczu, w Ostrowie, w Równem. Zakończył swoje życie samobójstwem w szwarcwaldzkiej wiosce St. Märgen.

Dowódcami Einsatzgruppe C, która operowała w tej części Ukrainy, byli doktor medycyny Max Thomas i doktor prawa i ekonomii Rash Emil Otto, odpowiedzialny również za masakrę w Kijowie w Babim Jarze, osądzony w Norymberdze. Zmarł w 1948 roku w więzieniu na parkinsona.

Szefem Sonderkommando 4A, wchodzącego w skład Einsatzgruppe C, operującej na tych terenach, był kolejny doktor medycyny – Erwin Weinmann, który zginął w 1945 roku w czasie działań wojennych w okolicach Pragi.

W akcji eksterminacyjnej brał udział również architekt Paul Blobel, alkoholik, odpowiedzialny też za palenie zwłok zastrzelonych Żydów. Został skazany i powieszony w Norymberdze w 1951 roku.

Oprócz niego także Steimle Eugen, szef biura Sicherdienst, był skazany na śmierć w Norymberdze. Ułaskawiony, wyszedł z więzienia w 1951 roku i do roku 1987 wykładał w szkołach język niemiecki i historię.

W Równem był też Teodor Christensen, po wojnie noszący nazwisko Fritz Ramm, który stał się cenionym przedstawicielem konstrukcji wagonów w Kassel.

Ze zdjęć patrzą na mnie normalne, sympatyczne twarze.

7

WARSZAWA
1942–1945

Tymczasem ty, Lusiu, jedziesz pociągiem ze Lwowa do Warszawy i zatrzymujesz się na noc w Krakowie. Twój przyjaciel Artek Nacht nie dał ci obrazu, ale dał adres swojej znajomej malarki. Podjechałaś do niej tramwajem. Otworzyła ci drzwi Helena Cygańska, piękna, zgrabna kobieta, niezwykle serdecznie się z tobą przywitała, zaprosiła do siebie. Przenocować kogoś wtedy to było bohaterstwo. Miałyście wspólnych znajomych i pytałaś ją o swoją przyjaciółkę z Pińska, Ankę Jawicz, która mieszkała w Krakowie, i o Piotra Rawicza, przyjaciela Adolfa Rudnickiego, ale Lena ich od dawna nie widziała. Ona z kolei chciała się dowiedzieć, co się dzieje z Ginczanką. Po latach dostałaś od Leny jej autoportret, który teraz wisi nad twoim biurkiem. Przy wazonie z irysami siedzi i patrzy filuternie z obrazu delikatna młoda blondynka w granatowej bluzce. Tak musiała wyglądać wtedy w okupowanym Krakowie Lena Cygańska, dziewczyna pełna wdzięku i artystycznej swobody. Ty, Lusiu, lubiłaś się zawsze otaczać pięknymi kobietami, z którymi od razu się zaprzyjaźniałaś. Lena Cygańska prowadziła cię pod pachę przez Planty. Patrzyłaś na napisy na ławkach: *Nur für Deutsche* – Tylko dla Niemców. Szłyście przez krakowski Rynek pełen czerwonych flag ze swastyką do stołówki przy ulicy Świętego Jana, gdzie Lena pracowała. Podawała tu też do stolików znana ci z Zodiaku inna piękność, malarka Giza Szejman Ważyk, która potem wyjechała do Warszawy i zgłosiła się do Hotelu Polskiego. Hotel ten okazał się jeszcze jedną niemiecką pułapką, bo stamtąd z dwoma tysiącami innych Żydów – wszyscy prawdziwi albo podrabiani obywatele dalekich egzotycznych krajów, jak Ekwador, Urugwaj, Boliwia, Chile – została

wkrótce wywieziona do tak mało egzotycznych miejsc jak Oświęcim czy Treblinka. Nie zachował się żaden wizerunek pięknej Gizeli Szejman.

Po południu w pociągu do Warszawy siedziałaś na drewnianej ławce w strachu, bo mężczyźni w przedziale przypatrywali ci się jakoś dziwnie, ale szybko upewniłaś się, że patrzą raczej „seksowo”, a nie rasowo, widać nie miałaś – jak mawiał Adolf Rudnicki – „azjatyckiej tęsknoty w oczach”. Zagadnął cię nawet młody, przystojny mężczyzna i zaproponował, żebyś przyszła w Warszawie do kawiarni Nowy Świat, bo tam codziennie zbiera się teraz warszawska młodzież.

Znowu Warszawa. Ucieszyłaś się, widząc ponownie miasto, które dobrze znałaś. Poszłaś nawet na Wilczą. Dozorca domu Horowitzów poznał cię i grzecznie się z tobą przywitał, zapytał o Izka i jego rodziców. Postanowiłaś odszukać swoją przyjaciółkę, Ankę Gurman, mieszkała ponoć w getcie. Myślałaś, czy się u niej zatrzymać, ale szybko zrozumiałaś, że to nie jest dobry pomysł.

Za wysokimi ogrodzeniami – trzy metry muru i jeden metr drutów kolczastych – żyło teraz w nieludzkiej ciasnocie czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi i nadal dojeżdżały nowe kontyngenty z prowincji. Ludzi z kolejnych transportów umieszczano w punktach dla przesiedleńców, gdzie wykańczał ich głód, tyfus, mordy i samobójstwa. W zbiorowym, anonimowym grobie na cmentarzu na Okopowej pochowano już sto tysięcy osób.

Drewniany most projektu niemieckiej firmy Schmied i Muentzermann wisiał nad ulicą Chłodną, która pozostała aryjska. Podniosłaś głowę. Wysoko nad tobą tłoczyły się tłumy Żydów sunących z małego getta do dużego i z powrotem. Mieli być oddzieleni od reszty społeczeństwa jako roznosiciele tyfusu, podludzie.

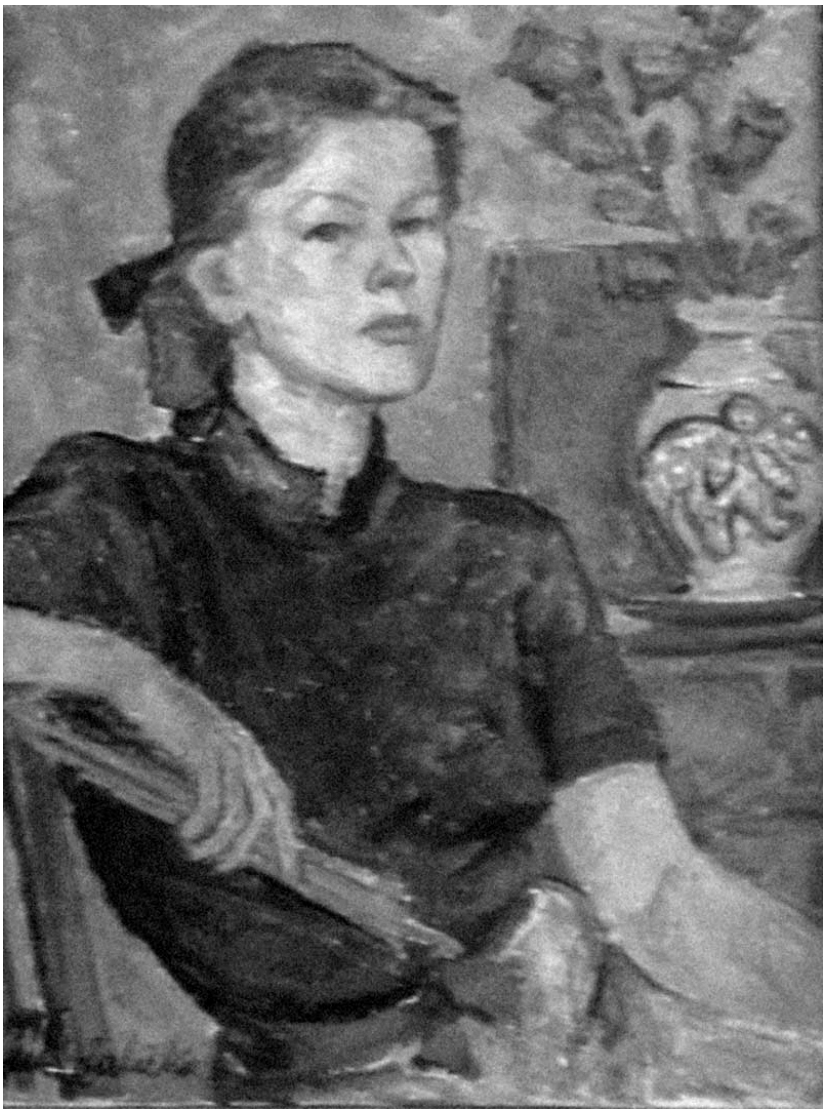

Autoportret Leny Cygańskiej-Walickiej

Ulice, którymi chodziłaś do Szkoły Pielęgniarstwa, weszły teraz w obręb dzielnicy zamkniętej. Twoja dyrektor, Luba Bielicka, kobieta o niepospolitej energii, przeniosła szkołę do budynku przy ulicy Mariańskiej 1, róg Pańskiej, i mimo panujących trudnych warunków, ciasnoty, głodu, chorób – szkoła nadal funkcjonowała, a kolejne roczniki uczennic otrzymywały w getcie dyplomy aż do lata 1942 roku, kiedy szkoła została przeniesiona w samo centrum piekła, na Umschlagplatz. Stąd wyruszy pierwszy transport ludności getta do obozu w Treblince.

Twoje koleżanki w różowych sukienkach w białe paseczki i pięknie wykrochmalonych czepkach biegały jak oszalałe po placu zbiórki Żydów wiezionych na śmierć, próbując jeszcze wyciągać znajomych lekarzy i koleżanki pielęgniarki, uczennice, które wpadły w pułapkę, próbowały nieść pomoc, choć ani pani dyrektor Nina Lubawska, ani pani wicedyrektor Luba Bielicka, teraz żona bundowca, Abraszy Bluma, nie nauczyły ich, jaką można nieść pomoc w takich wypadkach. Bo takich wypadków w historii ludzkości dotąd nie było.

Do września w ciągu kilku tygodni, w ramach tak zwanej Aktion Reinhardt, z getta warszawskiego trafiło na śmierć do położonej osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy Treblinki około trzysta tysięcy Żydów. Jak mówiło się Warszawie: „Wzięli ich na mydło”. Na miejscu na obszarze dużego boiska o rozmiarach sześćdziesiąt na dwieście metrów do dzieła zagłady potrzeba było zaledwie stu dwudziestu Ukraińców i trzydziestu esesmanów. Po pięciu dniach czekania w zaplombowanych wagonach, kiedy szklankę wody od chłopów mogli kupić za brylant, Żydów zagazowano w specjalnych komorach.

Hala Markowicz, u której mieszkała Lusia. Warszawa, 1943

Tamtej warszawskiej jesieni wiedziona instynktem przetrwania pospiesznie oddaliłaś się od murów getta i poszłaś pod kontaktowy adres do Karola Winawera, gdzie ukrywał się Muszkatenblit. Spędziłaś u nich noc, ale dłużej zostać nie mogłaś. Powiedzieli ci, że musisz sobie sama znaleźć mieszkanie i pracę. Wtedy przypomniałaś sobie o kawiarni

Nowy Świat. Mężczyzna z pociągu szczęśliwie tam był i bardzo się na twój widok ucieszył, przedstawił cię całemu towarzystwu. Śliczna dziewiętnastoletnia Hala Markowiczowa z domu Drac, córka lekarza, której mąż – oficer – nie wrócił, bo jak się potem okazało, zginął w Katyniu, szukała lokatorki do pokoju w swoim mieszkaniu przy Odolańskiej 14. Nie powiedziałaś jej, że jesteś Żydówką. To było zbyt ryzykowne. Skłamałaś, że chcesz się wyprowadzić od rodziców, bo cię biorą za małą dziewczynkę, a ty potrzebujesz więcej swobody. Hala bardzo się ucieszyła, że z nią zamieszkasz, bo wszyscy znajomi Hali, zanim jeszcze skończyłyście kawę, już się tobą zachwycali.

A ty, Lusiu, naprawdę Gelmont, a obecnie córko Teresy de Fabre, Francuzki, starałaś się bardzo na tych młodych i miłych Polakach zrobić jak najlepsze wrażenie, nie mówić zbyt głośno, nie gestykulować, nie wiedzieć wszystkiego najlepiej, bo to uchodziło za typowe cechy żydowskie i mogłaś się przez taki drobiazg wysypać, ale o dziwo nikt w kawiarni Nowy Świat nie podejrzewał cię o semickie pochodzenie. Byłaś elegancko, czysto ubrana, czarne włosy zaczesałaś w misterny kok na głowie. Byłaś wesoła i miałaś taki piękny uśmiech. Trzeba było tylko jeszcze dobrze nauczyć się opanowywać strach w oczach, który mógł cię łatwo zdradzić, umieć walczyć z nim od środka, nigdy nie dopuszczać go do głosu, bo natychmiast rozlewał się po całym ciele i mogłaś wtedy stracić panowanie nad sobą. Przez te wszystkie lata w okupowanej Warszawie chodziłaś codziennie z wyrokiem śmierci. W każdym momencie mogli cię zastrzelić. Takie życie pod zastaw.

„Trzeba było być stale odważną, bo przecież tchórz umiera tysiąc razy, a odważny tylko raz. Ja bardzo dużo zapomniałam, ale może to i dobrze. Po co to wszystko pamiętać?” – mówisz dzisiaj.

Lusia z kolegami w fabryce parowozów

Wtedy, w roku 1942, wprowadziłaś się na Odolańską do Hali i wkrótce obie zaczęłyście pracować w fabryce lokomotyw, w oddziale Ostrowieckich Zakładów Hutniczych przy ulicy Towarowej. Ty podałaś się za kreślarkę, ale wyrysowany przez ciebie początek planu fabryki nie zgodził się z końcem, więc przydzielono ci rower, którym przemierzałaś Warszawę, rozwożąc piwo robotnikom waszej fabryki, co bardzo lubiłaś robić. Czasem na rowerze wpadałaś do Anki Gurman, twojej lwowskiej przyjaciółki, która pracowała jako pomoc do dzieci u państwa Kirchmayerów. Któregoś razu, kiedy leżały razem krzyżem w kościele,

pani Kirchmayerowa wyznała jej w sekrecie, że jej mąż nie nazywa się naprawdę Andrzej, ale Jerzy, i jest szefem sztabu okręgu AK. Anka jednak o sobie nic jej nie powiedziała.

Lusia z koleżanką w mieszkaniu na Odolańskiej w Warszawie

Wkrótce dojechała do ciebie z Równego, na fałszywych papierach, które jej wysłałaś, twoja siostrzenica Ilusia. Nie przyznawałyście się do pokrewieństwa, nazywała cię „panna Lusia”. Ilusia szybko znalazła sobie mieszkanie przy Mierosławskiego 9 na Żoliborzu i pracę. Nosiła ciężkie torby do lokalu niemieckiego, w torbach były ciastka i samogon sprzedawany jako likier Baczewskiego. W tym lokalu występował aktor Dymsza i Igo Sym, zastrzelony potem przez AK jako kolaborant. Z worka, który pofarbowałaś, Lusiu, na bordowy kolor, znajoma krawcowa uszyła dla Ilusi dwuczęściowy kostiumik. Z okien tej krawcowej widać było getto i Ila nie mogła się powstrzymać, żeby przy każdej przymiarce tam nie patrzeć. Ilusia, obecnie zwana Hanką, żyła głównie z wróżb, a że każdy chciał znać przyszłość, miała wielkie powodzenie. Przychodzili nawet Niemcy. Mówiła, że ten dar

jasnowidzenia otrzymała, siedząc na drzewie i patrząc, jak rozstrzeliwali Żydów, jej przyjaciół w Sosenkach. Zemdlała wtedy i Mietek Kulikowski przywiązał ją paskiem do gałęzi, by nie spadła. Ilusia dużo teraz opowiada dziwnych historii, nie wiadomo, czy jej wierzyć czy nie.

Lusia i jej siostrzenica Ila nad Wisłą

W odróżnieniu od Ilusi, która stała się wierzącą katoliczką, tobie modlitwy nie wchodziły do głowy, a musiałaś w razie zatrzymania zaświadczyć o swoim katolickim rodowodzie. Położyłaś szkolną metodą modlitewnik pod poduszką. Zauważyła to Hala, która nie kryła zdziwienia: „Przecież mówiłaś, że religijna nie jesteś”. Gdy przyszłaś kiedyś do domu z książką Fiedlera *Dywizjon 303*, która wyszła

w podziemnym wydawnictwie, Hala była bardzo niezadowolona i oświadczyła ci kategorycznie, że nic zakazanego w domu trzymać nie chce.

Niedługo potem zatrzymali na ulicy Ilkę. Jakiś szantażysta zaprowadził ją na Gestapo. Tam Niemiec zapytał ją podchwytliwie: „Co to znaczy INRI?”. „Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum – Jezus Nazareński król Żydów” – odpowiedziała natychmiast Ilka. Puścili ją do domu.

W wolnych chwilach chodziliście latem wszyscy nad Wisłę, na krypę Czecha Podszepnego „Mařena”. Mieliście znajomą w kasie, Zosię Kroczewską, która was wpuszczała bez biletów. Ila, Anka Gurman, Ala Kwiecień, u której mieszkała Ila, Helena Markowiczowa, twoja gospodyni, ty i twój nowy kawaler, wysoki blondyn, Genek Sobczak. Jemu powiedziałaś, kim jesteś. Bardzo ci pomagał, roznosił ukrywającym się po mieście Żydom potrzebne dokumenty. Kto robił wam te piękne zdjęcia na pomostach, na trawie, na żaglówkach na Wiśle? Może to był twój aparat, który dostałaś kiedyś od Izka? Dziwnie wygląda ta twoja wojna, opalacie się, śmiejecie, ty w twarzowym kostiumie, na łódce trzymasz się masztu, z dala widać most na praski brzeg. Na innej fotografii pozujesz na trawie ze swoimi dwoma pieskami, które kupiłaś, żeby nie uchodzić za Żydówkę. Bo czy Żydówka może mieć pieski?

Lusia z Ilą i Halą Drac-Markowicz nad Wisłą. I na krypie „Mařena”

Ze Lwowa przyjeżdżał czasem w interesach do Warszawy twój znajomy, Marek. Miał sprawdzać jakość produkcji sprowadzonego budyniu, która to, ku jego zaskoczeniu, odbywała się po prostu w piwnicy. Robotnik mieszał chochlą maź w wielkiej drewnianej kadzi. Jako że zatrzymał się w hotelu, a hotele musiały obowiązkowo odsyłać na policję listę gości, Marek, obecnie Władysław Kozioł, został w nocy zatrzymany, bo inny Żyd, który miał drugą połowę papierów tegoż Władysława Kozła, uciekł z fabryki Siemensa. Marek o mało nie został dezerterem. Na szczęście udało mu się przekupić polskiego policjanta z kryminalnej policji. Marek zawsze nosił przy sobie sporo gotówki w podeszwie buta. Policjant puścił go i obiecał, że zniszczy kartotekę, ale tego nie zrobił. Za następnym przyjazdem Marka – nie tylko zresztą w sprawach handlowych, bo działał on też w ruchu oporu – znowu go zatrzymano z tego samego powodu – rzekomej dezercji. Jako zbiegowi z pracy groził mu obóz. Tym razem zaprowadzono go prosto na Koszykową. Obiecywał temu, co go przesłuchiwał, że jakoś się policzą. Miał tradycyjnie w skarpetce trochę pieniędzy. Nie puszczono go jednak. Nie pomogło zaświadczenie z firmy Braun przy placu Halickiego 14a, z dużą pieczątką Izby Rzemieślniczo-Handlowej, z niemiecką wroną

w środku. Sprawdzali we Lwowie, czy rzeczywiście Marek tam pracuje. Szef odpowiedział, że tak, że jest godny zaufania. Mimo to wieczorem zaprowadzono go do celi, gdzie tłum więźniów leżał pokotem na ziemi. Rano więźniów golono i kąpano, a przy tej okazji trzeba było uważać, by nikt nie spostrzegł, że jest Żydem. Za pieniądze można było w areszcie dostać coś lepszego do jedzenia. Nazajutrz zawołano Marka na konfrontację z pracownikiem Siemensa, który powiedział, że to pomyłka: to nie jest ten pan Kozioł. O dziwo, wypuścili go. Taka była czasami niemiecka logika praworządności. Z więzienia Marek napisał do ciebie, Lusiu, gryps, bo była tam polska strażniczka – ruch oporu miał dużo ludzi wśród policjantów, strażników – która za pieniądze roznosiła grypsy. Byłaś na niego, Lusiu, potwornie wściekła, jak on mógł z Koszykowej posyłać ci grypsy, zdradzać twój adres. Ty, Ala Kwiecień, Ilusia nakrzyczałyście na niego okrutnie, jak tylko się u was pojawił.

Lusia z Anką Gurman, Alą Kwiecień i Gienkiem Sobczakiem nad Wisłą

Lusia ze swoimi pieskami

Kiedyś na ulicy zobaczyłaś twojego kolegę ze szkoły z Równego, Staszka Kościelskiego, i rzuciłaś się do ucieczki, a on cię dogonił zdziwiony. „Dlaczego, Lusiu, uciekasz, mogę ci przecież pomóc”. Został wkrótce przedstawiony jako twój kuzyn. Wyglądał jak prawdziwy szlachciura z wąsem, co było dla ciebie bardzo przydatne.

Jednak atmosfera w Warszawie gęstniała. Było już całkiem jasne, jakie Niemcy mają plany w stosunku do pozostałych w getcie siedemdziesiąt tysięcy Żydów. W wigilię Pesach, 19 kwietnia 1943 roku wybuchło w getcie powstanie. Niemcy zostali zaatakowani silnym

ogniem, obrzuceni granatami i butelkami z benzyną. Genek Sobczak przyniósł skądś ulotkę adresowaną do polskiej ludności. Czytałaś ją wstrząśnięta:

> Polacy, Obywatele, Żołnierze Wolności.
>
> Wśród huku armat, z których armia niemiecka wali do naszych domów, do mieszkań naszych matek, dzieci i żon;
>
> Wśród terkotu karabinów maszynowych, które zdobywamy w walce na tchórzliwych żandarmach i S.S.-owcach;
>
> Wśród dymu pożarów i kurzu krwi mordowanego ghetta Warszawy – my – więźniowie ghetta – ślemy Wam bratnie serdeczne pozdrowienia.
>
> Wiemy, że w serdecznym bólu i łzach współczucia, że z podziwem i trwogą o wynik tej walki przyglądacie się wojnie, jaką od wielu dni toczymy z okrutnym okupantem.
>
> Lecz wiedzcie także, że każdy próg ghetta, jak dotychczas, tak i nadal będzie twierdzą, że może wszyscy zginiemy w walce, lecz nie poddamy się; że dyszymy, jak i Wy, żądzą odwetu i kary za wszystkie zbrodnie wspólnego wroga.
>
> Toczy się walka o Waszą i naszą Wolność.
>
> O Wasz i nasz – ludzki, społeczny, narodowy – honor i godność.
>
> Pomścimy zbrodnie Oświęcimia, Treblinek, Bełżca, Majdanka.
>
> Niech żyje braterstwo broni i krwi walczącej Polski!
>
> Niech żyje Wolność!
>
> Śmierć katom i oprawcom!
>
> Niech żyje walka na śmierć i życie z okupantem!
>
> Żydowska Organizacja Bojowa

Poszliście wtedy razem z Genkiem do kościoła na placu Zbawiciela, na groby wielkanocne. Nie chciałaś tam wchodzić, ale Genek napierał. Zemdlałaś tam od zapachu kwiatów, kadzideł i religijnych śpiewów. Genek wyniósł cię przed kościół na rękach.

Gienek Sobczak, narzeczony Lusi

W niedzielę 25 kwietnia 1943 roku siedzieliście razem przy wielkanocnym śniadaniu na Odolańskiej. Przyjechała na święta ciocia Hali, więc ładnie wymalowałyście różnokolorowe pisanki, dzieliliście się jajkiem. Od was z Mokotowa było daleko do getta, ale widać było wielki czarny dym, który unosił się nad miastem. To Niemcy podpalili całe kwartały ulic getta. Ludzie skakali tam z balkonów. „Nareszcie Żydki się palą” – powiedziała niespodziewanie ciotka Hali. Spuściłaś oczy, a Genek wziął cię za rękę.

16 maja 1943 roku niemieccy okupanci po zdławieniu powstania w getcie wyburzyli wszystkie kamienice i wysadzili w powietrze Wielką

Synagogę przy ulicy Tłomackie. Zabytkowe ulice dzielnicy północnej przemieniły się w kupę gruzu. Zapanowała tam śmiertelna cisza.

U Hali. Odolańska 14 w Warszawie

Minął prawie rok. W sierpniu 1944 roku jechałaś, Lusiu, z pracy na rowerze i pękła ci dętka. Kiedy mijałaś Litewską, usłyszałaś nagle silne wybuchy i mimo tej pękniętej dętki postanowiłaś dojechać za wszelką cenę do domu, na Mokotów. To z kolei warszawiacy stanęli do powstania. W pierwszym dniu walk zginął od przypadkowego wybuchu twój chłopak, Genek Sobczak. Mokotów w czasie powstania warszawskiego był względnie spokojny. Z piekła innych dzielnic ty,

Lusiu, jako sanitariuszka pomagałaś wychodzić dzieciom z kanałów. Targałaś je potem na plecach w bezpieczne miejsce.

Siostrzenica Ila w czasie powstania warszawskiego

Tymczasem twoja siostrzenica, Ila, znalazła się w czasie powstania na Czerniakowie. Ponoć była harcerką Szarych Szeregów, pseudonim „Kotka”. Dziewczynka z dwoma warkoczykami. O swojej działalności nigdy ci, Lusiu, nie opowiadała, bała się, że ją zrugasz, że jej zabronisz. Dopiero od kilku lat snuje nam swoją bohaterską wersję udziału w powstaniu warszawskim, ale czy aby prawdziwą? Ila, obecnie Anna, była ponoć listonoszem powstańczej poczty polowej. Przechodziła śmierdzącymi kanałami, mknęła ulicami obok płonących szaf, w trzasku płomieni palących się domów. Adresata często już nie było. „Choć serce biło i bolało / niosłam tych kilka kartek, listów” – pisze dziś wierszem. W końcu szrapnel rozerwał jej udo. Leżała długo pod barykadą, cała

zalana krwią, koledzy próbowali ją odciągnąć i ukryć, wielu padło od niemieckich kul, aż w końcu bosakami udało im się przeciągnąć ją na drugą stronę. Kiedy wzięto ich do niewoli, Niemcy brzydzili się wziąć do rąk jej torbę z listami, bo była cała zakrwawiona.

Lusia Gelmont w Warszawie

Minęły sześćdziesiąt trzy dni powstania. Miasto krwawiło, trwały bombardowania, ludzie ginęli aż do trzeciego października, dnia kapitulacji.

Wtedy wychodzisz, Lusiu, wraz z innymi mieszkańcami, w pochodzie z małą, brązową walizeczką (w środku jesionka i zdjęcia) Muszkatenblita z inicjałami J.M. (mam ją do dziś u siebie). Szybko ściągasz z ramienia powstańczą opaskę. Inni też tak robią. Prowadzą was do Pruszkowa, dalej może do Oświęcimia. Stojąca na brzegu szosy ludność krzyczy do was: „Uciekajcie, uciekajcie!”. Skaczesz w bok, tłum rozstępuje się, przepuszcza was, wszyscy są powstańcom przychylni. Jeszcze wrócisz za chwilę do zrujnowanej Warszawy, do mieszkania przy Odolańskiej, żeby zabrać jakieś ciepłe rzeczy. Warszawa jest przerażająco pusta, w gruzach chowają się jeszcze jacyś ludzie. Wasz dom jednak stoi. Wchodzisz i widzisz na mahoniowym stole rolkę filmu. To niemiecki film. Jakiś Niemiec fotografował zburzone miasto i wychodzących z niego powstańców.

Wtedy przychodzi ci na myśl, by koniecznie pojechać pociągiem do Krakowa, dowiedzieć się, co się dzieje z Zuzą Ginczanką. Trochę to ryzykowne, wojna się przecież jeszcze nie skończyła. Ty ryzyka się nie boisz. Jedziesz.

8

KRAKÓW
1942–1944

Mąż Zuzy, Michał Weinzieher, na fałszywych papierach Danilewicz, przyjechał do Krakowa we wrześniu 1942 roku. Miał się rozejrzeć, znaleźć jakieś bezpieczne lokum. Nie wiedział jeszcze wtedy, że jego brat zginął w Katyniu, a jego ojciec, lekarz i poseł na Sejm, został zamordowany. Pierwsze kroki skierował na ulicę Zyblikiewicza 5, do państwa Güntnerów, poleconych mu przez znajomą. Udało jej się przekonać właścicieli, że Danilewicz to porządny lokator, można przyjąć go bez obaw na kilka dni. Mieczysław Güntner, przedwojenny prokurator, był oficerem AK. Miejsca było dosyć, bo synowie Güntnerów wyjechali, a mieszkanie było bardzo duże. Michał, w końcu historyk sztuki, do czego się teraz nie przyznawał, zaskoczony był niezwykłą urodą tej modernistycznej kamienicy wzniesionej w latach dwudziestych przez architekta Szyszko-Bohusza. Do wojny znajdował się tam Dom Pracowników Pocztowej Kasy Oszczędności. Niemcy zniszczyli orła na frontonie i w budynku utworzyli siedzibę Niemieckiej Poczty Wschód. Michał zadzwonił do mieszkania, przywitał się szarmancko, całując panią domu w rękę, spojrzał na nią swoimi aksamitnymi oczami i pokazał fałszywą kenkartę. Minęło kilka dni i właściciele zorientowali się, że pan Michał, co prawda bardzo dyskretny, świetnie wychowany, nie wyprowadza się, więc domyślili się, że musi być Żydem. Mimo to nie robili mu żadnych przeszkód w dalszym wynajmie pokoju. Michał, codziennie starannie ogolony, wychodził w interesach, ponoć sprzedawał na mieście francuskie kremy i perfumy. Zastanawiano się, czy lokator ma zoperowany napletek, skoro tak bez strachu kręci się po mieście.

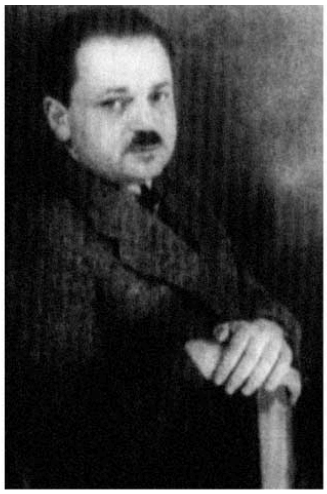

Michał Weinzieher-Danilewicz i dom przy Zyblikiewicza 5 w Krakowie

Wokół pomnika Mickiewicza na Rynku pojawiły się teraz niemieckie trofea wojenne – czołgi, armaty, strzaskane samoloty, a obok w Sukiennicach otwarto wystawę pod tytułem *Wojna światowa z bolszewizmem i plutokracją*.

W południe Michał Danilewicz wracał zwykle do domu, jadł przygotowany przez panią Güntner bardzo smaczny, chociaż z dnia na dzień coraz skromniejszy obiad, bo ceny produktów żywnościowych stale rosły. Potem w swoim pokoju czytał „Krakauerkę” i cicho nasłuchiwał wiadomości. Na froncie wschodnim pod Stalingradem

Niemcy wyraźnie przegrywali, wojska radzieckie zamknęły w kotle 6. Armię generała Friedricha Paulusa. Wróżyło to szybki koniec wojny, taką w każdym razie miał pan Michał Danilewicz nadzieję.

We wrześniu 1943 roku z Felsztyna przyjechała na Zyblikiewicza żona Michała, Zuza Ginczanka. Przedstawiła się jako Marysia Danilewicz i takie miała papiery. Z pochodzenia ponoć Ormianka. Marysia Güntnerówna była kompletnie zafascynowana niezwykle uroczą, zgrabną dwudziestosześciolatką i jej ormiańską czy cygańską urodą. Nowa lokatorka miała włosy gładko sczesane w kok, ubrania bardzo eleganckie, w dobrym gatunku. Chciała w Krakowie koniecznie uszyć sobie na nadchodzącą zimę płaszcz, a że na dole w kamienicy mieszkał dobry krawiec, obie Marysie schodziły dyskretnie do niego do miary. Płaszcz nie bardzo się przydawał, bo nowa lokatorka prawie nie wychodziła z domu, miała niedobry wygląd.

Kończył się czwarty rok wojny, getto na Podgórzu było zlikwidowane. Michał opowiadał przy obiedzie, że Niemcy tłoczą się teraz w firmie przewozowej Hartwig, wysyłając do siebie zrabowane dywany, meble, obrazy. Od szóstej wieczorem do piątej rano obowiązywała godzina policyjna i zakaz palenia w piecach przy temperaturze powyżej ośmiu stopni. W trzech kinach wybuchły pożary, ktoś chciał wystraszyć publiczność, która oglądała niemieckie filmy. W Sukiennicach odbywała się kolejna wystawa, *Żydowska zaraza światowa*, z ogromnymi rysunkami potentatów finansowych i politycznych.

Zuzanna całymi dniami siedziała w domu Güntnerów. Przez okno w półokrągłej jak podkowa kamienicy widziała fronton na kilkumetrowych kolumnach z klasycznym fryzem pełnym rogów obfitości. Za nim widziała ludzi, którzy chodzili jak gdyby nigdy nic po ulicy, z daleka rozróżniała ich stroje, ale nie widziała ich twarzy. W ogromnym mieszkaniu czuła się jak w więzieniu, mocno wychudzona zamykała się w swoim zabałaganionym pokoiku, leżała długo w niepościelonym łóżku, coś notowała, rzucała na ziemię zapisane kartki

i śmiejąc się, mówiła do Marysi Güntner, zdziwionej, że ona, młoda kobieta, tak się leni: „Wiedz, że w lenistwie jest źródło mojej twórczości”.

Żeby udowodnić swoje poetyckie talenty, napisała dla pani domu poemat o przyrządzonej wyśmienicie w ostatnią niedzielę pieczonej kaczce. Przychodziła do niej z wizytą Anka Jawicz, malarka Lena Cygańska, Wicula Stopkowa. Do tej grupy krakowskich lewicujących plastyków należał jej mąż Andrzej Stopka i jego przyjaciel Janusz Woźniakowski. Ze Lwowa wpadał często Marek. Bardzo się lubili, nocował czasem u nich. Marek wciąż dobrze zarabiał i miał tak zwany dobry wygląd, więc próbował prowadzić normalne życie. Chodził w Krakowie do kina, do lokali, do teatru, choć repertuar był słaby, a na sali mało inteligencji. Myślał nawet, żeby się tu wkrótce przenieść. Zuza wychodziła bardzo rzadko i zawsze w towarzystwie kilku osób, podnosząc wtedy wysoko kołnierz świeżo uszytego płaszcza i spuszczając na swoje piękne, dwubarwne oczy, rondo kapelusza.

Zbliżała się Wigilia 1943 roku. Na Rynku i na Kleparzu ustawiano wielkie ubrane choinki, ale odwilż, chlapa i niekończąca się wojna nie tworzyły świątecznego nastroju. W pokoiku Zuzy przesiadywał stale w niej zakochany Janusz Woźniakowski, drobny blondyn w okularach. Mieszkał na Karmelickiej ze Stopką, ale tutaj zainstalował sobie prawdziwą fabryczkę fałszywych papierów, które wymalowywał bez skrępowania na szybie. Marysia Guntnerówna spostrzegła kiedyś w otwartej walizce pliki nowych kenkart i dokumentów. Ze Śląska przyjeżdżał do niego i do Michała Weinziehera-Danilewicza komunistyczny działacz partyjny Franek Zając. Przychodził też Franciszek Gil, lewicowy poeta. Zuzanna nie uczestniczyła w ich spotkaniach, ale na wszelki wypadek Michał pokazał jej skrytkę w swoim pokoju, gdzie leżały bibuła, pisma, trefne dokumenty.

Na Berlin spadały pierwsze alianckie bomby. Zaiskrzyła nadzieja na wyzwolenie. Bardzo ożywił się ruch oporu, co widać było na ulicach, gdzie wieszano coraz częściej obwieszczenia o rozstrzelaniu kolejnej

grupy Polaków za zamachy na Niemców i ich kolaborantów. Zuza bardzo bała się o swoich mężczyzn, Janusza i Michała, a oni jeszcze bardziej bali się o nią, ich ukochaną kobietę. W końcu postanowiono zmienić Zuzannie kryjówkę. W oddalonym o dwanaście kilometrów od centrum Krakowa kurorcie Swoszowice Marysia Güntner poleciła im znajomy pensjonat, gdzie jeździła jako dziecko na kuracje siarkowe. Zuzanna z ulgą tam się przeniosła. Wkrótce ku jej wielkiej radości pojawiła się tam jej bliska przyjaciółka z Równego, Blumka Fradis, obecnie Bożenka. W Warszawie zatrzymało ją ostatnio Gestapo, a że miała bardzo słowiański wygląd, blond włosy, zadarty nosek, puścili ją, kazali tylko przyjść nazajutrz z papierami. A ty, Lusiu, zakazałaś jej tego i poradziłaś jechać do Krakowa, odszukać tam Zuzannę. Pewno Güntnerowie podali jej adres pensjonatu w Swoszowicach. Przyjazd Blumki ośmielił nieco wylęknioną Zuzę i choć mowy nie było o kąpielach w siarczkowych wodach leczniczych ani borowinowych, panie wychodziły czasem z pensjonatu i spacerowały do odnowionego pięknie domu zdrojowego, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Coraz częściej ku swojemu zdziwieniu spotykały po drodze kogoś wyglądającego bardzo semicko. Sporo Żydów z Krakowa ukrywało się na fałszywych dokumentach w Swoszowicach.

Względnie dobry nastrój szybko się skończył, bo dotarła do nich wiadomość, że Janusz Woźniakowski został zatrzymany w ulicznej łapance. Zuzanna była wstrząśnięta i spanikowana. Postanowiła wracać do Krakowa, choć Marysia Güntnerówna serdecznie jej ten pomysł odradzała. Przez żonę Stopki, Wiculę, znaleziono jej na jesieni 1943 roku schronienie w małym mieszkanku przy Mikołajskiej 26 u Elżbiety Mucharskiej, znajomej Woźniakowskiego i twojej, Lusiu.

Janusz Woźniakowski został zawieziony do krakowskiego więzienia na Montelupich, bito go tam nieludzko i torturowano. Po kwicie z pralni i wysyłanych przez niego z więzienia grypsach Gestapo rozpracowało szybko jego kontakty. Zmasakrowanego Janusza zaprowadzono do Güntnerów na Zyblikiewicza. Janusz zachowywał się godnie, nie

zdradził ani działalności Güntnerów, ani Andrzeja Stopki, ale podczas rewizji Gestapo znalazło w schowku bibułę, pisma, ulotki. Czy zabrali też leżące w pokoiku na biurku i na łóżku wiersze Ginczanki? Zatrzymano jej męża. Gestapo udało się pod kolejny adres, na ulicę Długą, do Wodzinowskich. Dzwonili kilkakrotnie do drzwi mieszkania, trzeba było im w końcu otworzyć. Trzech gestapowców natychmiast wylegitymowało obecnych, była tam Aneta Skąpska, Duszek, czyli Andrzej Stopka, Wicula, czyli Wincentyna Wodzinowska-Stopkowa, jego żona, i jej matka, pani Wodzinowska. Gestapowcy pokazali grypsy Janusza, cienkie bibułki złożone w małe kwadraciki, które obecni z przerażeniem czytali, bo Janusz podawał adresy, pisał o przynależności Stopki do partii komunistycznej, Wiculę nazywał łączniczką i podawał najróżniejsze konspiracyjne adresy. A Wicula przechowywała ukrywających się ludzi, w tym wielu Żydów, całą rodzinę doktora Juliana Aleksandrowicza, która kanałami uciekła w marcu 1943 roku z krakowskiego getta.

Zuzanna Ginczanka

Janusz chyba musiał być bardzo chory, bo w innym grypsie błagał o zajęcie się Zuzanną, podając nieroztropnie jej nowy adres na Mikołajskiej i hasło, po którym otwierano drzwi. Gestapowcy krążyli dalej po mieszkaniu na Długiej, szykowali się do rewizji, kiedy nagle starsza pani Wodzinowska udała się do spiżarni i wyniosła stamtąd parę litrów spirytusu, a z pożółkłego welonu ślubnego wyciągnęła chowane tam na czarną godzinę złote dukaty, które wetknęła zdecydowanym ruchem w ręce gestapowców. „Przyjmijcie panowie na szczęście” – powiedziała.

Gestapowcy bardzo zadowoleni schowali dukaty do kieszeni, butelki wetknęli za pazuchę i dyskretnie wyszli. Duszek i Wicula rzucili się matce na szyję, dziękując jej za przytomność umysłu, która uratowała im życie.

Na Mikołajskiej Zuzanna mieszkała zaledwie miesiąc, Elżbieta Mucharska, sama będąc Żydówką, ukrywała czasowo u siebie w jednym pokoju kilka osób. Zuza nigdy nie otwierała drzwi. Żyła w ustawicznym strachu. Zaszczuta, wyniszczona, nie wychodziła sama na ulicę. Nawet Marysi Güntnerownej nie podała swojego adresu, tylko Blumka Fradis wpadała do niej dość często. Dziesięcioletni Jerzy Tomczak, wnuk Mucharskiej, nauczony był, że wracając do domu, ma głośno tupać i gwizdać skoczną melodię, żeby zasygnalizować swój powrót i zostać wpuszczony.

Któregoś zimowego popołudnia, kiedy jak zwykle pogwizdywał na schodach, wybiegła ich sąsiadka, pani Krzeszowska, która ostrzegła go: „Są u was”. Kazała mu się cofnąć. Chłopiec stanął w bramie domu po przeciwnej stronie ulicy, obserwując drzwi wejściowe, przez które pół godziny później gestapowcy wyprowadzili Zuzę i Blumkę, która akurat przyszła z wizytą. Po wyjściu gestapowców z ulicy Długiej Wicula Stopkowa pobiegła natychmiast na Mikołajską. Otworzyła jej drzwi spłakana Mucharska. „Już ją wzięli!” – krzyczała i pluła na nich. Wicula pobiegła pod inne adresy. Wszędzie było już po aresztowaniach. Siatka komunistyczna została praktycznie rozbita. Resztki organizacji już od

pewnego czasu objęła prawdziwa psychoza, padały wzajemne oskarżenia, miały miejsce doraźne sądy.

Jest styczeń 1944 roku, jeszcze rok do końca wojny, kiedy policyjna suka wiezie Zuzannę i Blumkę Fradis, zatrzymane na Mikołajskiej 26, do ponurego krakowskiego więzienia policji bezpieczeństwa Sicherheitspolizei, do oddziału kobiecego. Kiedy prowadzą je do celi, zewsząd słychać krzyki więźniarek. Cele są przepełnione. Strażnik wskazuje im prycze w rozległej izbie, gdzie przebywa chyba z piętnaście kobiet. Ostrzega, że w więzieniu panuje tyfus. W celi są Polki, ale i Żydówki próbujące się ukrywać po aryjskiej stronie. Na noc na niepomalowanej podłodze rozkłada się sienniki ze słomą, bez pościeli, ale nie ma ich dosyć, więc jedna z więźniarek, Krysia, rozpościera swój płaszcz, zaprasza Zuzannę, żeby położyły się razem. Sieczka z siennika kłuje je w plecy, ale w końcu zasypiają. Nazajutrz od rana wielka radość, bo przychodzi do Krysi paczka od siostry. Jakoś się udało, to istny cud! Wyciągają wielki bochen chleba, jeszcze posypany mąką, a w nim ukryty boczek. Jest dużo śmiechu i radości. Zuzanna dostrzega kątem oka nazwisko Krysi – Brezówna. „Znam Tadeusza Brezę, pisarza, to może twoja rodzina?” – pyta. „Tak, to mój brat” – mówi Krysia.

Zuzanna nabiera zaufania do Krystyny i opowiada jej o sobie, o tym, jak przyszli po nią i Blumkę, bo ktoś z sąsiadów musiał donieść. Nic nie wie jeszcze o kompromitujących grypsach Woźniakowskiego. Krysia tłumaczy, że nastały teraz takie nieludzkie czasy, gdzie jedni, uważani za porządnych i uczciwych, gubią drugich ze strachu, dla pieniędzy lub chcąc ratować bliskich. Krystyna Brezówna daje koleżance ciepłą bieliznę i jedzenie ze swojej paczki.

Na Montelupich mijają powoli więzienne dni. Od strony podwórca dochodzą coraz częściej odgłosy wystrzałów. To egzekucje więźniów. Nad ranem słychać turkot samochodów i widać przez kraty, jak Niemcy prowadzą związanych mężczyzn, jak ładują ich do ciężarówek. Jedna z więźniarek, która ma kontakty z ruchem oporu, informuje, że

więźniowie rozwożeni są po obozach koncentracyjnych – do pobliskiego Płaszowa, do Oświęcimia albo do Gross-Rosen.

Zuza i Blumka są często przesłuchiwane w specjalnych pomieszczeniach. Gestapowcy szarpią Zuzę za jej czarne, długie włosy, wyrywają je, ciągną ją po ziemi. Zuza strasznie krzyczy, choć woli to niż bicie, najbardziej boi się bicia. W końcu przyznaje się, że nie jest żadną Marysią Danilewicz, że urodzona jest w Kijowie w roku 1917 jako Szoszana Gincburg. Blumka przyznaje się, że nie jest Bożenką, ale Blumą Fradisówną z Kiszyniowa, z Besarabii. Rok urodzenia 1916. Starczy, o to chodziło. Śledztwo zostaje zakończone, Żydówki złapane. Przyznały się, nie one jedne, pełno tych pluskiew nadal chowa się w Krakowie, trzeba je wyłapać. Gestapowcy przestali ciągnąć je za włosy. „Przewieźć je do oddziału na Czarneckiego” – pada komenda. Czarneckiego to teren dawnego getta. Co dalej z nimi będzie? Czy wywiozą je do obozu, czy wytrzymają do końca wojny?

Blumka Fradis. Zdjęcie okupacyjne

Krysia Brezówna, po mężu Garlicka, na całe życie zapamiętała wszystkie szczegóły dotyczące pobytu w więzieniu z poetką Zuzanną Ginczanką. Po wojnie często opowiadała o niej swoim córkom. Kiedy z jedną z nich, Martą, spacerowałam po Wyspie Świętego Ludwika, pokazałam jej dom nad Sekwaną, gdzie mieszkała ukochana kuzynka Zuzy, Lidka Nogid, obecnie bardzo bogata pani, żona króla cukru. Lidka przyjechała do Francji, bo jej matka, Anna Nogid, często bywała w Paryżu jeszcze przed wojną. Gościłam w jej domach, w Paryżu i na południu Francji, urządzonych z ogromnym przepychem w stylu, jaki bardzo lubiła, gotyckim, pełnym krużganków, złoceń, drogocennych obrazów. Otoczona liczną służbą Lidka była prawdziwą księżniczką w swoich małych zamkach ze zwodzonymi mostami, w swoich wieżach z windami, pewno tak jak to sobie wymarzyła w Równem, w składzie aptecznym babci Sandbergowej. Marzenie się spełniło.

Kiedy przechodziłyśmy pod oknami mieszkania Lidki Nogid na Wyspie Świętego Ludwika, z widokiem na Sekwanę i katedrę Notre Dame, Marta Garlicka wydawała się bardzo zaskoczona, że ja też znam Ginczankę.

Krystyna Breza, wspólniczka z celi

W więzieniu na Czarneckiego, które podlegało władzom sądowniczym, można było pisać listy do rodzin poprzez Polski Komitet Opiekuńczy. Tylko do jakich rodzin? Rodzin już nie było. Zginęły w Równem. Babcia Zuzy, właścicielka składu aptecznego, Chaja Sandberg, ich kuzyni, rodzice Lidki w Wilnie, Nogidowie, matka Blumki, Tauba Fradis, jej babcia Szacowa. Nie zachowały się podania o pomoc Blumki Fradis. Czy Blumka, osoba zawsze depresyjna, leżała gdzieś załamana w kącie celi? Czy w ogóle żyła? Natomiast Zuzanna Gincburg wielokrotnie zwracała się do Komitetu o pomoc. Wypełniała bardzo starannie blankiety zapotrzebowania w języku polskim i niemieckim, w marcu i w kwietniu 1944 roku. Ostatnie słowa zapisane jej ręką skierowane są albo do Komitetu, albo do niejakiej Marii Sierockiej zamieszkałej w Krakowie przy ulicy Mikołajskiej 26, tam gdzie się Zuza ostatnio ukrywała. Czy może i do niej kieruje też zmięty w kulkę gryps ze swoim wierszem *Non omnis moriar* – swój testament?

Napisała go jeszcze we Lwowie, a teraz z pamięci spisuje, unikając starannie słowa „żydowskie”, które zastępuje literą „ż”.

> Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,
> Niech więc rzeczy ż... twoja dłoń wyszpera,
> Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,
> Donosicielko chyża, matko folksdojczera.

Zuzanna chce jednak żyć, chce przeżyć. Ma zaledwie dwadzieścia siedem lat. W więzieniu dba bardzo o siebie, prosi o gęsty grzebień do rozczesywania włosów, które nosi teraz rozpuszczone, bo brakuje jej spinek. Przydałby się też środek przeciw wszom – ocet sabadylowy, taka nalewka na wszawicę, bo te wszy w więzieniu to prawdziwa zaraza, chowają się w jej czarnych długich włosach, stale trzeba iskać, szukać, czy nie ma gnid. Prosi też o igły, szpilki i nici, bo jej sukienka jest podarta, o wełnę do cerowania i wełniane skarpetki, koszulę damską, chustki do nosa, reformy, ciepły szalik, bo jeszcze trwają przymrozki, a cele są nieogrzewane. Z żywności brakuje jej jabłek, tłuszczu, cukru, prosi o bochen chleba, do tego trochę marmolady, niezbędna jej jest też lignina, mydło, pasta do zębów, ręcznik, jasna pasta do butów i lekarstwa: witamina C, cebion i redokson, bo Zuza bardzo schudła, jest blada i wymęczona. „Paczkę otrzymała” – adnotują na marginesie. Zgodnie z regulaminem przyszła owinięta w papier, w pudełku z nazwiskiem uwięzionej, bez żadnych druków, notatek, listów, a zwłaszcza zakazanych żyletek czy scyzoryków.

Za oknem, poprzez kraty, na Czarneckiego widać już pąki na drzewach i Zuza poprosi o buty wiosenne, pantofle na podeszwie sznurkowej, numer 38. To jej ostatnia prośba, datowana 18 kwietnia 1944 roku. Na kolejnym spisie z 5 maja 1944 Zuzanna Gincburg już nie figuruje.

Nie ma też już więcej podań Janusza Woźniakowskiego i Michała Danilewicza, którzy siedzieli w męskich celach. Czy próbowali nawiązać z Zuzanną jakąś łączność? Czy wiedzieli, że siedzi obok, na

Czarneckiego? Michał opowiadał współwięźniom w celi, że jest zrzutkiem spadochronowym przybyłym z Anglii. Ta wersja życiorysu pozwalała uniknąć kłopotliwych pytań o przeszłość – Żyd Michał Weinzieher nie został rozpoznany.

6 kwietnia 1944 roku rozplakatowano w Krakowie kolejne obwieszczenie dowódcy SS i policji na dystrykt krakowski z listą stu dwunastu zakładników skazanych przez sąd doraźny na karę śmierci za ostatnio dokonany napad na komendę w Myślenicach, zastrzelenie kapitana żandarmerii Drenera, starszego sierżanta Shaara oraz SS-Unterscharführera policji bezpieczeństwa Hauta.

Pod numerem piątym jako już rozstrzelany figuruje: „Janusz Woźniakowski – grafik ze Lwowa – za przynależność do organizacji komunistycznej i sporządzenie fałszywych dowodów”. Pod numerem sto piątym figuruje: „Danilewicz Michał, historyk sztuki z Krakowa – za popieranie organizacji wywrotowej przez kolportowanie ulotek”.

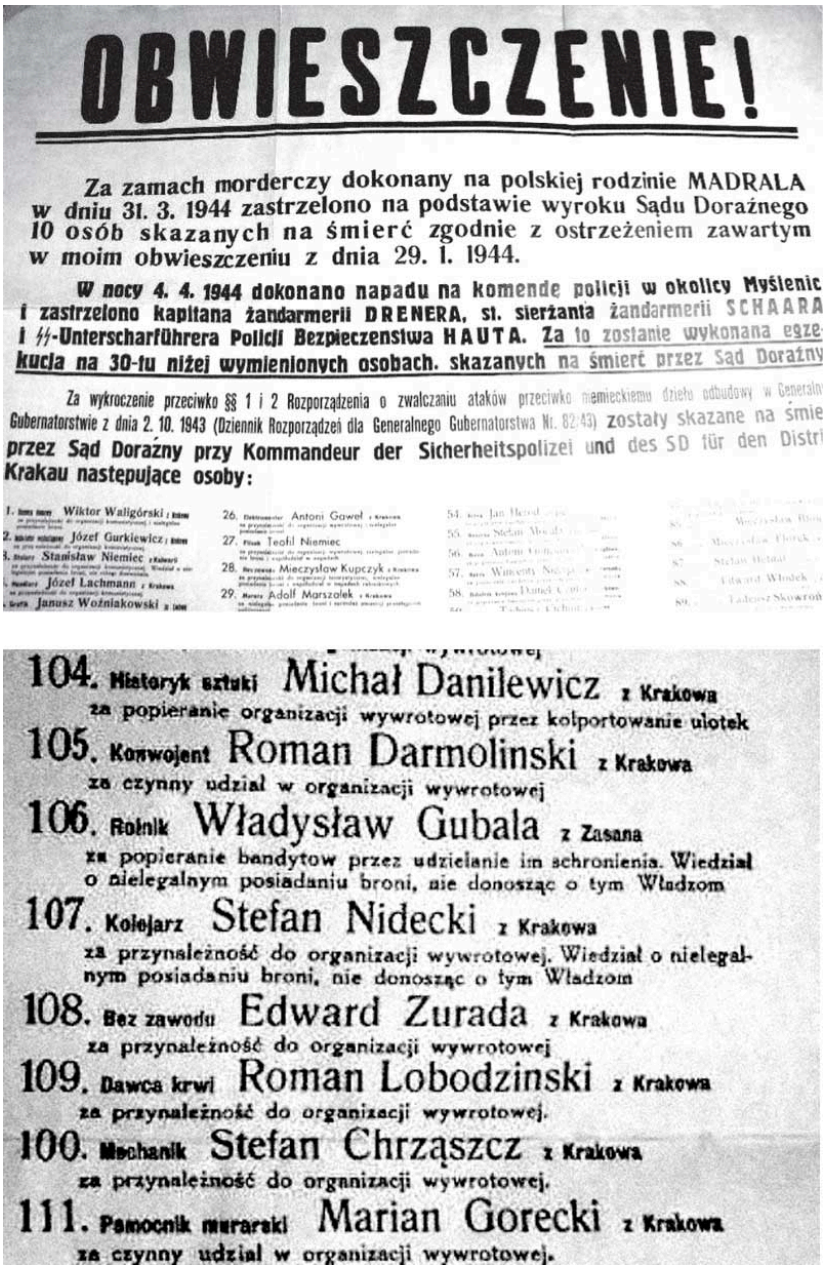

OBWIESZCZENIE!

Za zamach morderczy dokonany na polskiej rodzinie MADRALA w dniu 31. 3. 1944 zastrzelono na podstawie wyroku Sądu Doraźnego 10 osób skazanych na śmierć zgodnie z ostrzeżeniem zawartym w moim obwieszczeniu z dnia 29. 1. 1944.

W nocy 4. 4. 1944 dokonano napadu na komende policji w okolicy Myślenic i zastrzelono kapitana żandarmerii DRENERA, st. sierżanta żandarmerii SCHAARA i ᛋᛋ-Unterscharführera Policji Bezpieczenstwa HAUTA. Za to zostanie wykonana egzekucja na 30-tu niżej wymienionych osobach, skazanych na śmierć przez Sąd Doraźny

Za wykroczenie przeciwko §§ 1 i 2 Rozporządzenia o zwalczaniu ataków przeciwko niemieckiemu dziełu odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie z dnia 2. 10. 1943 (Dziennik Rozporządzeń dla Generalnego Gubernatorstwa Nr. 82/43) zostały skazane na śmierć przez Sąd Doraźny przy Kommandeur der Sicherheitspolizei und des SD für den Distrikt Krakau następujące osoby:

1. Wiktor Waligórski
2. Józef Gurkiewicz
3. Stanisław Niemiec
4. Józef Lachmann
5. Janusz Woźniakowski
26. Antoni Gawel
27. Teofil Niemiec
28. Mieczysław Kupczyk
29. Adolf Marszałek

104. Historyk sztuki Michał Danilewicz z Krakowa
za popieranie organizacji wywrotowej przez kolportowanie ulotek

105. Konwojent Roman Darmolinski z Krakowa
za czynny udział w organizacji wywrotowej

106. Rolnik Władysław Gubala z Zasana
za popieranie bandytów przez udzielanie im schronienia. Wiedział o nielegalnym posiadaniu broni, nie donosząc o tym Władzom

107. Kolejarz Stefan Nidecki z Krakowa
za przynależność do organizacji wywrotowej. Wiedział o nielegalnym posiadaniu broni, nie donosząc o tym Władzom

108. Bez zawodu Edward Zurada z Krakowa
za przynależność do organizacji wywrotowej

109. Dawca krwi Roman Lobodzinski z Krakowa
za przynależność do organizacji wywrotowej.

100. Mechanik Stefan Chrząszcz z Krakowa
za przynależność do organizacji wywrotowej.

111. Pomocnik murarski Marian Gorecki z Krakowa
za czynny udział w organizacji wywrotowej.

Obwieszczenie o rozstrzelaniu

Obóz Płaszów miał kilka filii umiejscowionych przy większych zakładach produkcyjnych. Jedną z nich była należąca do Oskara Schindlera Fabryka Naczyń Emaliowanych przy ulicy Lipowej. Więźniowie pracowali również w pobliskiej fabryce kabli, w cegielni w Bonarce, na lotnisku w Rakowicach i w kilku innych firmach. Do obozu w Płaszowie przywożono więźniów na egzekucje cztery razy

w tygodniu, ciężarówkami z więzień na Montelupich i Czarneckiego. Egzekucji dokonywano na wzgórzu zwanym Hujową Górką, od nazwiska esesmana, który nadzorował egzekucje, niejakiego Alberta Hujara. Takie wulgarne żarty pozwalały więźniom jakoś radzić sobie z koszmarem obozu. Jeden z dowódców obozu, Ferdinand Glaser, zabawiał się dodatkowo, ustawiając więźniów przed rozstrzelaniem w figury geometryczne. Podobało się to niezwykle komendantowi obozu, którym był słynny SS-Hauptsturmführer Amon Göth, znany ze strzelania do więźniów jak do kaczek z balkonu swojej willi. W ten sposób Goth zabił osobiście około pięciuset osób.

Skazańcy na rozkaz esesmana skakali z ciężarówki, składali z boku swoje ubrania i nadzy schodzili do przygotowanego uprzednio rowu, kładąc się na przemian twarzą do ziemi. Otrzymywali strzał w kark. Następni kładli się na nich. Po egzekucji technik dentystyczny wyrywał im złote zęby, po czym ciała przysypywano cienką warstwą ziemi. Egzekucje na Hujowej Górce przeprowadzano do połowy lutego 1944 roku. Od 15 lutego 1944 egzekucje w Płaszowie przeprowadzano na drugim szańcu obozu, FS-22, trzysta metrów na zachód, nazywanym tym razem Cipowym Dołkiem. Mapy Google nazywają te miejsca H-Górką i C-Dołkiem. Dzisiaj w tym miejscu stoi pomnik ku czci ofiar obozu w Płaszowie, nazywany „Ludzie z wydartymi sercami”.

Michał Weinzieher-Danilewicz został stracony najpewniej w Wielki Piątek, 7 kwietnia, kiedy rozstrzelano tam stu mężczyzn.

W maju 1944 roku więzienie na Czarneckiego miało zostać zlikwidowane. Niemcy wywieźli wszystkich więźniów. 5 maja 1944 roku do Płaszowa przywieziono większą grupę ludzi, oprócz kobiet – około trzydziestu Żydówek – resztę zatrzymano w obozie. W warsztatach obozu płaszowskiego wystarczyło podnieść głowę, by przez zaparowane okienka dojrzeć na miejscu straceń rozebrane, krzyczące kobiety, które po chwili rozstrzelano. Z pewnością w tej grupie znalazła się Zuzanna Ginczanka.

Latem 1944 roku w związku ze zbliżającym się frontem Niemcy przystąpili do systematycznego zacierania śladów swoich zbrodni, przeprowadzając ekshumację zwłok z Hujowej Górki i Cipowego Dołka. Otwarto zbiorowe groby i systematycznie palono ciała, polewając je benzyną. Kilka tysięcy ciał pomordowanych tam ludzi. Do nadzorowania i układania zwłok w stos Amon Göth wyznaczył Niemców skazanych za przestępstwa kryminalne. Podczas ekshumacji dochodziło do przypadków profanowania, wyrywania palców z pierścionkami i złotych zębów. Więźniowie Żydzi z tak zwanego Ausgrabenkommando pracujący przy ekshumacji i paleniu zwłok otrzymywali dodatkowe racje żywnościowe oraz przydział wódki. Akcja trwała dwa miesiące. Siedemnaście wozów ludzkich popiołów rozsypano na wzgórzach dawnego obozu. Wśród nich prochy Janusza Woźniakowskiego, Michała Weinziehera, Blumki Fradis i Zuzanny Ginczanki.

9 marca 2017 roku z okazji setnej rocznicy urodzin Zuzanny Ginczanki, po konferencji na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, stoimy razem, usiłując dobrze zrozumieć topografię tego miejsca. Cipowy Dołek, rozciągający się pod naszymi stopami, jest wielkim wąwozem, przykrytym białym puchem popiołów, zarośniętym zieloną trawą. Ktoś zbiega w dół, ktoś zapala znicz, ktoś inny kładzie kamyczek, ktoś płacze, bo oto zbliżamy się tak fizycznie, tak namacalnie do tajemnicy śmierci poetki.

W Krakowie w styczniu 1945 roku, kiedy dotarłaś, Lusiu, z dworca piechotą na leżącą niedaleko Rynku ulicę Mikołajską 26, usłyszałaś, że Zuzę i Blumkę zabrano, i dostałaś wiersz zapisany na kartce zwiniętej w kulkę. Czy był to gryps z więzienia, czy może wiersz przechował się gdzieś w kąciku i pani Elżbieta Mucharska-Librowiczowa znalazła go, sprzątając mieszkanie? A może drzwi otworzyła ci owa Maria Sierocka? W każdym razie tobie go, Lusiu, wręczono, sądząc, że ty będziesz wiedziała, co z nim zrobić. Miałaś przecież znajomości w literackich sferach. Oddałaś wiersz Karolowi Kurylukowi do „Odrodzenia”, gdzie

ukazał się w numerze 12 w roku 1946 ze wstępem Juliana Przybosia. Przyboś pisze: „Wiersz odczytaliśmy ze zmiętej i podartej kartki zapisanej przez poetkę ołówkiem. Z kartki jak gryps więzienny szyfrowanej w niebezpiecznym miejscu. Z litery «ż» można było domyślić się przymiotnika «żydowskie»”. W ten sposób uratował się jedyny wojenny wiersz Zuzanny Ginczanki zatytułowany słowami Horacego *Non omnis moriar* – Nie wszystek umrę. Horacy sądził, że poeta nie umiera zupełnie, pozostaje jego dzieło.

W drodze powrotnej do Warszawy, w Częstochowie, zastał cię, Lusiu, koniec wojny. Po ulicach jechały radzieckie czołgi, ludzie wiwatowali, a na jezdni leżeli niemieccy żołnierze rozpłaszczeni jak naleśniki. Niewyobrażalna była twoja radość. Skończyła się ta straszna wojna, która pochłonęła tylu bliskich ci ludzi. Teraz trzeba było zacząć żyć od nowa. Normalnie, pełną piersią.

Koniec okupacji, Lusia i Marek Stauberowie

W Warszawie na Odolańskiej drzwi były rozbite. U dozorczyni zastałaś karteczkę z adresem Marka. Marek pisał, że był w Warszawie,

że cię poszukuje. Ze Lwowa wywiózł go w ostatniej chwili do Lublina Karol Kuryluk. Zamieszkał w Domu Literatów, potem zaciągnął się do Ludowego Wojska Polskiego. Chciał walczyć z Niemcami i przydzielono go jako lekarza pułku do oddziału saperów. Po bitwie pod Warką skierowano ich na front zachodni, gdzie toczyły się jeszcze walki, aż do ostatecznej kapitulacji Niemiec. Wracał stamtąd jak z innego świata. Po drodze szły tłumy ludzi, szli oficerowie polscy, szli więźniowie obozów, prawdziwa wędrówka ludów poprzez spalone i zrujnowane miasta. Mordowano Niemców, rabowano domy, gwałcono kobiety, a w Sobiborze grzebano w popiołach obozu zagłady.

Kiedy Marek wrócił szczęśliwie do Warszawy, rezydowałaś już w jego pokoju, niedaleko ulicy Woronicza. Chodziliście razem do opuszczonego szpitala elżbietanek, tam w piwnicy było sporo jedzenia i alkoholu, siostry mimo powstania zostawiły duże zapasy. Jako młoda para ty, Lusiu, i Marek pragnęliście z całego serca przede wszystkim stworzyć jak najszybciej nową, kochającą się rodzinę.

Paryż, 19 kwietnia 2017

POSŁOWIE

W roku 1968, dwadzieścia trzy lata po zakończeniu wojny, sytuacja w Polsce zrobiła się znowu dla Żydów groźna. Młodzież, która wzięła udział w manifestacjach, została zatrzymana i osadzona w więzieniu albo powołana do wojska, zwłaszcza młodzież żydowska. Szykowano się do pokazowych procesów. Prasa grzmiała. Elementy nacjonalistyczne w rządzącej partii komunistycznej żądały usunięcia Polaków żydowskiego pochodzenia ze stanowisk i mieszkań, oskarżały ich o popieranie syjonizmu, sugerowały, że są „piątą kolumną” i mają emigrować do Izraela. Ta napięta atmosfera zbyt przypominała czasy przedwojenne: kto wtedy uciekł, wyjechał – przeżył, a kto się za długo zastanawiał – ginął. Wszyscy Żydzi mieli to jeszcze w pamięci. I choć na razie mówiono tylko, że Żydzi w pomarańczowych kufajkach będą sprzątać ulice, decyzja o wyjeździe zataczała coraz szersze kręgi.

Ty, Lusiu, już od lat w komunistycznej Polsce myślałaś, że z tego kraju trzeba wyjechać albo przynajmniej „wypchnąć stąd dzieci”. Mimo zaawansowanego już wieku (tata miał wtedy pięćdziesiąt sześć lat) podjęliście decyzję o emigracji. Byliście przecież obydwoje cenionymi lekarzami, Marek ordynatorem oddziału dermatologii i sekretarzem Międzynarodowego Związku Mykologicznego. Ty, Lusiu, pani docent, w białym fartuchu biegałaś codziennie od Szpitala Dzieciątka Jezus do poradni cukrzycowej, a potem do poradni młodzieży socjalistycznej przy ulicy Marszałkowskiej. W naszym korytarzu pomalowanym w żółte pasy czekali na was na metalowych taborecikach wasi domowi pacjenci. Ja otwierałam im drzwi i zapraszająco mówiłam: „Proszę się rozdziać i spocząć”. Wszystkie te posady, cała ta bieganina była niezbędna, żeby skromnie w tym kraju przeżyć. Decyzja o wyjeździe na zawsze z Polski nie była prosta, ale od wojny wiedziałaś, że trzeba szybko decydować,

niczego się nie bać, nie żałować. Miałaś, Lusiu, pamiętam, podkrążone od płaczu oczy. Bo przecież Warszawa była u twych stóp. Elegancka pani doktór z plikiem recept dla potrzebujących, zawsze w pięknych kloszowych spódnicach w kwiaty, mocno ściągniętych w pasie, podbijałaś serca nie tylko pacjentów. Wkrótce odświeżyłaś dawne artystyczne znajomości: Adolf Rudnicki z piękną, młodą żoną Basią przychodził do nas co niedziela na obiad, tradycyjny rosół z makaronem. Wkrótce poznaliśmy przyjaciółkę Basi, równie śliczną Beatę Tyszkiewicz, w której zakochał się na umór reżyser Andrzej Wajda i z którą zamieszkał w jej mieszkanku na Starym Mieście, a potem w ich wspólnym dworku w podwarszawskich Głuchach. Mimo twoich licznych posad zdążyłaś, Lusiu, wyskoczyć na obiad do Literatów, a potem do Czytelnika, gdzie królował przy stoliku twój wielki przyjaciel Tadzio Konwicki ze swoim dworem, Ireną Szymańską, Gustawem Holoubkiem i Andrzejem Łapickim. Przy tym opiniotwórczym stoliku sypały się sądy, dowcipy i złośliwości. W niedzielę rozkładaliście biurko w pokoju Marka, bo wpadali na remika Zosia Nasierowska z mężem, reżyserem Januszem Majewskim. Mimo niechęci Marka do późnego wychodzenia ruszaliście wieczorem na Stare Miasto, do jazzowej piwnicy Wandy Warskiej, posłuchać jej piosenek z muzyką Kurylewicza. Wpadali różni znajomi: Marian i Kazik Brandysowie, Artur Nacht-Samborski, Andrzej Żuławski, Olek Kobzdej z Maryną, Janusz Morgenstern z Krysią Cierniak, Daniel Olbrychski, Warmiński i Ola Śląska, Stanisław Dygat i Kalina Jędrusik, Janek Lenica, Duduś i Grażynka Matuszkiewiczowie, Andrzej Trzaskowski z żoną, Basia Hoff, Grażyna Hase, Julek Żuławski, młody Janusz Głowacki, siostry Wahlówny. W przeddzień waszego wyjazdu w listopadzie 1969 roku Wanda urządziła dla was pożegnanie w swojej Piwnicy. Nazajutrz cały ten „dwór warszawski” udał się gremialnie na Dworzec Gdański, skąd z dokumentami pozbawiającymi was polskiego obywatelstwa wyruszaliście w nieznany świat. Było dużo uścisków i łez, życzeń na dalszą drogę życia. Wolno wam było zabrać pięć dolarów i mienie przesiedleńcze w zapieczętowanej skrzyni, zwanej liftem,

a w niej używane cepeliowskie mebelki: stół à la góralski, krzesła pobejcowane na siwo, skrzynię na pościel, wszystkie książki spisane i z naklejonym numerkiem, lniane obrusy i ściereczki, wełniane dywaniki, sztućce, talerze i inne sprzęty gospodarstwa domowego według ustalonej listy. Zakazano jakichkolwiek antyków. Trzeba było więc sprzedać naszą gdańską szafę na kulistych nogach, biedermeierowską komodę, biureczko i kanapkę z twojego pokoju, srebra i porcelanę. Znajomi artyści: Fredek Lenica, Olek Kobzdej, Kulisiewicz, siostry Wahlówny, Andrzej Strumiłło, Marek Żuławski, Zosia Butrymowicz, Franek Starowiejski – podarowali czy sprzedali wam swoje obrazy, grafiki i modne wtedy gobeliny, które zawisły na ścianach naszych nowych mieszkań w trzech europejskich krajach: w Niemczech (ty i Marek), w Szwecji (moja siostra) i we Francji (ja), bo tak nas los rozrzucił. Nigdy, Lusiu, nie straciłaś kontaktu ze swoimi warszawskimi przyjaciółmi, którzy regularnie pisali, przyjeżdżali.

W tych obcych nam krajach zaczął się nowy okres w życiu naszej rodziny, walka od początku o byt, urządzanie się od zera. Trzeba było nauczyć się języka, poznać inne obyczaje, przyzwyczaić do innych zachowań, odmiennej mentalności. Dużo było potrzeba znowu wytrwałości i odwagi.

Koło Frankfurtu, bo Niemcy dawały emigrującym lekarzom dobre warunki pracy, stworzyłaś, Lusiu, własny gabinet lekarski i laboratorium medyczne. Pracowaliście tam jeszcze przez szereg lat, wybudowaliście dom, do którego zjeżdżała się regularnie poszerzona rodzina, ja i siostra z mężami i z synami. Podróżowaliśmy też wspólnie po świecie. Udało się i często powtarzałaś, choć z nutką zapytania w głosie: „Chyba dobrze się stało, że nas z Polski wyrzucili”. Odeszłaś od nas, Lusiu, 6 marca 2018 roku, przeżywszy prawie cały wiek, bo na chwilę przed swoimi setnymi urodzinami.

BIBLIOGRAFIA

Serdeczne podziękowania dla wszystkich autorów, których teksty były źródłem dla mojej wyobraźni.

1. RÓWNE, 1920–1936

Rowno, a Memorial to the Jewish Community of Rowno, Volyn (Rivne, Ukraine), wyd. Arie Avitachi, przeł. Naomi Gal, 2010, www.jewishgen.org/yizkor/rovno/rov514.html. Wyd. oryginalne: *Rowne; sefer zikaron*, ed. Arie Avitachi, Tel Aviv 1956.

Izolda Kiec, *Ginczanka. Życie i twórczość*, Poznań 1994.

Zuzanna Ginczanka, *Styczniowe porównania*, „Echa Szkolne. Pismo Młodzieży Szkolnej” 1933, nr 4 (30).

Zuzanna Ginczanka, *Udźwignąć własne szczęście. Poezje*, wstęp i oprac. Izolda Kiec, Poznań 1991.

Jan Śpiewak, *Zuzanna, gawęda tragiczna*, w: tegoż, *Przyjaźnie i animozje*, Warszawa 1959.

Zuzanna Ginczanka, *Wiersze wybrane*, wybór i wstęp Jan Śpiewak, Warszawa 1953.

Józef Łobodowski, *Pamięci Sulamity*, Toronto 1987.

Jarosław Mikołajewski, *List do przyjaciela o Zuzannie Ginczance*, „Wysokie Obcasy”, 30 października 2004.

Roman Janisławski, *Kilka słów o Równem (1937–1939 r.)*, www.rivne.org/history/1939.php.

Rozmowa Marii Stauber z Lusią Gelmont-Stauber, 2015.

2. WARSZAWA, 1935–1937

List Blumki Fradis do Zuzanny Ginczanki, zbiory Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

Zuzanna Ginczanka, *O centaurach*, Warszawa 1936.

Agata Araszkiewicz, *Wypowiadam wam moje życie. Melancholia Zuzanny Ginczanki*, Warszawa 2001.

Joanna Siedlecka, *Jaśnie panicz*, Warszawa 1997.

Dokumenty Zuzanny Gincburg, Uniwersytet Warszawski, 1935–1939.

„Szpilki" 1937, nr 52.

Violetta Szostak, *Ha-Ga*, „Wysokie Obcasy", 5 października 2012.

Teresa Dąbrowska, *Warszawa literacka lat międzywojennych*, Warszawa 2014.

Ryszard Matuszewski, *Alfabet. Wybór z pamięci 90-latka*, Warszawa 2004.

Piotr Miączyński, Leszek Kostrzewski, *Przedwojenne kawiarnie. „Podaj, kochasiu, rachunek za kawę"*, „Gazeta Wyborcza", 6 kwietnia 2014.

Sławomir Koper, *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2013.

Jarosław Mikołajewski, *Niebieskie, pomarańczowe, zielone. Postscriptum o Zuzannie Ginczance*, „Wysokie Obcasy", 15 stycznia 2005.

Witold Gombrowicz, *Walka o sławę*, Kraków 1996.

Witold Gombrowicz, *Testament. Rozmowy z Dominique de Roux*, Kraków 1996.

Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, Kraków 1997.

Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, Kraków 1997.

Witold Gombrowicz, *Dziennik 1961–1969*, Kraków 1997.

Gombrowicz – alfabet subiektywny, „Tygodnik Powszechny" 2004, nr 19.

Izolda Kiec, *Gina*, Program Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, „Iwona", 2009.

Alina Kwapisz-Kulińska, *Podglądanie Zuzanny*, „Internetowe Studio Opinii", 15 marca 2014, studioopinii.pl/archiwa/80306.

Agnieszka Stawiarska, *Gombrowicz w przedwojennej Polsce*, Kraków 2002.

Sylwia Zientek, *O Małej Ziemiańskiej – kultowej kawiarni literackiej i miejscu spotkań skamandrytów*, 17 września 2013,

web.archive.org/web/20140208130609/http://zientek.blog.pl/2013/09/17/o-malej-ziemianskiej-kultowej-kawiarniliterackiej-i-miejscu-spotkan-skamandrytow/.

Jerzy Majewski, *Świąteczne oblężenie sklepów? Sto lat temu też tak było*, „Gazeta Wyborcza”, 23 grudnia 2012.

Piotr Miączyński, Leszek Kostrzewski, *Przedwojenne kawiarnie. Podaj, kochasiu rachunek*, „Gazeta Wyborcza”, 6 kwietnia 2014.

3. WARSZAWA, 1937–1939

Muzy i kochanki: „Sana”, reż. Joanna Strzemieczna, Polska 1996.

Jerzy S. Majewski, *Warszawa nieodbudowana. Żydowski Muranów i okolice*, Warszawa 2012.

Joanna Wiszniewicz, *A jednak czasem miewam sny. Historia pewnej samotności*, Wołowiec 2009.

Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, t. 1, Warszawa 2010.

Aleksander Hertz, *Żydzi w kulturze polskiej*, Warszawa 2014.

Mariusz Urbanek, *Tuwim. Wylękniony bluźnierca*, Warszawa 2013.

Koleżanko Gincburżanko! Nie bądźcie... Ginczanką, „Wiem Wszystko” 1937, nr 6.

4. LWÓW, 1939–1941

Ola Hnatiuk, *Odwaga i strach*, Wojnowice–Wrocław 2015.

Mieczysław Jastrun, *Pamiętnik: Lwów (grudzień 1939 – grudzień 1941)*, oprac. Andrzej Lam, „Zeszyty Historyczne” 1999, z. 127.

Adolf Rudnicki, *Wielki Stefan Konecki*, w: tegoż, *Opowiadania wybrane*, oprac. Józef Wróbel, Wrocław 2009.

Ola Watowa, *Wszystko, co najważniejsze. Rozmowy z Jackiem Trznadlem*, London 1984.

Aleksander Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, London 1977.

Stanisław Czuruk, *Lwów w cieniu Kołymy*, Warszawa 2007.

„W czterdziestym nas matko na Sibir zesłali”, wybór i oprac. Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Warszawa 1990.

Ocalony na Wschodzie. Z Julianem Stryjkowskim rozmawia Piotr Szewc, Montricher 1991.

Barbara Winklowa, *Boy we Lwowie 1939–1941*, Warszawa 1992.

Michał Borwicz, *Inżynierowie dusz. Lwów 1939–1941*, Gdańsk 1986.

Wortal Stefana Banacha, oprac. Adam Miranowicz, Emilia Jakimowicz, kielich.amu.edu.pl/Stefan_Banach/.

Rozmowa Marii Stauber z Lusią Gelmont-Stauber, 2015.

Rozmowa Marii Stauber z Markiem Stauberem, 2001.

5. LWÓW, 1941–1943

„Znałam tylko jedną żydóweczkę ukrywającą się...”. Sprawa Zofii i Mariana Chominów, wstęp i oprac. Agnieszka Haska, „Zagłada Żydów. Studia i materiały” 2008, nr 4.

Filip Friedman, *Zagłada Żydów lwowskich*, Łódź 1945.

6. RÓWNE, 1941–1942

Rachel Schocman, *The Nazi invasion of Rovno to their destruction*, w: *Rowno, a Memorial to the Jewish Community of Rowno, Volyn (Rivne, Ukraine)*, wyd. cyt., www.jewishgen.org/yizkor/rovno/rov514.html. Wyd. oryginalne: *Rowne; sefer zikaron*, ed. Arie Avitachi, Tel Aviv 1956.

The Central Database of Shoah Victims’ Names, Yad Vashem, yvng.yadvashem.org.

Halina Mirska-Lasota, *Ucieczka od przeszłości*, Montreal 2006.

Dokumenty „Einsatzgruppen Case”, United States of America vs. Otto Ohlendorf, et al. (Case No.9), Nuremberg 1947–1948.

Zeznanie Hermanna Friedricha Graebego, w: *Nazi Conspiracy and Aggression*, vol. V, Washington 1946, s. 696–703.

List of Jews in the Rowno Ghetto, 15/01/1942, collections1.yadvashem.org/notebook_ext.asp?item=4318259.

Równe (Rovno) Victims Killed in the Kostopol Forest, www.jewishgen.org/databases/holocaust/0217_rovno_victims.html.

7. WARSZAWA, 1942–1945

Rozmowa Marii Stauber z Lusią Gelmont-Stauber, 2015.

Rozmowa Marii Stauber z Markiem Stauberem, 2001.

8. KRAKÓW, 1942–1944

Tadeusz Pankiewicz, *Apteka w getcie krakowskim*, Kraków 2003.

Muzy i kochanki: „Sana”, reż. Joanna Strzemieczna, Polska 1996.

Izolda Kiec, *Ginczanka. Życie i twórczość*, Poznań 1994.

Rozmowa Marii Stauber z Markiem Stauberem, 2001.

Rozmowa Marii Stauber z Lusią Gelmont-Stauber, 2015.

Rozmowa Roberta Jarockiego z Lusią Gelmont-Stauber, 2008.

Ryszard Kotarba, *Niemiecki obóz w Płaszowie 1942–1945. Przewodnik historyczny*, Kraków 2016. Publikacja dostępna online: pamiec.pl/pa/biblioteka-cyfrowa/publikacje/19228,Ryszard-Kotarba-Niemiecki-oboz-w-Plaszowie-1942-1945-Przewodnik-historyczny-wyda.html.

Ryszard Kotarba, *Zuzanna Ginczanka: śmierć poetki. Historia okupacyjna*, „Ale Historia”, dodatek „Gazety Wyborczej”, 14 grudnia 2015.

Edward Kubalski, *Niemcy w Krakowie. Dziennik 1 IX 1939 – 18 I 1945*, Kraków–Budapeszt 2010.

Obwieszczenie SD z 06.04.1944.

Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny Płaszów, „Wirtualny Sztetl”, sztetl.org.pl/pl/miejscowosci/k/512-krakow/116-miejsca-martyrologii/47222-niemiecki-nazistowski-oboz-koncentracyjny-plaszow.

KONSULTACJA JĘZYKOWA

Jidysz: Natalia Krynicka.

Rosyjski, ukraiński: Natalia Bryżko.

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

s. 10, 12, 14, 16, 18, 21, 25, 26, 44, 46, 54, 108, 111, 118, 131, 150, 155, 173, 174, 207, 213, 215, 217, 219, 220, 222, 224, 225, 227, 231, 232, 245, 247, 254, 256, 261 – z archiwum państwa Stauberów

s. 74, 116, 142, 145, 163, 171, 229, 236 dół – fot. Maria Stauber

s. 37, 42, 56, 64, 66, 68, 96 – ze zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie

s. 48, 58, 60, 62 – z archiwum Anny Anielewskiej-Pilch

s. 93 – ze zbiorów Biblioteki Narodowej / Polona

s. 121, 137 – dzięki uprzejmości Zuzanny Lipińskiej

Autorka składa wielkie podziękowania Zuzannie Lipińskiej, Annie Anielewskiej-Pilch, Izoldzie Kiec oraz Krzysztofowi Willmannowi za udostępnienie zdjęć i dokumentów.